

# Bohdan PetECKI

## BAL NA PIĘCIU KSIĘŻYCACH

### Piętnaście świeczek i pięć księżyców

Przyszedł wreszcie ten Dzień Szczęśliwy, na który czekaliśmy wraz z Irkiem, by rozpocząć naszą opowieść.

W każdym razie miał to być Dzień Szczęśliwy i nie tylko jego przyszył bohater, lecz także wszyscy mieszkańcy ukrytego w zieleni domku przy ulicy Delfinów w mars-jańskim mieście Coprates już od tygodnia niecierpliwie spoglądali na kalendarz.

- To niesprawiedliwe, żeby ktoś kończył piętnaście lat akurat w ostatnim dniu roku szkolnego i w dodatku zaraz potem miał jechać na takie wakacje - zbuntował się kiedyś Danek.

Sądy, jakie wygłaszał dziesięcioletni Danek, nie mogły być jednak traktowane serio przez jego poważnego, starszego brata. Toteż Irek przybrał tylko znudzony wyraz twarzy i bąknął tonem człowieka, który przypomniał sobie właśnie o jakiejś nic nie znaczącej błahostce:

- Urodziny?... Ach tak, prawda. Istotnie, tego dnia kończą się lekcje...

W odpowiedzi Inia wzruszyła ramionami, mama zaśmiała się cicho, a ojciec pokiwał głową i rzekł z zazdrosnym uznaniem:

- Irek nie myśli o sobie. To bardzo ładnie. Obawiam się, że ja nie dorównuję mu szlachetnością charakteru. Muszę wam wyznać, że nie mogę się już doczekać tego dnia. Przecież zaczynam wtedy urlop.

Irek spojrzał z wyrzutem na rodziców, łypnął złowrogo w stronę Ini i Danka, ale nic nie powiedział. Bo czyż są słowa, którymi można skwitować podobną przewrotność, bez uszczerbku dla godności własnej?

No i dziś nadszedł wreszcie ów dzień. Przeszedł on do kroniki rodzinnej państwa Skibów jako wielki, choć może nie aż tak szczęśliwy, jak się tego po nim spodziewano. W każdym razie jednak dał początek przedziwnym i zupełnie niesłychanym wydarzeniom.

Ranek nie zapowiadał żadnych nadzwyczajności. W czasie śniadania wszyscy byli jakby trochę roztargnieni i małowolni, ale poza tym zachowywali się całkiem normalnie. Mama jak zwykle punktualnie za pięć ósma odjechała do Marsjańskiego Instytutu Galaktycznego kierowanego przez grono siwowłosych uczonych, którzy wysoko cenili zdolności i pracowitość swojej młodej koleżanki, astrofizyka Olgi Skiby. Ojciec mruknął, że musi jeszcze przed urlopem zakończyć jakieś obliczenia, i także zniknął w małym laboratorium przylegającym do domu. Doktor Jacek Skiba mieszkał wprawdzie w Coprates, ale pracował w znajdującym się na Ziemi Centralnym 0-środku Badań Dalekiego Kosmosu; ze swoim zespołem kontaktował się za pośrednictwem specjalnej sieci komputerowej. Ojciec Irka był znanym konstruktorem sond i statków zwiadowczych dalekiego zasięgu, z których najnowsze przekraczały już próg Galaktyki. Faktem jest wszakże, że więcej sławy niż jego rakiety przyniosły mu wyczyny sportowe. Doktor Skiba zdobył wiele dziewiczych szczytów na Księżycu, Marsie i satelitach wielkich planet, a sześć niewiarygodnie trudnych i pięknych zarazem dróg wspinaczkowych miało już na stałe nosić jego imię. Irka częściej pytano: „Czy jesteś może synem tego słynnego alpinisty?” aniżeli: „Czy to twój ojciec zaprojektował ostatnią sondę transgalaktyczną?” - o co zresztą ani chłopiec, ani konstruktor nie mieli do nikogo pretensji.

No, tak. Teraz jednak ojciec poszedł nie w góry, a właśnie do swojej pracowni.

Dwudziestoletnia Inia, najstarsza latorośl państwa Skibów, udała się jak codziennie do Aurotronu miasta Coprates, gdzie odbywała staż po ukończeniu Studium Inżynierii Klimatycznej. Danek, który z umiarkowanym sukcesem zakończył rok szkolny już cztery dni temu, zniknął w ogrodzie, by tam oddawać się, jak sam twierdził, zajęciom zbyt wielkiej wagi, aby rozmawiać o nich z kimś nie wtajemniczonym. Jest rzeczą oczywistą, że do grona wtajemniczonych nie mógł należeć nikt z domowników.

Irek został sam. Przez chwilę przyglądał się robotom zbierającym nakrycia, po czym zerknął na zegarek, wstał i poszedł drewnianymi schodkami na piętro, do swojego uczniowskiego pokoju. Za pięć minut miały się rozpocząć ostatnie w tym roku lekcje.

Mijało południe. Szyby w oknach gabinetu, w którym dzisiejszy solenizant siedział już od blisko dwóch godzin, były zabarwione delikatnym brązem, dzięki czemu na środkowym ekranie szkolnego teledatora wyraźnie rysowała się uśmiechnięta twarz pana Marka Seyny, historyka, wychowawcy klasy.

- Jeszcze raz gratuluję wam promocji - mówił właśnie nauczyciel - i do zobaczenia za dwa miesiące. Ziemskie dwa miesiące - zaznaczył z naciskiem. - Niech mi się nikt nie „pomyli” i nie spóźni o jakieś głupie pół wieku, tylko dlatego, że na jego planecie czy satelicie miesiąc trwa dwadzieścia lat...

Z głośnika odpowiedział chóralny śmiech.

Patrząc na swój ekran, Irek nie mógł widzieć twarzy wszystkich koleżanek i kolegów rozsiadanych po całym Układzie Słonecznym. To jednak zupełnie mu nie przeszkadzało. Natychmiast poznawał po głosie każdego, kto tylko się odezwał. Klasa była żyta. Przecież co miesiąc wszyscy spotykali się na Ziemi, wspólnie zwiedzali miasta, pomniki starożytnej kultury, uczelnie, biblioteki, muzea. A na zakończenie każdej wycieczki zbierali się gdzieś w górach lub nad wodą, palili ogniska, śpiewali dawne ziemskie piosenki i urządzali tradycyjne zabawy. Tak, klasa była żyta.

W tej chwili z głośnika płynął charakterystyczny sopra-nik Anny z księżycowego miasta Parnas. Cienki głosik drżał z emocji, bo Anna mówiła o czekającej ją podróży na Merkurego. Chwilę później odezwał się Alan, najlepszy robotyk w klasie, mieszkający w osiedlu orbitalnym Alkazar. On z kolei, także nie bez przejęcia, opowiadał o najnowszym modelu turystycznej łodzi podwodnej, w której miał zamiar penetrować dno ziemskiego Oceanu Spokojnego w okolicach wielkich raf koralowych.

Rozmowa z wychowawcą była pogodna jak prawdziwe, błękitne niebo. Nic dziwnego. Pan Seyna po krótkiej, okolicznościowej przemowie z okazji zakończenia roku szkolnego wypytywał teraz swoich podopiecznych o ich plany wakacyjne. Ale na tym pogodnym niebie od czasu do czasu ukazywały się czarne chmurki.

Na pulpicie Irka zapłonęła zielona lampeczka. „Moja kolej” - pomyślał chłopiec. Odruchowo poprawił się w krześle i powiedział:

- .My z ojcem lecimy na Ziemię. Chcemy przejść odcinek głównej grani Andów, a potem wrócić szlakiem wiodącym przez miasta starożytnych Majów i ludów, które żyły tam jeszcze dawniej.

- Proszę, proszę - wyraził swoje uznanie historyk. -Będziesz więc miał wakacje nie tylko piękne, lecz także pouczające. Ale a propos pouczające, może wzięłyś ze sobą garść krystografów z propedeutyki psychologii? Mówiąc między nami, nie byłoby źle, gdybyś w wolnych chwilach powtórzył sobie pewne rozdziały... Sam wiesz najlepiej, które... - wychowawca zawiesił głos.

Oto i chmurka.

Irek miał na końcu języka pytanie, jak też pan Seyna wyobraża sobie „wolne chwile” na szlaku wiodącym przez tropikalną dżunglę do skutych wiecznym lodem wierzchołków Andów, ale po namyśle powiedział tylko:

- Dobrze.

- Świetnie! - ucieszył się wychowawca. - No, to życzę ci wielu miłych wrażeń. Do widzenia.

- Dziękuję. Do widzenia - odrzekł grzecznie chłopiec, zachowując dla siebie głębokie zadowolenie z faktu, że lampka na jego pulpicie zgasła i że już ktoś inny wysłuchuje, jak to powinien sobie urozmaicić, przypośmę, polowanie na meteory za orbitą Marsa - wkuwaniem

wzorów geometrodynamicznych. Irek mimo woli uśmiechnął się do tej swojej myśli, ale zaraz spoważniał. Zadzźwięczało mu w uszach ulubione powiedzonko ojca. „To, co dzisiaj wydaje się trudne do zrobienia, jutro na pewno będzie jeszcze trudniejsze”.

Panującą w pokoju ciszę przerwał głębokie westchnienie zakończone pojedynczym szczękiem przełącznika.

- Słyszałeś? Dostarcz mi te krystografy.
- Komplet? - padło lakoniczne pytanie z bocznego

głośniczka.

Komputer zainstalowany w bloku uczniowskich tele-datorów nie tylko słyszał, co mówił pan Seyna, lecz także znał i pamiętał wyniki ostatnich testów, toteż nie miał najmniejszych wątpliwości, o które rozdziały podręcznika chodziło wychowawcy.

- Nie - zaprotestował Irek. - Jakieś streszczenie...
- Nie.

Chwilę trwało milczenie.

- Jak to: nie? Dlaczego: nie?! - głos przyszłego zdobywcy Andów tchnął świętym oburzeniem.

- Tego rodzaju streszczeń nie ma w centralnej szkolnej krystotece - wyjaśnił uprzejmie komputer. - Programy nauczania nie przewidują...

- Dobrze, dobrze! - przerwał ze złością chłopiec. - W takim razie nie potrzebuję żadnych krystografów. Po wakacjach ty sam przypomnisz mi te mądrości, które powinienem sobie powtórzyć. I zrobisz to w taki sposób,

żebym je zapamiętał. Ty to przecież potrafisz. Tak będzie lepiej, nie?!

- Nie. Nie będzie lepiej. Ale jeśli otrzymam polecenie, to oczywiście przypomnę.

Irek ochłonął. Ostatecznie tylko wariat może się kłócić z własnym komputerem. Z twarzy chłopca ustąpił grymas gniewu, a za to odbiło się na niej uczucie rozżalenia.

- Psychologia! Psychologia!... - powtórzył z jękiem. - Wcale nie muszę uczyć się psychologii, żeby wiedzieć, co robić w czasie wakacji, by być zadowolonym z życia i nie psuć humoru innym. Jestem na przykład pewny, że czytanie szkolnych krystografów może mi tylko zaszkodzić!...

W tym momencie znowu stuknął przełącznik i na ekran wróciła twarz wychowawcy.

- Nie podsłuchiwałem - zastrzegł się od razu historyk. - Ale zapomniałeś wyłączyć mikrofon.

Chłopiec obrzucił przerażonym spojrzeniem swój pulpit z paciorkami lampek sygnalizacyjnych. Rzeczywiście!

- Ja tylko tak... - wybąkał. - Żartowałem... Pan Seyna już się nie uśmiechał.

- Irku, skończysz szkołę, potem studia i zostaniesz specjalistą. Może nawet specjalistą-naukowcem jak twój ojciec - powiedział. - Ale czy będziesz pracował na Ziemi, czy w kosmosie, czy jako technik, czy też na przykład jako znawca i teoretyk sztuki, najpierw musisz wiedzieć jak najwięcej o ludziach i o sobie samym. Bo czemu służy nauka? Żebyśmy wiedzieli wszystko o gwiazdach? Żeby było więcej osiedli w kosmosie, raket, superholowizorów, energii, robotów i sprzętu sportowego? To tylko środki, zresztą akurat nie najważniejsze, wiodące do celu, którym jest szczęście. Dlatego my, nauczyciele, przykładamy tak wielką wagę do propedeutyki psychologii i dlatego także jest ona przedmiotem wymagającym maksimum własnej, indywidualnej pracy od każdego z was. Po prostu: szczęścia nie można nauczyć się od komputera. Oczywiście potrafiłyby one przekazać wam treść wszystkich mądrych książek na ten temat, a nawet sprawić, żebyście tę treść bez trudu zapamiętali. Ale to nigdy nie zastąpiłoby wam własnych przemyśleń i własnych refleksji, które przychodzą w chwilach zadumy lub podczas konfrontacji teoretycznej wiedzy z autentycznymi sprawami ludzi. Opowiem ci pewną zabawną historyjkę. Gdy byłem w twoim wieku, należałem do szkolnej drużyny lekkoatletycznej i z reguły wygrywałem wszystkie biegi na krótkich dystansach. Kiedyś zbliżały się wielkie zawody Ziemia - Reszta Świata. Wtedy uruchomiłem komputer. Wprowadziłem do jego programu wszystkie dane o sobie, o rywalach, o ich wynikach, o stadionie, bieżni, temperaturze, dopingu publiczności i tak dalej. Zażądałem, żeby na podstawie tych informacji, a także znajomości anatomii wskazał mi najlepszy system treningu oraz przepowiedział, kto wygra. Komputer błyskawicznie obliczył, że muszę zostać zwycięzcą, jeśli będę się przy-

gotowywał w taki a taki sposób. Postąpiłem ściśle według jego wskazówek. I co? Ano, wygrał młodszy ode mnie o rok chłopiec z Księżycyca. Wróciłem do domu, przytaszczyłem z piwnicy ciężki młotek i zamierzałem „odkuć się” na komputerze za gorycz porażki. Aż nagle zacząłem się zastanawiać. Przecież ja w i e d z i a ł e m, że zwyciężę. Za to tamten chłopiec, teoretycznie słabszy ode mnie, tego dnia wymagał więcej od siebie. Odnalazł w sobie jakieś rezerwy, jakieś siły, o których istnieniu sam pewnie nie wiedział, a już na pewno nie wiedział o nich ani jego, ani mój komputer. I po zwycięstwie czułem się bardziej szczęśliwy niż ja, gdybym, rzecz jasna, wygrał. Odłożyłem młotek i popłakałem sobie przez parę minut. Rozumiesz? Wątpię, czy rozumiesz. Bo ja sam nie mam pojęcia, w jaki sposób ta historyjka mogłaby się jakoś logicznie łączyć z tym, o czym mówiłem przedtem. Ale nie będę już próbował zgłębiać powodów, które sprawiły, że ci ją opowiedziałem. I tak mam wyrzuty sumienia. Nie należy do dobrych szkolnych obyczajów wygłaszanie sążnistych tyrad w pierwszej godzinie wakacji. Bardzo cię znudziłem?

- Mnie?... Czemu?... Nie...

Pan Seyna roześmiał się serdecznie.

- Wobec tego jeszcze raz: do widzenia. I życzę ci... szczęścia.

Ekran ściemniał. Irek przez chwilę wpatrywał się w martwą matową tarczę. Chyba na pożegnanie powinien jednak być powiedzieć panu Seynie coś całkiem innego. Tylko co?...

- Oto krystografy - przerwał rozterkę chłopca komputer.

Na uczniowski pulpit wysypała się z maleńkiego otworu pod ekranem garść błyszczących kryształków. Irek odruchowo zgarnął je dłonią do płaskiego pudełeczka zawierającego mikroskopijny, składany projektor, który przemieniał szkiełka krystografów w wielosetstronicowe książki.

W tym momencie drzwi prowadzące na taras otworzyły się gwałtownie i do pokoju wpadł jak pocisk osobliwy stwór, ni to wielki czarny ptak, ni umorusana sadzą małpa.

- Rodandandron!!! - wrzasnął triumfalnie stwór, skacząc z podłogi na parapet okna.

Następnie jednym susem śmignął pod sufit, wywinął w powietrzu kozła i dwa razy przeleciał przez pokój, odbijając się stopami od ścian. Dokonawszy tego, łagodnie i miękko, jakby kpiąc sobie z prawa grawitacji, wylądował przed Irkiem, przybierając postać szczupłego, dziesięcioletniego chłopca ubranego w obcisły, czarny kombinezon. Bluza tego kombinezonu miała pod pachami jakieś płetwy czy skrzydła, trochę podobne do pelerynek, które w bajkach zwykli nosić źli czarnoksiężnicy.

- Wszyscy czekają! - wykrzyknął Czarny. - Co tu jeszcze robisz? Przecież już dawno po lekcjach!

- Podśluchiwałaś - stwierdził raczej, niż zapytał Irek, patrząc groźnie na młodszego brata.

- Nie musiałem wcale podśluchiwać! - napuścił się Danek. - My, lotokoty, przemierzamy całe Galaktyki, jesteśmy wszędzie, wszystko widzimy i słyszymy! Rodan-dandron! - czarna postać ponownie oderwała się od podłogi, przefrunęła nad pulpitem datora, wywinęła pełne salto i opadła z powrotem na parapet okna. - Aha! Byłbym zapomniał! - dodał Danek, już z bezpiecznej odległości. - Wszystkiego najlepszego! Życzę ci dużo szczęścia!

Te ostatnie słowa dopełniły miary. Irek nabrał pewności, że kochany braciszek przyczaił się za oknem i był świadkiem jego rozmowy z komputerem oraz panem Seyną. A to znaczy, że za chwilę cały dom będzie wiedział o tej nieszczęsnej propedeutyce...

- Niech ja cię tylko dopadnę!!! Uuuu!!! - ryknął złowrogo ruszając do ataku.

Ale Danek ani myślał czekać. W ułamku sekundy był już na tarasie. Przeskoczył balustradę, po czym jak nurkujący szybko zniknął wśród drzew rosnących w ogrodzie.

Irek natychmiast przerwał pościg. „Żeby tak parę lat temu...” - pomyślał z żalem. Zrobił w tył zwrot i pomknął w stronę drzwi wiodących do wnętrza domu.

Tu trzeba wyjaśnić dwie sprawy. Pierwsza, to owe fenomenalne powietrzne piruety Danka. Otóż tak zwana „kocia akrobatyka” była najpopularniejszym z młodzieżowych sportów. Narodził się ten sport, rzecz dość niezwykła, w pracowniach uczonych przygotowujących ludzi do pionierskich wypraw kosmicznych. Ktoś kiedyś po poważnych badaniach odkrył, że koty dlatego znoszą bezkarnie pionowe podróże ze stosunkowo dużych wysokości i dlatego lądują

zawsze na czterech łapach, bo wykonują w powietrzu nader przemyślnie ewolucje, które znacznie zmniejszają szybkość ich lotu. Ktoś inny doszedł do wniosku, że podobne umiejętności przydałyby się i ludziom, zwłaszcza tym, którzy muszą umieć sterować swoim ciałem w stanie nieważkości i którzy badają obce globy mające nieraz albo bardzo potężne, albo też właśnie znikome pola grawitacyjne. Przyszli kosmonauci zaczęli więc naśladować kocie praktyki, a potem - nie wiadomo jak i kiedy - powstał z tego popularny sport. Wymyślono kombinezony z niby-skrzydłkami, rozgrywano zawody, organizowano popisy. Istniało tylko jedno „ale”. Najlepsze wyniki zawsze osiągnęli drobni, szczupli, a więc przede wszystkim bardzo młodzi chłopcy. Toteż Irek zmuszony chwilowo do zaniechania pościgu, który w ogrodzie pełnym wysokich drzew niechybnie zakończyłby się jego sromotną klęską, nie bez racji westchnął w duchu: „Żeby tak parę lat temu...” Kiedyś on także odnosił błyskotliwe sukcesy w kociej akrobatyce. Dziś jednak był zaledwie o pół głowy niższy od ojca. Gdyby chociaż miał na sobie specjalny kombinezon... Ale przecież nie przychodzi się w sportowym kostiumie na uroczyste zakończenie roku szkolnego. A Danek, niezależnie od wszystkiego, był mistrzem nad mistrzami. Już od roku prowadził klasowy zastęp lotokotów. Pewnego razu Irek, powodowany zazdrością, pokazał młodszemu bratu wizerunek prawdziwego lotokota.

- Popatrz - rzekł ze zjadliwym uśmiechem, wyświetlając obraz pochodzący z przyrodniczego krystografu -to ty. Lotokot, czyli kaguan lub kobego, nadrzewny ssak z rzędu skóroskrzydłych, po łacinie *Cynocephalus volans*. Ładny, nie?...

Na ekranie widniało stworzenie łączące w sobie wdzięk nietoperza z urokiem monsturalnej ropuchy tkwiącej w rozprutym worku.

Danek zmarszczył brwi.

- Bo to jest lotokot prehistoryczny - powiedział po namyśle. - Pierwsze ptaki były też paskudne, miały zębate paszcze i takie tyse błony zamiast skrzydeł. Widziałem rysunki na lekcji - podparł się autorytetem nauki. -A dzisiaj mama cmoka z zachwytem, jak zobaczy zwykłego wróbla. Tak samo jest z lotokotami. Te nowe, żyjące w erze kosmicznej, są bardzo piękne...

Druga sprawa wamagająca wyjaśnienia to okrzyk, którym Danek zwykł obwieszczać światu swoją na nim obecność. Otóż w najwcześniejszych latach życia najmłodsza latorośl państwa Skibów była, nie wiadomo czemu, nazywana przez domowników Danusiem. Kiedy jednak Danuś przeszedł do piątej klasy, doszedł do wniosku, że tak niemęskie imię uchybia jego powadze i wiekowi. Oświadczył, że ma na imię Dan i tylko Dan.

- Dlaczego tak krótko? - zafrasował się obłudnie Irek. - Przecież imię przodownika lotokotów powinno być także jego zawołaniem sportowym... Zaraz...

Zamyślił się spoglądając przez szklaną ścianę na rosnące w ogrodzie pyszne rododendrony, tu, w sztucznym klimacie, niemal przez cały rok obsypane wielkimi kwiatami.

- Mam! - wykrzyknął nagle tonem odkrywcy. -Dandron!

Obecna przy tej scenie mama powędrowała oczami za wzrokiem Irka i pokiwała głową ze zrozumieniem.

- A może lepiej Rodandandron? - uśmiechnęła się. -To wprawdzie zupełnie nie ma sensu, ale brzmi wspaniale. Całkiem jak stary okrzyk rycerski.

Danek początkowo miał pewne wątpliwości, jednak jeszcze tego samego dnia zaszły się w kąt pobliskiego parku i tam wypróbował nowe zawołanie tak skutecznie, że ściągnął roboty pogotowia ratunkowego z całego Coprates. Roboty wróciły z niczym, w przeciwieństwie do sprawcy alarmu, który osądził, że jeśli tylko nadać Rodandandronowi odpowiednią siłę ekspresji, to hasło istotnie spełnia swoje zadania, i tak już zostało. Ale dość o dawnych dziejach.

- Co oni tam robią? - niecierpliwiła się pani domu, spoglądając na stojący w hallu odświętnie nakryty stół, pośrodku którego królował tort z piętnastoma smukłymi świeczkami. Mimo że drzwi do ogrodu pozostawiono szeroko otwarte, ich błękitne płomyczki stały prosto i nieruchomo. W mieście Coprates nie było dziś wiatru.

- Pewnie Irek miał małą, prywatną konferencję z wychowawcą - odgadł doktor Skiba. - Coś

mi mówi, że wypadnie nam dłużej, niż zamierzałem, popasać na biwakach w czasie wędrowki po Andach. I że nie będziemy mogli oddawać się wtedy wyłącznie błogiemu lenistwu - westchnął. - O, jest Danek - zmienił nagle ton.

Przez ogród przemknął czarny cień i do pokoju wpadł wódz marsjańskich lotokotów. Rozejrzał się przezornie i dopiero stwierdziwszy, że starszego brata jeszcze nie ma, odetchnął z ulgą, po czym przybrał obojętny wyraz twarzy. Natomiast wyrazu, jaki odmalował się na twarzy mamy, nie sposób byłoby nazwać obojętnym.

- A gdzie Irek? - spytała. - Chyba dzisiaj nie trzeba będzie was godzić?

- Nic mu nie zrobiłem! - zawołał pośpiesznie chłopiec, ściągając z trudem swój obcisły strój. - Ale on jest zły - dodał szczerze. - Nie wiem czemu. Ja tylko złożyłem mu życzenia...

- Wyobrażam to sobie - mruknęła pod nosem Inia. Na piętrze trzasnęły drzwi. Irek dopiero teraz opuścił swój uczniowski pokój. Błyskawicznie zbiegł na półpiętro i... stanął jak wryty. Od razu zrozumiał, że będzie musiał odłożyć zemstę na później. Minęło jednak dobrych parę sekund, zanim zdołał się uśmiechnąć. Był to u-

śmiech dość jeszcze blady, by nie rzec: kwaśny, ale przecież uśmiech.

- No, chodź do nas wreszcie - powiedział ojciec. - Czekamy już tak długo, że jeszcze chwila, a zastałbyś tylko smętne resztki urodzinowego tortu.

Solenizant odruchowo poprawił swoją granatową bluzę uszytą z cieniutkiego jak bibułka pianolitu, wyprostował się i z namaszczeniem zaczął schodzić na dół. Jednak zanim zdążył dotknąć stopą podłogi, wpadł w objęcia mamy, która pierwsza pobiegła mu na spotkanie.

Ostatni składał Irkowi życzenia Danek. Zrobił układną minkę i wręczył mu prezent: wykonany własnoręcznie rysunek przedstawiający dwóch ludzi zdobywających niebosięzną skalną ścianę. Postacie alpinistów były wycięte z cieniutkiej folii i dzięki wprawionym w nią specjalnym płynnym kryształom poruszały się, wspinając wciąż wyżej i wyżej. Artysta, ofiarowawszy swoje dzieło bratu, stanął na palcach i szepnął:

- Naprawdę nie podsłuchiwałem. I naprawdę nie rozumiem, dlaczego się zezłościłeś.

Irek znał Danka dostatecznie dobrze, by wiedzieć, kiedy można mu wierzyć, a kiedy nie. Toteż - po krótkim wahaniu - uprzejmie, a nawet serdecznie podziękował braciszkowi za życzenia i piękny upominek, po czym zaniósł rysunek na stolik pod boczną ścianą, gdzie leżały już inne prezenty: aparat do zdjęć trójwymiarowych od mamy oraz gruba, ślicznie wydana książka pod tytułem „Wiersze o Ziemi” od Inii. Tylko doktor Skiba z nieco zbyt obojętnym wyrazem twarzy poprzestał na złożeniu synowi krótkich życzeń.

- No, a teraz do dzieła! - zawołała mama, obejmując Irka i ustawiając go na wprost tortu. - Pamiętaj! Wszystkie świece musisz zgasić pierwszym dmuchnięciem!

- Zrób taki wdech, jakbyś miał bardzo długo nurkować - poradził ojciec.

- Najlepiej trochę przykucnij - dodał z przejęciem Danek.

- No, raz... dwa...

- A dmuchnijże wreszcie! - zirytowała się Inia. - ... trzy...

Irek nadał się jak balon, ale nie zdążył dmuchnąć. W momencie kiedy ułożył wargi w ryjek mający odegrać rolę powietrznego miotacza, od progu zabrzmiał gromki okrzyk:

- Rodandandron!!! Nastąpiła chwila ciszy.

- Rodandandron! - odpowiedział wreszcie swoim bojowym zawołaniem Danek, po czym zapiszczał:

- Dziadek!!!

- Tato! Tato! - rozległy się głosy Olgi i Jacka Skibów. Irek wyprostował się bardzo powoli i jeszcze wolniej wypuścił z piersi powietrze, wydając przy tym odgłos przypominający ilustrację dźwiękową do niesamowitego filmu, w którym wycie wiatru zapowiada nadejście ducha. Następnie - ciągle jeszcze czerwony z wysiłku - spojrzął w stronę drzwi. Ciemniała w nich wysoka, chuda sylwetka mężczyzny o kościstej, podłużnej twarzy, w tej chwili rozjaśnionej radosnym uśmiechem.

- Wszystkiego najlepszego, sędziwy młodzieńcze! - zawołał wesoło przybyły. Podeszedł do wnuka i chwycił go w objęcia. - Życzę ci, żebyś został wielkim człowiekiem, godnym spadkobiercą rodu i... - tu głos niespodziewanego gościa spowaźniał - żebyś był szczęśliwy.

Irek zerknął podejrzliwie na mówiącego. Jednak dziadek, który mieszkał na Ziemi i najwidoczniej tylko co z niej przyleciał, już z całą pewnością nie mógł nic wiedzieć o ostatniej

w tym roku szkolnym rozmowie solenizanta z wychowawcą klasy. Toteż „spadkobierca rodu” rozpromienił się i wykrzyknął:

- Pysznie, że przyjechałeś! A babcia?

- Babcia wybierała się ze mną, ale w ostatniej chwili doszła do wniosku, że jest za stara na takie podróże. Za stara! W przyszłym roku kończy dopiero sto dwadzieścia lat! Ja w jej wieku... Zresztą mniejsza z tym. - Dziadek machnął ręką, po czym nagle ku ogólnemu zaskoczeniu z głośnym plaśnięciem palnął się dłonią w czoło. - A jednak jestem spróchniałym grzybem! - zawołał ze zgrozą. - Skleroza, nic, tylko skleroza! Na śmierć zapomniałem, że przyprowadziłem gości...

- Nie szkodzi - dobiegł od drzwi miły, głęboki głos. - To my przepraszamy, że wtargnęliśmy tutaj nieproszeni, i to w tak uroczystym dniu. Nie chcieliśmy... Ale znacie przecież Wiktora, waszego tatę i dziadka, a mojego kolegę z prehistorycznych, szkolnych czasów. Uparł się jak muł i zagroził, że powybijają szyby w kosmotelu, w którym chcieliśmy zamieszkać, jeśli nie będziemy mu towarzyszyć. Ale teraz go rozumiem - nowy przybysz-objął zachwyconym wzrokiem obecne w hallu kobiety. - On musiał pochwalić się przede mną swoją rodziną! Na jego miejscu także pękałbym z dumy.

Trzeba przyznać, że nie był to czczy komplement. Olga Skiba, zgrabna blondynka o długich włosach, dużych piwnych oczach i ustach zawsze skorych do uśmiechu, nie darmo jeszcze w studenckich czasach, kiedy uprawiała lekkoatletykę, była dwukrotnie wybierana miss Astroniady. Inia odziedziczyła po matce barwę włosów, a po ojcu niebieskoszare oczy, pięknie kontrastujące z jej śniadą cerą. Była wysoka niemal jak Irek i poruszała się lekko, z wdziękiem, który kiedyś jeden z jej oczarowanych kolegów określił jako „wiosenny taniec młodej kozicy na tle górskiego potoku”. Danek rzecz jasna nie omieszkał wówczas ozdobić jadalni wielkim rysunkiem przedstawiającym hipopotama przeglądającego się w mulistej, afrykańskiej kałuży... Ale dajmy spokój tego rodzaju wspomnieniom.

Teraz mama i córka uśmiechnęły się zgodnie, nie zdążyły jednak skwitować galanterii gościa stosownymi w

podobnych wypadkach protestami, bo ubiegł je pan domu najwidoczniej dobrze znający mężczyznę, którego przyprowadził ze sobą dziadek Wiktor.

- Profesor Bodrin! - zawołał. - Prosimy, prosimy! - Uścisnął z szacunkiem wyciągniętą dłoń przybyłego. - Doprawdy, tato nie mógł nam sprawić miłszej niespodzianki! A Irek na pewno zapamięta te urodziny do końca życia! Taki gość!

Irek istotnie miał na zawsze zapamiętać swoje piętnaste urodziny, chociaż nie wyłącznie dlatego, że w ich domu pojawił się tego dnia profesor Oleg Bodrin, jeden z najwybitniejszych uczonych, owiany legendą twórca teorii tak zwanej "ujemnej cięciwy czasu", członek rzeczywisty Głównej Rady Naukowej Krain Układu Słonecznego. Na razie jednak, ponieważ nie mógł przewidzieć, jakie skutki pociągnie za sobą ta skądinąd zaszczytna wizyta, skupił całą uwagę na osobie słynnego szkolnego kolegi dziadka.

Profesor Bodrin był średniego wzrostu, miał bujne, srebrnobiałe włosy, wysokie czoło, mały, nieco zadarty nos i nosił staroświeckie okulary w cieniutkich złotych oprawkach. Jego opaloną jak u sportowca twarz pokrywała gęsta sieć drobnych zmarszczek pogłębiających się, kiedy się uśmiechał. A od czasu przestąpienia progu marsjańskiego domku państwa Skibów wielki uczoney uśmiechał się niemal bez przerwy. Złożywszy życzenia solenizantowi przywitał się z Olgą, Inią i Dan-kiem.

Dopiero w tym momencie Irek spostrzegł, że profesor nie przybył sam. Przy drzwiach - w postawie wyrażającej pełną szacunku powściągliwość tkwił drugi mężczyzna, znacznie młodszy, wyglądający na rówieśnika Ini, tyle że sprawiający wrażenie zawieszzonego w powietrzu na niewidocznej linie i rozciągniętego pod wpływem własnego ciężaru do niesłychanej długości.

- To jest Bob Long, mój asystent - wskazał wisielca

Bodrin. - Złośliwi mówią, że nikt, nie wyłączając mnie samego, nie rozumie mojej teorii. Nie ręczyłbym za siebie - zaśmiał się - ale Bob rozumieją na pewno. Usiłuje nawet wykorzystać to, co wymyśliłem, i sporządzić aparat do łączności poza czasem. Czuję, że niedługo albo ogłosi światu, że jestem bałwan i że moja teoria nie zda się psu na budę, albo też naprawdę wykombinuje coś, co pozwoli nam pogawędzić sobie na przykład z Napoleonem Bonaparte

jeszcze przed bitwą pod Waterloo i poradzić mu, żeby siedział spokojnie na Elbie, gdzie ponoć było mu zupełnie nieźle. Czy też pogwarzyć z mieszkańcami najdalszych gwiazd, których światło dociera do nas dopiero teraz... Jeśli, naturalnie, był tam swego czasu ktoś, z kim warto by pogadać.

Pani domu zwróciła się w stronę przedstawionego w tak interesującym świetle długaja, chcąc go jak najserdeczniej powitać, ale jej wyciągnięta ręka znieruchomiła w powietrzu. Osobnik, nazwany Bobem, nie raczył jej bowiem zauważyć. Nie słyszał, co mówi profesor, i nie widział ani solenizanta, ani tortu ze świeczkami wypalonymi już do połowy, ani nikogo z obecnych poza... Iniaś. Z nastroszonymi, rudawymi włosami, oklapniętą dolną szczęką i szeroko otwartymi oczami, w których malował się wyraz ostatecznego zachwytu graniczącego z osłupieniem, wyglądał - wypisz, wymaluj - jak strach na wróble przeniesiony na Marsa z ziemskiego parku etnograficznego.

- Uhm, uhm, uhm... - wkroczył zdecydowanie dziadek Wiktor.

Interwencja okazała się skuteczna. Młody naukowiec, po którym jego znakomity mistrz tak wiele sobie obiecywał, wykonał kilka gwałtownych, nie skoordynowanych ruchów, a następnie zawołał:

- Ależ naturalnie! Ja także życzę ci wszystkiego najlepszego! - i rzucił się z wyciągniętymi ramionami w stronę Danka.

- To nie ja! - zdołał pisnąć przerażony lotokot kryjąc się przezornie za plecami dziadka.

Ten ostatni usiłując, zresztą bez większego powodzenia, zachować poważny wyraz twarzy chwycił młodszego ze sprowadzonych przez siebie gości za ramię i skierował go we właściwą stronę.

- Tu! - wyjaśnił krótko, a następnie nie bez satysfakcji przyglądał się, jak Irek ścisnął z samozaparciem ogromną, kościstą dłoń asystenta.

Solenizant zniósł wprawdzie mężnie dowody serdeczności złożone mu przez Boba Longa, ale równocześnie postanowił, że najwyższy czas zakończyć ceremonie powitalne. Toteż nagle spoważniał, wyprostował się i o-znajmił:

- No, to teraz dmuchnę...

Nie bacząc na zdumienie, jakie odbiło się po tych słowach na twarzach gości, podszedł szybko do stołu i już bez żadnych przygotowań zdmuchnął za jednym zamachem wszystkie piętnaście świeczek.

- Brawo!!! - zabrzmiał zgodny chór świadków tego doniosłego aktu.

Podczas obiadu profesor Bodrin wyjaśnił gospodarzom powód swojej wizyty na Marsie.

- Jutro lecimy z Bobem na Ganimeda - powiedział. - Mamy tam do załatwienia pewną ważną sprawę. Przyślą tu po nas specjalny statek należący do Bazy Dalekiej Łączności. To właściwie jedyna duża placówka badawcza na Ganimedzie. Na pewien czas obejmę jej kierownictwo. A z Ziemi wystartowaliśmy już dzisiaj, bo chciałem sobie zrobić jednodniową przerwę. Mam jeszcze pewien problem do przemyślenia... - westchnął, po czym mówił dalej już pogodniejszym tonem: - No i trafić chciałem, że pierwszą osobą, jaką zobaczyłem w marsobusie, był Wiktor. Nie widzieliśmy się od lat... nie, nie powiem ilu, bo jestem próżny i przy tak uroczych dziewczynach nie przeszłoby mi to przez gardło. Przegadaliśmy całą drogę jak dwie kumoszki, a potem Wiktor ani rusz nie chciał nam pozwolić zostać w kosmotelu.

- Uważałem, że mojemu wnukowi coś się w końcu ode mnie należy - wtrącił wymieniony. Sam... cóż, jestem tylko skromnym gajowym dbającym o drzewka w rezerwach i nie stanowią żadnej atrakcji dla mojej rodziny - ciągnął z udaną żałością. - No więc chciałem uświetnić urodziny Irka, przyprawiając ze sobą sławną znakomitość.

- Ty oszuście! - zaśmiał się Bodrin. - Tyle masz wspólnego ze skromnym gajowym, co nie przymierzając dawny woźnica z pilotem nowoczesnej rakiety! Autor podręczników z dziedziny ochrony przyrody, z których uczą się wszyscy ziemscy studenci! "Gajowy"! Też coś!

Dziadek Irka, Wiktor Skiba, był istotnie znanym specja-listą-ekologiem, jednym z kilku uczonych sprawujących nadzór nad ziemskimi rezerwatami i parkami krajobrazowymi.

- Więc lecicie na Ganimeda... - wyszeptła Inia tak cicho, że nikt prócz Boba Longa, który



nie przestał jej darzyć aż nazbyt widocznym zainteresowaniem, tego nie usłyszał.

Asystent natychmiast uniósł czujnie brwi i otworzył usta, chcąc coś powiedzieć, ale nie zdążył. Na piętrze trzasnęły głucho drzwi, po czym rozległ się odgłos drobnych i nienaturalnie rytmicznych kroków.

- Czy tam ktoś jest? - spytał Danek.

Wszyscy spojrzeli w stronę schodków ozdobionych balustradą o szerokiej poręczy wyszlizganej niemal do białości przez młodszych mieszkańców domu.

- Tam?... Eeee, a któż by mógł być... - rzucił niedbale doktor Skiba. Wydaje wam się...

- Ale przecież wyraźnie sły... - mama urwała w pół słowa.

Na schodach pojawiło się coś w rodzaju lejka, a raczej smukłego, rozszerzającego się ku górze stożka zwieńczonego okrągłą główką z dwiema zielonymi lampkami. Cudaczny stwór kroczył na trzech przedziwnych nóżkach - cieniotkich, teleskopowych wysięgnikach zakończonych mnóstwem krótkich, przegubowych palców. Górna połowa stożka była owinięta nowiutką wspinaczkową liną, z której zwisały stalowe haki, lśniące karabinki, czekan, młotek i inne przedmioty niezbędne każdemu prawdziwemu alpinistcie.

- Tato! - Irek zerwał się z miejsca, podbiegł do ojca, objął go za szyję i ucałował w oba policzki. - Tato!

- Co niby: „tato”, „tato”? - bronił się obłudnie doktor Skiba. - Właśnie sprawiłem sobie nowy sprzęt...

Ale chłopiec biegł już w stronę schodków. Stożek, zachowując niezmiennie pozycję pionową, co nadawało mu wyraz komicznej powagi, zatrzymał się właśnie na ostatnim stopniu.

Irek stanął przed nim, założył ręce na plecach i spytał:

- Jak się nazywasz?

Zielone lampeczki zabłyśły odrobinę żywiej.

- Jestem automatem wysokogórskim XXB-czterysta siedem. Dzień dobry - zabrzmiał czysty, metaliczny głos.

- Dzień dobry - solenizant skłonił się grzecznie. - A czy poza tym nie masz jakiegoś imienia?

- Nie. Miło mi, że będziemy chodzić razem.

- A co ty umiesz?

- Latać. Umieję także wspinać. Posiadam uchwyty, które zapewniają mi pewne oparcie nawet na gładkiej skale.

Chłopiec mimo woli spojrzął z niedowierzaniem na maleńkie paluszki automatu.

Nie zrażony tym spojrzeniem XXB-czterysta siedem ciągnął:

- W razie potrzeby mogę służyć rezerwowymi zasobnikami tlenu, płynu odżywczego i leków. Jestem zapro-

gramowany tak, żeby w każdej sytuacji zapewnić człowiekowi - to słowo zostało wymówione ze szczególnym naciskiem - niezawodną asekurację. Potrafię ewakuować człowieka z zagrożonego miejsca.

Irek poczuł, że jego entuzjazm słabnie. Obejrzał się na ojca i spytał z przekąsem:

- Ty przecież chodzisz bez niańki? Doktor Skiba spoważniał.

- Góry są przeciwnikiem, którego człowiek sam sobie wybiera, aby sprawdzić swoją sprawność, wolę i charakter. A zatem przeciwnikiem poważnym i zasługującym na szacunek. Takiego przeciwnika trzeba przede wszystkim dobrze poznać. Kiedy zdobędziesz więcej doświadczenia, sam zdecydujesz, czy chcesz chodzić z automatycznym opiekunem, czy bez niego. A na razie... - rozłożył ręce - na razie mama i ja będziemy znacznie spokojniejsi, wiedząc, że wyruszasz w takim towarzystwie. Zresztą nie musisz przecież korzystać z jego usług zawsze i wszędzie. Ale w Andach przyda nam się na pewno.

Irek pomyślał chwilę, po czym zmienił temat.

- No dobrze. Tylko on się nazywa tak jakoś sucho. XXB... ile tam?...

- Taki mam symbol - odrzekł jakby z lekką urazą automat. - Stanowi on zarazem zastrzeżone hasło wezwania alarmowego. Nie brzmi ładnie?

- Ładnie, ładnie - zapewnił robota ojciec. - Tylko, widzisz, w góry chodzi się z przyjaciółmi, z ludźmi... to znaczy, przepraszam, z istotami bliskimi sobie, a bliskich nie nazywamy zazwyczaj numerami...

- On powinien mieć na imię Roztruchan - powiedział niespodziewanie dziadek.

- Dlaczego? - zdziwił się profesor Bodrin.  
- Roz... co? - nie dosłyszał Danek.  
- Roztruchan - powtórzył dziadek, - Przyjrzyjcie mu się. Czy nie przypomina wam wielkiego, stożkowatego kielicha? Takie piękne, okazałe kielichy czy puchary, którymi spełniano szczególnie uroczyste toasty, nazywano kiedyś roztruchanami. Przez chwilę panowało milczenie.  
- Nie wiem... - zawahał się wreszcie doktor Skiba. -Roztruchan... hm... nie, to słowo jest za długie. Zanim człowiek spadający w przepaść, co oby nigdy nie zdarzyło się nikomu z nas, zdążyłby zawołać: „Roztruchanie!”, byłoby już po nim...  
Mama drgnęła i spojrzała z wyrzutem na męża, ale ponieważ na razie absolutnie nikomu nie groziło runięcie w przepaść, więc niebawem uśmiechnęła się znowu.  
- To jednak dobry pomysł - poparła dziadka. - Tylko wybierzmy złoty środek. Nazwijmy go bardziej po domowemu: Truszek.  
- Nie cierpię zdrabniania imion - mruknął z niesmakiem Danek.  
- Tru-szek. Tru-szek - powtórzył wysokogórski robot, jakby smakując dźwięk tego nowego dla siebie słowa. - Proszę bardzo - zawyrokował. - Mogę być Trusz-kiem.  
- No, to załatwione! - ucieszył się ojciec. - A teraz, Truszku, wracaj na piętro i poczekaj tam na Irka. Jutro polecisz z nami za Ziemię, a pojutrze będziemy już w górach. Musicie się do tego czasu lepiej poznać.  
- Przepraszam. Do widzenia - automat nie odwracając się zaczął wchodzić po stopniach na górę. Najwidoczniej lampki zdobiące jego okrągłą główkę nie służyły mu za organ wzroku. Kiedy drzwi na piętrze zamknęły się za nowym mieszkańcem domu przy ulicy Delfinów, dziadek po raz drugi tego dnia uderzył się dłonią w czoło.  
- Ciągle o czymś zapominam! - zawołał. - Poczekajcie...  
Zerwał się i zaczął gorączkowo przetrząsać swoją podróżną torbę. Po chwili wydobył z niej gruby, pięknie o-  
prawiony album z wielką fotografią Jurija Gagarina na okładce. .  
- To dla ciebie - podszedł do Irka. - Już tak niewiele wydają prawdziwych książek, że powinieneś mieć w swojej bibliotece przynajmniej parę takich uczciwych tomów, a nie same mikroskopijne szkiełka. Proszę.  
- Dziękuję, dziadku - chłopiec ostrożnie wziął podany mu album i zaczął go przeglądać.  
Dzieło nosiło tytuł „Historia podboju kosmosu” i opisywało dzieje zmagania człowieka z otaczającą Ziemię przestrzenią, od wystrzelenia pierwszego sztucznego satelity „Sputnika I” w roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym siódmym poprzez pionierskie loty załogowe aż do budowy ostatnich osiedli planetarnych i schematów rakiet dalekiego zwiadu, konstruowanych między innymi przez doktora Jacka Skibę. Jeden z rozdziałów, autorzy poświęcili tragediom, jakie rozegrały się na polach startowych i w gwiazdnej pustce. Pilotom, badaczom i uczonym, którzy nie wrócili. Rozdział ten zamykało zdjęcie przedstawiające młodego mężczyznę o śmiałym spojrzeniu i otwartej, uśmiechniętej twarzy. Tę twarz Irek znał nie tylko z fotografii. Ale znacznie lepiej znała ją jego starsza siostra.  
- Piotr... - usłyszał nagle tuż za sobą cichutki szept. -Piotr...  
Chłopiec odwrócił się raptownie. Za jego plecami stała Inia. Jej oczy wpatrzone w wizerunek uśmiechniętego pilota były pełne łez.  
- Proszę cię, daj mi to na chwilę - powiedziała nie-swoim głosem.  
- Ale...  
- Co się stało? - spytał dziadek. - Iniu?... Dziewczyna nie odpowiedziała. Odebrała bratu album i odeszła z nim pod szklaną ścianę.  
- Tam jest zdjęcie Piotra - szepnął Irek, zerkając porozumiewawczo na mamę.  
- Czyje zdjęcie? - profesor Bodrin także mimo woli zniżył głos.  
- Piotra Gomery - odrzekł doktor Skiba. - Tego, który zaginął dwa miesiące temu, zaraz po zejściu z orbity Ganimeda. Wystartował razem ze swoim ojcem z tej samej bazy, do której wy teraz lecicie.  
Gomery? powtórzył unosząc brwi asystent słynnego uczonego. - A przecież my właśnie... - urwał, ujrzawszy utkwione w sobie oczy profesora, których wyraz niedwuznacznie nakazywał mu milczenie.

- Piotr był chłopcem Ini - ciągnął jeszcze ciszej doktor Skiba, zbyt przejęty i poruszony, by zauważyć wymianę spojrzeń między Bodrinem a jego młodym współpracownikiem. - Poznali się na studiach. Piotr często tu u nas bywał... polubiliśmy go wszyscy. Bardzo miły chłopiec i zdolny fotonik. A jeśli chodzi o Inię... cóż, sami widzicie - wskazał ruchem głowy przygarbioną sylwetkę dziewczyny.

- Nie wiedziałem - powiedział głucho profesor.

- A to się popisałem z tym albumem! - zawołał półgłosem dziadek. - Ale nikt mi nie powiedział, że ona tak... - zająknął się - że aż tak to przeżywa. Poza tym skąd mogłem wiedzieć, że w tej książce j u ż zamieszczą zdjęcie Piotra...

- Tam napisali, że poszukiwania trwają - zauważył nieśmiało Irek.

Raptem Inia zamknęła z trzaskiem album, szybko podeszła do Bodrina i spojrzała mu prosto w oczy.

- Panie profesorze, pan jedzie na Ganimeda, prawda? Proszę mnie wziąć z sobą.

- Co? Co? - spytało kilka osób naraz.

- Przysyłają po was statek. Na pewno znajdzie się na nim miejsce i dla mnie - ciągnęła zdecydowanie dziewczyna. - Przrzekam, że nie będziecie mieć ze mną kłopotów. Zrozumcie - spojrzała błagalnie na rodziców - ja muszę przynajmniej zobaczyć tę bazę. To miejsce, gdzie ostatni raz... ostatni raz... - nie skończyła, bo głos odmówił jej posłuszeństwa.

Bodrin odruchowo poprawił okulary, które spadły mu na środek nosa, po czym rozejrzał się po obecnych, jakby wzywając pomocy.

- Ta baza jest chwilowo absolutnie niedostępna dla osób trzecich - odezwał się znowu młody asystent. - Będziemy tam prowadzić pod kierunkiem profesora badania bardzo trudne, a może i niebezpieczne. Nie wolno nam narażać nikogo.

- Niebezpieczne! - powtórzyła Inia takim tonem, że Bob Long zakrztusił się, przygładził bezwiednym ruchem swą płomienną czuprynę i umilkł.

- Wiecie co? - dziadek wyglądał teraz, jakby w ciągu kilku ostatnich minut postarzał się o całe lata. - Uważam, że nie mamy prawa jej zatrzymywać. Niech leci - zakończył z głębokim westchnieniem.

- Jak to? Tak... sama? - mama musiała szybko odwrócić głowę.

Inia podeszła do niej i delikatnie położyła jej rękę na ramieniu,

- Nie wiem, czy sama - powiedziała. - To będzie zależało od tego, czy profesor Bodrin zechce mnie wziąć ze sobą. Pan Long powiedział przed chwilą, że teraz nie mogłabym zobaczyć tej bazy - posłała krótkie spojrzenie młodemu naukowcowi. - W takim razie poczekalabym na Ganimedzie, aż te ważne i niebezpieczne badania dobiegną końca. Zamieszkałabym w kosmotelu. Tam jest przecież jakiś ośrodek turystyczny, pokazywali go nawet w trivi.

- Doprawdy nie wiem - odezwał się po krótkiej pauzie słynny uczoney. - Nie wiem... - powtórzył i znowu poprawił okulary, chociaż tym razem nie było po temu żadnego racjonalnego powodu.

Doktor Skiba wstał, zatarł nerwowo dłonie i zaczął chodzić po pokoju. W pewnym momencie zatrzymał się.

- Jak duży jest ten statek, którym jutro macie stąd odlecieć? - spytał patrząc na Bodrina.

- No... normalna rakieta. Przystosowana do zadań specjalnych, ale dość duża...

- Czy znalazłoby się w niej miejsce nie dla jednej dodatkowej pasażerki, ale dla trzech osób... czterech? - poprawił się.

- Proszę?

- Dla nas czworga, Ini, Irka, mnie i... Truszka? Profesor oprzytomniał wreszcie po wstrząsie, jakim była dla niego zaskakująca prośba córki gospodarzy. Podniósł się także, odetchnął głęboko, popatrzył na Inię i rzekł krótko:

- Oczywiście, że weźmiemy was z sobą.

- Zmienimy nieco plany, co, synu? - Ojciec podziękował spojrzeniem uczonemu, po czym uśmiechnął się blado do Irka. - Zaczniemy od wyższego stopnia wtajemniczenia, to znaczy od wspinaczki w próżniowych skafandrach. Na Ganimedzie także są góry, a ten turystyczny ośrodek, o którym tu była mowa, został zbudowany właśnie z myślą o alpinistach, prawda?

- Tak - Bodrin skinął głową. - Okolica obfituje w wysokie kratery, a sam kosmotel jest ponoć

naprawdę piękny. Nazywa się „Pięc Księżyców”. Więc umowa stoi? Rano odlatujemy w piątkę... przepraszam, w szóstkę, ja też zapomniałem o Truszkę. A ty, dziewczyno, bądź dzielna - jego głos zabrzmiał nagle miękko i serdecznie. - Nie chcę cię oszukiwać, dwa miesiące w kosmosie to bardzo dużo... Ale nie wolno załamywać rąk, dopóki istnieje bodaj cień nadziei. W każdym razie mogę ci obiecać, że zobaczysz bazę, z której wystartował Piotr... Tylko będziesz musiała na to poczekać kilka, a może i kilkanaście dni.

- Dziękuję - wyszeptwała Inia. - Poczekam... Dziadek Wiktor, siedzący dotąd nieruchomo przy stole,

ożywił się. Odchrząknął, przetarł palcami powieki i nieco zbyt głośno powiedział:

- Skoro już będziecie na Ganimedzie, to pozdróćcie Augusta, mojego brata. Chociaż wątpię, czy go spotkacie. Zaszły się w jakimś laboratorium i od kilkudziesięciu lat nie odpowiada na wezwania radiowe. Jest stuprocentowym odludkiem, od kiedy... ale mniejsza z tym.

- Twojego brata?... - doktor Skiba spojrział ze zdumieniem na mówiącego. - Na śmierć zapomniałem Prawda, ze stryj August...

- Prawda! - przerwał mu krótko dziadek, jakby chciał podkreślić, że o swoim bracie wspominał tylko i wyłącznie po to, by podsunąć obecnym, a zwłaszcza Ini nowy temat i oderwać ich myśli od smutnych wspomnień, obaw oraz ponurych przeczuc. - A was, moje dzieci - objął czułym spojrzeniem Olgę i Dankę - zabieram chociaż na parę dni ze sobą na Ziemię. Trochę prawdziwego lasu świetnie wam zrobi. Ani słowa! - zmarszczył groźnie brwi, chociaż nikt nie zamierzał protestować. - Powiedziałem. Basta!

Ciszę, która zapanowała po tym ostatnim wykrzykniku, przerwał niespodziewanie Danek.

- „Pięc Księżyców”... - mruknął z głębokim zastanowieniem. - „pięc Księżyców” - powtórzył. W jego oczach pojawiło się rozmarzenie. - Ładna nazwa...

### **Wszystko za naciśnięciem guziczka...**

W kabinie położonej tuż za sterownią i oddzielonej od niej jedynie otwartymi pancernymi drzwiami panowała cisza. Profesor rozłożył fotel i zapadł w drzemkę, jego asystent liczył coś zawzięcie, wałąc kościstymi palcami w swój podręczny kalkulator, doktor Skiba siedział zamyślony, patrząc niewidzącymi oczami prosto przed siebie, a Irek chłonał panoramę nieba, to znaczy czern przestrzni i złoto gwiazd widoczne na ekranie zrobionym specjalnie tak, żeby udawał okno. Inia zajęła miejsce z tyłu, i od momentu startu nie odezwała się ani razu.

Na tle miliardów światełek Drogi Mlecznej rozbłysła w iluminatorze konstelacja Kasjopej. Rysunek, jaki tworzyły jej gwiazdy, zawsze bardziej przypominał Irkowi żyrafę aniżeli gwiazdozbiór noszący oficjalnie nazwę tego sympatycznego skądinąd zwierzęcia. To podobieństwo było szczególnie uderzające, kiedy patrzyło się stąd, z obszaru planetoidów, przez który właśnie przelatywali. Obserwatorowi stojącemu na Ziemi Kasjopeja mogła się co najwyżej kojarzyć z żyrafą stojącą na głowie. Tam bowiem ta głowa, czyli ostatnia, najślabiej świecąca gwiazda, była zwrócona w stronę północnego bieguna nieba. Tu natomiast konstelacja ustawiła się dokładnie na odwrót. Ale oprócz żyrafy przypominała Irkowi jeszcze coś lub kogoś... Zaraz... Long? Bob Long? Eee, chyba nie. Ten rozciągnięty zygzak na niebie nieodparcie narzucał wyobraźni chłopca wizerunek kogoś bardzo dobrze znanego. A cóż go właściwie mógł obchodzić jakiś tam rudzielec, nawet jeśli wgapił się w jego siostrę z wyrazem cieleńcego zachwyty na końskiej twarzy? Żyrafa... cieleńcego... końskiej... „Za dużo zwierząt” - błysnęła Irkowi niejasna myśl. Potrząsnął głową. Za dużo zwierząt...

- Dziadek! - odkrycie było tak nagłe, że bezwiednie zawołał na głos. - Dziadek!

Doktor Skiba drgnął i zamrugnął oczami.

- Co?

Irek zmartwił. To fakt, że dziadek był wysoki, chudy i że chodził zawsze z brodą wysuniętą do przodu. Ale przecież nie powie ojcu, że portret nestora rodu przeszedł w jego umyśle tak mało zaszczytną zoologiczną ewolucję. Trzeba coś wymyślić, i to szybko!

- Dziadek... dziadek... - zająknął się. - Dziadek... -powtórzył jeszcze raz i raptem spłynęło na niego olśnienie. - A właśnie! - wykrzyknął z ulgą. - Tato, dziadek mówił o jakimś swoim bracie. Czy on naprawdę mieszka na Ganimedzie? Czemu nigdy nas nie odwiedził?

Ojciec zagryzł wargi i dłuższy czas milczał. Wreszcie westchnął, odwrócił się i poszukał wzrokiem Ini. Był bardzo poważny i jakby nieco zaniepokojony.

Irek poczuł, że błogie zadowolenie z własnych zdolności dyplomatycznych, które przed chwilą pozwoliły mu tak chytrze wybrnąć z niezręcznej sytuacji, ustępuje w nim miejsca szczeremu zaciekawieniu. Czyżby brat dziadka Wiktora był kimś. o kim nie należy mówić przy kobietach?

Okazało się, że jest wręcz przeciwnie.

- Iniu - zapytał głośno ojciec - słyszałaś?

- Proszę? - wyrwana z zamyślenia dziewczyna rozejrzała się nieprzytomnie. - Mówiłeś coś?...

- Owszem. Irek przypomniał mi właśnie, że dziadek prosił, abyśmy będąc na Ganimedzie pozdrowili jego brata. W związku z tym postanowiłem opowiedzieć wam historię Augusta Skiby... mój stryj ma na imię August.

- Nam? - zdziwiła się Inia. - Przecież to Irek, a nie ja...

- Wam - przerwał ojciec. - Wam obojgu. A nawet przede wszystkim tobie, mimo że to Irek zaczął tę rozmowę. Zaraz zrozumiecie dlaczego. Otóż brat dziadka mieszkał kiedyś na Księżycu. Był wybitnym biochemikiem. Pewnego razu zdarzyło się nieszczęście. Stracił równocześnie żonę i synka. Eksplozja na orbicie. Załamał się. Opuścił swój instytut i wyemigrował na Ganimeda. Podobno poleciał z nim jego najbliższy przyjaciel... Oprócz niego nie chciał widzieć nikogo, kto przypominałby mu swoją osobą dawne czasy. Dostał małe, opuszczone laboratorium i zaczął głosić jakąś dziwną teorię o uszczęśliwianiu ludzi sztucznymi środkami, sprawiającymi ponoć, że zapomina się o kłopotach i troskach. Więcej nic o nim nie wiem, ale to wystarczy. Widzisz, Iniu, smutek jest częścią życia człowieka, tak samo jak radość. Nikt Jednak nie ma prawa zapamiętywać się w swoim osobistym smutku do tego stopnia, aby uciekać od ludzi i pracy. Rozumiesz, czemu to mówię właśnie tobie, prawda? Oczywiście, twoja sytuacja jest zupełnie inna niż ta, w jakiej znalazł się kiedyś August Skiba. Niemniej jednak uważałem, że powinienem opowiedzieć ci jego historię. Jest ona zupełnie nietypowa, lecz bardzo znamienita. A teraz bez żadnych porównań... Córeczko, mnie także żal Piotra i wcale nie zamierzam cię namawiać, żebyś próbowała o nim zapomnieć. Ale... - zawahał się - są wakacje. Lecimy na księżyc Jowisza, na Ganimeda, którego ani ty, ani Irek jeszcze nie znacie. Zobaczysz nowe krainy i nowych ludzi. Staraj się myśleć także o tym, co niosą bieżące chwile, zapamiętywać rzeczy godne zapamiętania. A potem, kiedy będziesz już mogła odwiedzić tę bazę, z której wtedy wystartował Piotr... chciałbym tam być razem z tobą. Dobrze?

Inia nie zwlekała zbyt długo z odpowiedzią, choć słowa z trudem przechodziły jej przez gardło.

- Dobrze, tato... Ja... och, nie umiem teraz wyrazić tego, co czuję. Uwierz mi tylko, że nie musisz się o mnie martwić. A co do Ganimeda... Profesor Bodrin naprawdę nie będzie miał ze mną kłopotów. Dałam mu przecież słowo. Tobie także przyrzekam - zdobyła się na błady, -przelotny uśmiech - że nie popsuję wam wakacji. Kto wie, może nawet pójde z wami w góry na jakąś łatwiejszą trasę... Jeśli, naturalnie, zechcecie mnie zabrać z sobą.

Irek już otworzył usta, żeby zapewnić siostrę, jak miło mu będzie wtajemniczać ją w arkana wspinaczki, ale zanim zdążył się odezwać, nad drzwiami sterowni zapłonęło ostre, czerwone światło. Równocześnie z głośnika padły słowa:

- Pogotowie alarmowe. Możliwe duże przeciążenia. Proszę się przygotować!

- Iniu! - zawołał ojciec.

- Słyszałam, słyszałam - odpowiedziała dziewczyna. Doktor Skiba upewnił się jednak na wszelki wypadek, czy jego córka postępuje zgodnie z instrukcją, i dopiero potem zwrócił głowę w stronę Irka. Ale ten nie czekał na pomoc ani wskazówki. Zanim ojciec zdążył powiedzieć choć słowo, już odchylił oparcie i przycisnął czerwony guzik na poręczu. Jego fotel natychmiast przeobraził się w ogromny, nadymany śpiwór podobny trochę do koko-na monstrialnej poczwarki.

Iluminator przekazujący dotąd obraz czarnego nieba, haftowanego bezładnymi ściegami gwiazd, raptownie pojaśniał. Przeleciały płomieniste, żółtofioletowe obłoki. Nieruchome

konstelacje oszalały i zaczęły tańczyć. Irek poczuł, że żołądek podchodzi mu pod gardło.

- Proszę się nie niepokoić - przemówił głośnik. -Statek hamuje i schodzi z kursu.

Otrzymał polecenie, aby pozostawić wolny tor ekipie badawczej lecącej z misją specjalną. Nasze drogi przecinały się, więc musieliśmy wykonać gwałtowny manewr. Na pierwotny kurs wrócimy za minutę. Przepraszam. Dziękuję'.

Jedynie z brzmienia tych dwóch ostatnich słów, zbyt uprzejmym jak na okoliczności, w których zostały wypo-  
wiedziane, obecni w kabinie ludzie mogli wywnioskować, że wyjaśnienia złożył im nie żywy pilot, tylko pokładowy komputer.

„Cóż to za dziwna ekipa, że pasażerskie statki muszą jej ustępować z drogi, i to w taki sposób? - pomyślał z mimowolną urazą Irek. Leżał zupełnie nieruchomo, a mimo to czuł, że jego ręce i nogi ważą po kilkadziesiąt kilogramów. Przeciężenie trwało. Widać rakietę wciąż jeszcze hamowała, zataczając równocześnie ostry łuk.

- Zaraz będzie po wszystkim - głos ojca zadudnił w sąsiednim kokonie jak echo bardzo dalekiego grzmotu.

I rzeczywiście. Nie upłynęła zapowiedziana minuta, a w iluminatorze gwiazdy znowu znieruchomiały, fotele rozchyliły się i uwolniły uwięzionych w nich pasażerów.

- Panie profesorze! - zabrzmiał gorączkowy szept Boba Longa. - Panie profesorze? To na pewno oni! Ale czemu nie czekali na nas... na pana?! - poprawił się.

- Tsss!... - wielki uczoney położył palec na ustach. -Ja także mam głowę, co zdaje się uszło dotąd twojej uwagi, i także umiem się nią posługiwać w celu kojarzenia oczywistych faktów. Ale ta sama głowa mówi mi, żeby nie mleć językiem przy... - zerknął wymownie na siedzących za nim nadprogramowych pasażerów i umilkł.

Irek zmarkotniał. „Oni wiedzą, co to była za ekipa i dlaczego nasz statek musiał ustąpić jej z drogi - pomyślał. -Wiedzą, ale nie chcą nam powiedzieć. Zatem tam, na Ganimedzie, dzieje się coś bardzo dziwnego”.

- Tato - rzekł umyślnie głośno - czy komputer nie mógłby nam teraz powiedzieć czegoś więcej o tym, co się przed chwilą stało?

Ojciec wyjął mały mikrofon ukryty w poręczy.

- Kto to leciał, skąd i dokąd? - spytał zwięźle. Odpowiedź przyszła stanowczo zbyt późno, jak na dobre obyczaje pokładowych komputerów. Ale kiedy wreszcie głośnik ożył, usłyszeli odrobinę zachrypnięty baryton żywego pilota.

- Minęła nas rakietę wioząca członków grupy specjalnej.

„Mówi jak ktoś, kto nie lubi kłamać, a nie może powiedzieć prawdy” - pomyślał zniechęcony Irek.

- Aha, rakietę - powtórzył ojciec. - To coś nowego

- uśmiechnął się ironicznie.

- Niestety, nic więcej nie wiemy - odrzekł pilot. -Nie nawiązaliśmy bezpośredniego kontaktu z ekipą. Jej statek nadawał tylko sygnały namiarowe. Polecenie zejścia z kursu otrzymaliśmy prosto z bazy.

- Na miejscu przekonamy się, co zaszło i, rzecz jasna, przy najbliższej okazji zaspokoimy waszą ciekawość -uznał za stosowne wkroczyć profesor Bodrin. - Zdaje się, że jesteśmy już na orbicie? - skwapliwie zmienił temat.

- Tak - tym razem odpowiedź była błyskawiczna. -Podali nam dane korytarza, którym zejdziemy do lądowania.

- Tylko nie zapomnij, że najpierw siadamy przy „Pięciu Księżycach”.

- Oczywiście. Nawiasem mówiąc, twoi goście, profesorze, przybędą tam w samą porę. Akurat dziś w „ Pięciu Księżycach” odbędzie się wielki bal maskowy czy kostiumowy. Początek sezonu turystycznego. Pierwszy dzień wakacji.

Wzmianka o balu odwróciła na moment uwagę chłopca od tajemnic Ganimeda tak zazdrośnie strzeżonych przez badaczy zdążających do bazy. Jeszcze nigdy nie był na prawdziwym balu...

Do rzeczywistości przywołał go znowu głos pilota.

- Odebrałem nowe polecenie. Niestety, musimy lecieć bezpośrednio do bazy. Profesor Bodrin i Robert Long są tam pilnie oczekiwani.

- No, a my?! - wyrwało się Irkowi. Natychmiast zamknął sobie dłonią usta, ale było już za późno. Gdyby siedział cicho, może w pośpiechu ten statek zawiózłby ich od razu tam, gdzie czekało wyjaśnienie zagadki dziwnej ekipy? Ale nie. Pilot bowiem mówił dalej:

- Astroport „Pięć Księżyców” wysłał po naszych gości prom orbitalny. Za dwie minuty przystąpimy do operacji cumowania. Doktor Skiba z córką i synem są proszeni o przygotowanie się i przejście do służby. Dziękuję za wspólny lot - zakończył oficjalnie.

Ojciec trzącił Irka łokciem i podniósł się. Profesor Bodrin wstał także.

- Widzicie, jak to bywa - powiedział, rozkładając ręce. - Ale na pewno wkrótce się spotkamy. A na razie życzę wam wspaniałych sukcesów wysokogórskich i pysznej zaba... - urwał pochwycając wzrok Iri. Chrząknął, poprawił palcem okulary, po czym westchnął i bez słowa wrócił na swoje miejsce.

Minutę później trójka Skibów stała przed zamkniętymi jeszcze zewnętrznymi drzwiami służby, czekając, aż zapali się zielona lampka na znak, że tunel cumowniczy między statkiem a promem wypełnia już powietrze. Niebawem klapa wjazdu bezszelestnie uciekła w górę, odsłaniając krótki, owalny korytarz, za którym widniało wejście do promu.

- Witam miłych gości gwiazdzińca „Pięć Księżyców” - powitał ich zaraz za służą szczipły, niewysoki brunet o lekko skośnych, ciemnych oczach i brązowej cerze. - Proszę dalej - odsunął się, wskazując przybyłym niedużą, komfortowo urządzonej kabinę.

- Dzień dobry - doktor Skiba ucisnął dłoń uprzejmego pilota promu. - Przykro mi, że musiałeś przylatywać specjalnie po nas, ale profesor Bodrin...

- Wiem, wiem - przerwał mu z uśmiechem wysłannik gwiazdzińca.

Irek usłyszał tę nazwę po raz pierwszy, ale od razu mu się spodobała. Brzmiała cieplej aniżeli wszelkie „astro-porty” i „kosmotele”.

- Wyleciałem po was bardzo chętnie - ciągnął pilot.

- Jesteście pierwszymi tegorocznymi gośćmi „Pięciu Księżyców”. Nazywam się Geo Dutour - skłonił głowę - jestem ratownikiem, a także dbam o to, żeby nasze góry dostarczały turystom pięknych wrażeń. Pokazuję im najładniejsze drogi... Oczywiście z tych, które znam, a znam ich jeszcze bardzo niewiele. Ganimed to niemal dziewicza kraina...

- Ratownikiem? - wtrącił się nieproszonego Truszek. - Po co? J a tutaj jestem.

- Bądź miły, Truszkule - rzekł doktor Skiba. - Nie każdy ma przecież takiego niezawodnego opiekuna, jak Irek. Ja osobiście będę bardzo zadowolony, jeśli pan Dutour wybierze się z nami na wspinaczkę. Chciałbym od razu zacząć od najciekawszych tutejszych szlaków. A ty nie?

- Tak - odrzekł Truszek po krótkiej pauzie. - Rozumiem. Przepraszam.

Geo Dutour uśmiechnął się do swojego osobliwego kolegi, po czym wskazał gościom wielkie, białe fotele otaczające stół umieszczony pośrodku kabiny. Prom, odbiwszy od statku, schodził z orbity i zmierzał łagodnym torem w kierunku gwiazdzińca.

- Czy ta baza, do której poleciał profesor Bodrin, leży daleko od „Pięciu Księżyców”? - zainteresował się Irek.

- Nie - odpowiedział przewodnik. - Przynajmniej w linii prostej. Bo drogę przegradza wysokie, skaliste pasmo Gór Rycerskich, tak je nazywamy, ponieważ ich szczyty przypominają zakute w zbroje postaci. Pieszko do bazy trzeba by iść dość długo. Ale już zwykłym łązikiem, omijając stromizny, można tam dojechać w dwadzieścia minut.

- Czy zetknąłeś się może kiedyś z jakimś Augustem Skibą? - spytał z kolei ojciec. - Podobno ma tutaj małe laboratorium. To brat mojego ojca - wyjaśnił.

- Ach, tak - ratownik odwrócił głowę i zawahał się.

- Owszem, widziałem go jakieś dwa czy trzy, razy. Nie należy do osób zbyt towarzyskich. Rzeczywiście gospodaruje w małej pracowni po przeciwnej stronie gór, u ich podnóża, ale nie przyjmuje tam absolutnie nikogo. Zresztą, ma sąsiada... - urwał, spojrzawszy na zegarek i wstał.

- Muszę pójść do sterowni. Wprawdzie prom prowadzi automatycznie, ale przepisy nakazują, aby podczas lądowania towarzyszył im człowiek. Bywają sytuacje, kiedy i my jeszcze na coś się przydademy - mrugnął porozumiewawczo do Truszka, po czym od razu ruszył w stronę wyjścia. Otworzywszy drzwi, zatrzymał się, odwrócił i dodał z zagadkowym uśmiechem: - Przyślę wam kogoś w zamian. Ale nie gniewajcie się, jeśli ten ktoś nie będzie wiedział, jak zabawić tak

miłych gości. Człowiek, a raczej człowieczek, wychowany na takim dzikim globie, jest sam trochę bardziej dziki, aniżeli mógłby sobie tego życzyć jego sterany życiem ojciec.

Po tych zagadkowych słowach zniknął im z oczu.

- Myślałem, że na promie jest tylko jeden pilot - bąknął po chwili Irek. A po następnej chwili zaniemówił z otwartymi ustami, chociaż chciał właśnie spytać ojca o coś bardzo ważnego. Rzecz w tym, że zapomniał o co. Zapomniał w ogóle o całym świecie, na widok osóbkę, która właśnie ukazała się w drzwiach sterowni.

Osóбка była niezbyt wysoka, zgrabna i tak podobna do mężczyzny, który powitał gości na pokładzie promu, że nawet gdyby się nie przedstawiła melodyjnym głosikiem: - Jestem Maia Dutour, dzień dobry - i tak każdy odgadłby od razu, z kim ma do czynienia. Miała tak samo ciemną, oliwkową cerę, jak jej ojciec, takie same duże, nieco skośne oczy i czarne włosy, wdzięcznie rozczochrane.

Irek zapatrzony, oniemiały z zachwytu, stał i stał, i stał... aż nagle poczuł dotkliwe uderzenie w lewy łokieć. Oprzytomniał, rozejrzał się gorączkowo i spostrzegł, że Truszek właśnie wciąga na powrót do wnętrza swojego stożkowego korpusu wielopalczasty wisięgnik.

- Truszkę - wysyczał, odruchowo pocierając prawą dłoń obolałe miejsce - co robisz?

- Wykonuję swoje obowiązki - odpowiedział spokojnie zapytany. - Wydawało mi się, że człowiek potrzebuje pomocy.

- Ja? - wyzionął oburzony Irek. W tym samym momencie córka Geo Dutoura wycelowała w niego wskazujący palec.

- A to co? - spytała z obrzydzeniem.

Chłopcu przebiegła przez głowę niejasna myśl, że teraz „człowiek” naprawdę będzie potrzebował pomocy. Okazało się jednak, że to nie on był przedmiotem tej tak nie-spodziewanej napaści. Za jego plecami zabrzmiał znajomy metaliczny głos:

- Nie: co, tylko: kto. Nazywam się Roztruchan i jestem uniwersalnym automatem wysokogórskim. Pomagam wspinaczom.

- Gości oprowadza zwykle mój ojciec - dziewczyna wydeła pogardliwie wargi. - Prawdziwi sportowcy chodzą bez robotów.

- Ja nie jestem zwykłym robo... - zaczął Truszek, ale Irek, który nagle odzyskał zdolność mowy, nie pozwolił mu skończyć.

- Twój ojciec powiedział, że jesteś dzika! - zawołał z pasją. - Pewno, że dzika! A poza tym niegrzeczna!

- Irku... - przerwała mu łagodnie Inia. Chłopiec stał chwilę, mierząc gniewnym wzrokiem osóbkę, którą jeszcze przed paroma sekundami gotów był uznać za wcielenie wszystkich anielskich cnót oraz uroków, po czym zreflektował się. Spuścił głowę i bąknął:

- Przepraszam...

Doktor Skiba uniósł brwi, ale przezornie milczał. Rozwój wypadków potwierdził słuszność jego taktyki.

- To ja przepraszam - powiedziała zaskakująco łagodnym tonem dziewczyna. - Rzeczywiście bywam i dzika, i niegrzeczna.

Automat nie zastanawiał się długo.

- Nie szkodzi - błysnął wesoło lampkami.

- Jesteś wielkoduszny, Roz-tru-cha-nie - córka Geo Dutoura wymówiła to słowo dobitnie, dzieląc je na

sylaby.

- Możesz mnie nazywać „Truszką” - usłyszała w odpowiedzi. - Tak mówią do mnie przyjaciele.

- Bardzo chętnie - Maia odwróciła się, bezwiednym ruchem poprawiła kołnierzyk swojego błękitnego kombinezonu, po czym nagle piasnęła w dłonie i podbiegła do ściany. - Pewnie chcielibyście popatrzeć z góry na okolicę naszego gwiazdzińca...

Nacisnęła jakiś niewidoczny guziczek i natychmiast oczom pasażerów ukazał się panoramiczny ekran z obrazem nieba.

To niebo miało barwę, jakiej Irek nie widział jeszcze nigdy. Ni to rudogranatowe, ni



ciemnofioletowe, tłumilo światła gwiazd, które stały się podobne raczej do grudek żaru aniżeli dalekich, żywych słońc.

- Tak wygląda u nas niebo. A to Jowisz... Dziewczyna znowu nacisnęła guziczek, zmieniając położenie kamer przekazujących obrazy z zewnątrz statku. Na ekran wyplęła wielka, jajowata bryła o przygaszonej czerwonożółtej barwie, poprzecinana ciemnymi i jasnymi smugami, tu i ówdzie postrzępionymi, jakby komuś, kto malował te smugi, wypadł z ręki umaczany w farbie

pędzel.

- Wspaniały! - zawołał z nieco przesadnym entuzjazmem doktor Skiba, pragnąc podkreślić, że docenia dobre chęci córki ganimedzkiego przewodnika, która robiła, co tylko mogła, aby godnie zastąpić ojca i zabawić gości. -Ale miałaś nam pokazać „Pięć Księżyców”. Wszyscy mówią, że to piękny ośrodek.

Maia jeszcze raz dotknęła ściany. Ukazał się ład. Był mroczny i ponury, choć lśnił lekko, jakby powleczony cieniutką warstwą lodu. Pasma wysokich gór biegło szerokim półkolem, znikając za bliskim horyzontem. Ich zbocza wyglądały u dołu niczym zamrożone wodospady. Natomiast szczyty były niezwykle ostre, zębate i nierzadko wystrzelały wprost z kilometrowych przepaści.

Prom, podchodząc do lądowania, leciał coraz wolniej i niżej. W pewnym momencie zatoczył łagodny łuk i wtedy na ekranie ukazała się okrągła równina, od której bił blask sztucznego słońca. Pośrodku tej oazy życia na martwym globie - leżało pięć wielkich jaskrawobiałych kul. Wraz z łączącymi je ganeczkami tworzyły one jakby wieniec wypełniony wewnątrz zielenią parku.

- Oto gwiazdziniec - powiedziała dziewczyna. W jej głosie zabrzmiała duma.

- Pięć kul. To są zapewne budynki mieszkalne? - spytał doktor Skiba.

- Tak. Symbolizują pięć księżyców - Maia skinęła, czarną główką. - Początkowo miały być tylko cztery - tłumaczyła. - Chodziło o księżyce Jowisza odkryte jeszcze przez Galileusza. Ale potem ktoś powiedział, że w takim razie zabrakłoby pierwszego, którego Galileusz nie zauważył. No i tak z czterech zrobiło się pięć księżyców...

- A tam, pośrodku parku, jest jeszcze jedna kula, taka malutka... Czy to jakiś pomnik? A może wyobrażenie samego Jowisza?

- Nie.

Irek po raz pierwszy ujrzał uśmiech córki Geo Dutoura i natychmiast przestał się interesować wszystkimi możliwymi księżycami i kulami, chociaż ta, o której ostatnio wspomnieli ojciec, była rzeczywiście interesująca. Nawet z tej wysokości zachwycała pięknymi żywymi barwami.

- Nie - powtórzyła dziewczyna. - To jest Ziemia. Pan Adam Kozula doszedł do wniosku, że nasi goście i tak będą mieli dość widoku Jowisza, postanowił więc ozdobić park modelem Ziemi. Pan Kozula to nasz gospodarz - wyjaśniła. - Nadzorował budowę gwiazdźni, a teraz

jest jego kierownikiem.

- Prosimy pasażerów o zapięcie pasów - odezwał się w tym momencie głośnik. - Lądujemy. Godzina jedenasta dwadzieścia, czasu miejscowego. Temperatura wewnątrz strefy ochronnej: dwadzieścia siedem stopni. Poza strefą: minus sześćdziesiąt stopni. Życzę przyjemnego pobytu na Ganimedzie - zakończył Dutour.

Prom wylądował tak miękko, że nikt tego nie zauważył - wszyscy siedzieli dalej, czekając, aż poczują charakterystyczne kołysanie, gdy amortyzatory dotkną płyty lądowiska. O tym, że lot dobiegł końca, przekonał ich dopiero widok otwartych drzwi śluzy, za którymi ujrzeli perspektywę dużej, jasnej hali dworca. Centralnym chodnikiem, znikającym w głębi za ażurową pergolą okrytą kwitnącym bluszczem, jechał w ich stronę krępy mężczyzna w śnieżnobiałym kombinezonie.

- Jesteśmy na miejscu - powiedział Dutour, wychodząc ze sterowni. - Maiu, proszę cię, skocz, uprzedź Adama... Już nie trzeba - zauważył zbliżającą się postać.

Maia przepuściła Inię, a sama natychmiast zniknęła gdzieś w zakamarkach przeszklonej hali.

- Dzień dobry - doktor Skiba uściśnął dłoń gospodarza "Pięciu Księżyców". - Przepraszam za nie zapowiedziane najście, ale podobno nie macie jeszcze kompletu turystów?

- Nie tylko nie mamy kompletu, ale będziecie w ogóle jedynymi naszymi gośćmi, przynajmniej przez najbliższe parę dni - uśmiechnął się człowiek w białym kombinezonie, czyli pan Kozula. - Niedawno uczeni wykryli między Jowiszem a planetoidami jakieś tajemnicze zjawisko i w związku z tym wszystkie loty pasażerskie w tym rejonie zostały chwilowo zawieszane. Nie wiem, jakim cudem wam udało się tu dotrzeć, ale to świetnie, że jesteście. Mamy już dość własnego towarzystwa i nie możemy się doczekać sezonu turystycznego. Przyjechaliście, żeby pojechać po górach, prawda?

- Dzień dobry panu - Irek stanął obok ojca. - Tak, po górach - rzekł z roztargnieniem. - Co to za zjawisko wykryli uczeni?

Pan Kozula przywitał się z Inią, po czym odpowiedział:

- Nie wiem. Z bazą, gdzie pracują miejscowi badacze, mamy dość luźny kontakt. A poza tym wiecie przecież, jak to jest z uczonymi. Nie pisną słówka, dopóki tego, co odkryli, nie zważą, zmierzają, obwążają i wpiszą do swoich jakże systematycznych katalogów. Ty też jesteś wspinaczem?

- Tak. I ja również - ubiegł chłopca Truszek. - Będziemy chodzić razem.

- Znakomicie! - zawołał gospodarz. - A teraz - dodał wesoło - prosimy w nasze skromne progi. Gwiazdziniec „Pięciu Księżyców” jest na wasze usługi.

Przed dworcem zielenił się pas bujnej łąki. Jej środkiem biegł szeroki, ruchomy chodnik unoszący teraz pierwszych tegorocznych gości Ganimeda. Coraz bliżej wznosiła się wypukła, ślepa ściana najbliższego mieszkalnego „księżycyca”.

- Pięknie tu u was! - wykrzyknął szczerze doktor Skiba.

- Poczekajcie, aż wjedziemy w wewnętrzny park gwiazdźniça - Kozula uśmiechnął się obiecująco. - Tam dopiero zobaczycie prawdziwe gospodarstwo Mamma-vity!

Irek zamrugał oczami.

- Czyje?

- Mammavity - powtórzył dobitnie gospodarz. - Ona jest naszym ekologiem i naprawdę nazywa się Mam-mavita, choć zważywszy jej zajęcie, brzmi to jak przydomek. W dodatku, nomen, omen, ma na imię Flora. Jako ekolog dba na Ganimedzie o wszystko, co żyje, ale jej główną pasją są kwiaty. Zaraz się przekonacie, co potrafiła zrobić z tego skrawka nieprzytulnego globu.

Chodnik wbiegał już w prześwit pod kulistym pawilonem, którego biała powłoka wydawała migotliwe lśnienie, jakby wtopiono w nią miliardy miniaturowych kryształków.

Irek odwrócił się i popatrzył w stronę odległego już dworca: W jego drzwiach ukazały się właśnie dwie małe figurki. Chłopiec poczuł podejrzaną ukłucie w sercu. Geo Dutour i Maia. Pewnie pilot, ratownik i przewodnik w jednej osobie musiał jeszcze skontrolować automaty lądowiska, zanim puścił statek i ruszył w ślad za gośćmi. A jego córka...

- Hej, a ty dokąd? - dobiegł go w tym momencie wesoły okrzyk ojca.

Irek odwrócił się z powrotem twarzą w kierunku jazdy i zobaczył, że wszyscy prócz niego stoją już na trawie obok chodnika, który minąwszy pierwszy z pawilonów gwiazdźniça skręcał ostro w lewo, wioząc go teraz do otwartych drzwi jakiegoś budynku, opatrzonych napisem: "Maszynownia". Ponieważ chwilowo nie zamierzał zwiedzać żadnych ganimedzkich maszynowni, jednym susem opuścił chodnik. Zrobił to nawet aż za szybko. Stracił równowagę, zatoczył się i... wylądował plecami na czymś wielkim, miękkim, co powitało go wyciem syreny alarmowej.

- Nie! Nie! Nie! - powtarzała piskliwie syrena.

- Irek! Co ty wyprawiasz?!

Chłopiec poczuł, że rosną mu skrzydła. Mimo woli poruszył rękami, ale zamiast wzlecieć w niebo przekonał się, że uczucie cudownej lekkości zawdzięcza jedynie wysięgnikom Truszka, które ujęły go pod pachy i ustawiły w pozycji pionowej.

- Dobrze już, dobrze - wymamrotał. - Puść mnie. Skrzydła zniknęły.

- To nie jest najlepszy sposób opuszczania chodników - powiedział tuż obok spokojny głos. Irek rozejrzył się, stwierdził, że ten głos należy do uprzejmego gospodarza "Pięciu Księżyców", ujrzał roześmiana twarz ojca i oprzytomniał. Pozostała do wyjaśnienia sprawa syreny. W głębokiej trawie, a częściowo -o zgrozo! - na starannie wypielęgnowanej grządce przepysznych irysów piętrzyła się przedziwna postać. Jej twarz i głowa należały bez wątpienia do kobiety. Pozostałe części ciała stanowiły górę obleczoną w ogromnych rozmiarów zielony worek.

- Irek! Pomóż pani wstać! Truszkule! - zawołał doktor Skiba.

Truszek i tym razem okazał się szybszy. Wyminał chłopca i znów wyciągnawszy swe cudaczne ramiona, skłonił się sztywno nad leżącą.

- Nie! - zawyla syrena. Truszek cofnął się i znieruchomiał. „Kobiety - pomyślał z goryczą Irek. - Wszystkiemu winne kobiety”.

Pokrzepiony na duchu stwierdzeniem tego faktu westchnął, po czym niezwłocznie przystąpił do działania. Podszedł do leżącej i wyciągnął rękę.

- Strasznie panią przepraszam - powiedział. -Ja... ja... - zająknął się. - Jestem tutaj pierwszy raz -wyjaśnił wreszcie przytomnie i logicznie przyczynę całego zamieszania.

- Na drugi raz, zapamiętaj to sobie dobrze - dobiegł z dołu już nie tak piskliwy, jak przed chwilą, głos - możesz mnie traktować jak worek bokserski lub piłkę do kopania, kiedy tylko ci się spodoba, byle nie na kwiatkach! Rozumiesz?! Nie na kwiatkach!!! A teraz uwaga: wstaję!

Ostrzeżenie wcale nie było zbędne. Chłopiec poczuł, że jego wyciągnięta w pomocnym geście ręka staje się coraz dłuższa i cieńsza, jak gumowa lina obciążona do granic wytrzymałości. W końcu jednak jego heroiczne wysiłki zostały uwieńczone sukcesem. Góra wróciła do pozycji pionowej.

- Uff - sapnął mimo woli, ocierając pot z czoła.

- No, to poznaliście się już z Florą - stwierdził nie bez satysfakcji pan Kozula. - Ona nie lubi automatów...

- Dlaczego ktoś miałby mnie nie lubić? - spytał Truszek. - Przecież mój program przewiduje pomaganie ludziom. Właśnie przed chwilą...

- Nie wierz mu - przerwała kobieta - ja lubię wszystko i wszystkich... Poza ciemnymi typami, które mną samą walczą kwiaty!

Mówiąc to spojrzała jednak na stojącego przed nią chłopca z tak wesołym błyskiem w oczach, że Irek bezwiednie odpowiedział jej uśmiechem. Doszedł nagle do wniosku, że pani Flora może być zupełnie sympatyczna, a poza tym nie jest znowu aż tak gruba... .

- Ale - ciągnęła miłośniczka kwiatów - zrozum, mój miły automacie - zwróciła się znowu do Truszkule - że miałam powody do zaniepokojenia. Najpierw, kiedy byłam zajęta pielęgnacją tych prześlicznych irysów, czyli kosańców, ulepszonej odmiany pallida, coś wyrznęło mnie w plecy z siłą rozpędzonego słonia, a potem zobaczyłam wyciągające się do mnie długie macki z drapieżnymi szponami. Przyznaj sam, że każdy w tej sytuacji wrzasnąłby ze strachu.

Truszek zastanowił się przez chwilę.

- Istotnie. Prawie każdy - orzekł łaskawie. -Chociaż nic nie wiem o żadnych szponach.

Pani Fiora zaśmiała się głośno, a następnie przygładziła swoje jasne włosy potargane w czasie nieszczęsnego wypadku i poprawiła strój, który miała na sobie, a który wcale nie był workiem, tylko zielonym kombinezonem, nieco zbyt obszernym nawet jak na rozmiary jego właścicielki.

- Mamma! - rozległ się w tym momencie dźwięczny głosik drżący z oburzenia. - Co to jest?! Kto to zrobił?!

Irek odwrócił się. No, tak. Geo Dutour i jego córka pokonali wreszcie odległość dzielące dworzec od wewnętrznego parku. Maia zeskoczyła lekko z chodnika i, utkwivszy wzrok w grządce irysów, załamała ze zgrozą ręce.

- A nic, nic - mruknęła potężna ogrodniczka, pochwywszy obłąkane spojrzenie chłopca. - Wywróciłam się...

- To przez nas - odezwała się nagle milcząca dotąd Inia. - Przylecieliśmy i od razu narobiliśmy zamieszania. Takie piękne kwiaty! Pomogę pani uporządkować tę grządkę, dobrze, pani Mammavita? - spytała, uśmiechając się blado.

- Nazywaj mnie Mamma, moje dziecko - odpowiedziała pogodnym tonem kobieta. - Nikt

tutaj nie mówi do mnie inaczej, toteż ilekroć słyszę swoje nazwisko w pełnym brzmieniu, myślę, że chodzi o jakąś nową oranżadę.

Doktor Skiba zerknął na córkę, po czym błyskawicznie powziął postanowienie.

- I ja uważam, że Inia powinna zająć się kwiatami. Ona także bardzo je lubi.

Korzystając z tego, że Inia pochylała się nad grządką irysów, ujął Mammę pod ramię i szepnął jej coś do ucha. Kobieta odwróciła się i popatrzyła na Inię ze współczuciem.

Irek bezwiednie wstrzymał oddech, ale nie udało mu się usłyszeć, co ojciec powiedział pani Mamie. Usłyszał za to coś innego,

- Wó! - wysyczał tuż obok niego bezgranicznie pogardliwy głosik.

Maia, wyraziwszy tak dobitnie swój sąd o świeżo przybyłym gościu „Pięciu Księżyców”, odwróciła się i odeszła. Chłopiec odprowadził ją rozżalonym i zdumionym wzrokiem.

- Skąd wiedziała, że to ja? - wykrztusił po chwili.

- Twoja bluza jest powalana ziemią - wyjaśnił zagadkę Truszek.

- No, dzieci, dość tego - Flora dziwnie rażno, jak na swoją tuszę, podeszła do Ini. - Ty - skinęła ręką na pana Kozulę - wracaj do swoich zajęć i żeby mi na wieczór wszystko było gotowe. A ja zajmę się gośćmi. Gdzie ich umieścimy? Wszystkie pawilony są jeszcze wolne - mówiła nie czekając na odpowiedź. - Wiem. W „Amaltei”. To pierwszy księżyc Jowisza... i nasz. My też tam mieszkamy. Będę miała oko na tego młodego człowieka - mrugnęła do Irka - który jak na kogoś, kto zwykł skakać innym na plecy, stanowczo za dużo waży. Nie szkodzi. Pochodzi po górach, to schudnie! - Pochwyciwszy spojrzenie, którym zaskoczony Irek zmierzył jej zwalistą sylwetkę, zawołała: - Co tak patrzysz?! To prawda, że jestem duża, ale ruszam się jak antylopa! Zobaczysz na

balu! No, chodźcie.

Wzięła Inię za rękę i, nie oglądając się na pozostałych, ruszyła w stronę sąsiedniej kulistej budowli, nieco mniejszej od tej, pod którą biegł główny chodnik prowadzący z astroportu.

Idąc wyspaną białym żwirem dróżką Irek zapomniał o owym lakonicznym „wó!”, którym pożegnała go śliczna córka miejscowego przewodnika. O ile bowiem wieniec pawilonów mieszkalnych „Pięciu Księżyców” przedstawiał z daleka widok intrygujący, o tyle tutaj, pośrodku tego wieńca, było wręcz cudownie. Same pawilony dopiero z tej strony miały na każdym piętrze szeregi podłużnych okien i szerokie tarasy ginące w zieleni i kwiatkach. Projektanci, doszedłszy widać do wniosku, że turyści i tak będą mieli dość mrocznych krajobrazów zimnego Ganimeda, usytuowali pomieszczenia mieszkalne w taki sposób, aby wszystkie okna wychodziły na wewnętrzny krąg, jasny, kolorowy i ciepły.

Sztuczne słońce stało w zenicie. W jego promieniach przepięknie mienił się ogromny model ojczyzny ludzi,

Ziemi, zajmujący centralny punkt dziedzińca. Wyraźnie rysowały się kontury kontynentów i wysp oblanych szmaragdowymi morzami. Opalizująca, odrobinę przytłuszczona na biegunach kula obracała się powoli, odstawiając wciąż nowe krainy, a wokół niej, jakby zawieszony na niewidzialnej nitce, pomykał Księżyc. Cała konstrukcja była umieszczona na podwyższeniu, od którego biegły promieniście wąskie ścieżki, miejscami znikające pod zielenią ozdobnych krzewów.

Wjechali schodami na piętro i przez balkon, cały obsypany wielkimi kwiatami glicynii, weszli do dużego, jasnego pokoju.

- Chcecie mieszkać razem? - spytała Mamma, po czym zgodnie ze swoim zwyczajem sama sobie udzieliła odpowiedzi: - Nie. Ty z synem zostaniecie tutaj - utkwiała wskazujący palec w doktorze Skibie - a ty...

- ... i ze mną - upomniał się Truszek.

- Tak, i z tobą - kobieta skinęła poważnie głową. - A ty, Iniu, dostaniesz sąsiedni pokój. Jest tak samo ładny, jak ten. Po przeciwnej stronie znajduje się mój własny apartament. Oczywiście, tam nie ma okien, ale ja ich nie potrzebuję. Cały dzień jestem w ogrodzie, a wieczorami i tak pracuję - ostatnie słowa Mammy dobiegły już z korytarza.

Ojciec stał dłuższą chwilę nieruchomo, wpatrując się w drzwi, za którymi zniknęły obie kobiety, po czym odetchnął głęboko, przetarł dłonią czoło i mruknął:

- Biedna Inia...

- Czy coś się stało? Mogę w czymś pomóc? - podchwycił Truszek.

- Nie, Truszkule - rzekł łagodnie doktor Skiba. - Jeśli ktoś tutaj może pomóc, to tylko Mamma. Naprawdę ma m m m a. Cudowna kobieta! Mądra... i złote serce!

- Serce? Złote? Au, pierwiastek o liczbie atomowej siedemdziesiąt dziewięć? - upewniał się Truszek.

- Nie - usłyszał cichą odpowiedź. - Nie.  
Nastąpiło milczenie.

- Tato - odezwał się po dłuższej chwili Irek - co oni robią w tej bazie? Dlaczego profesor Bodrin i jego asystent zachowywali się tak tajemniczo? I czemu od razu nie wzięli Iny ze sobą? Widziałeś, jak na siebie patrzyli, kiedy musieliśmy na łeb, na szyję schodzić z kursu, żeby przepuścić tę jakąś ekipę?

Ojciec chrząknął.

- Na pewno nie przylecieli tutaj, żeby się bawić w chowanego. Ty także nie lubisz, kiedy ktoś ci przeszkadza, gdy zaplanujesz sobie jakieś ważne zajęcie. A teraz nie mówmy już więcej o Bodrinie i jego sekretach. Podoba ci się na Ganimedzie? No, otrząśnij się! Jutro rano idziemy w góry?

- W góry? - ożywił się Truszek. - Rano? Jestem gotowy.

W tym momencie na korytarzu ponownie zabrzmiały damskie głosy i do pokoju weszła Mamma, a za nią Inia w zielonym roboczym kombinezonie.

- Masz dzielną córkę, Jacku... pozwól, że tak będę cię nazywać - zaczęła z uśmiechem opiekunka kwiatów i smutnych dziewcząt. - Namawiałam ją, żeby odpoczęła po podróży, ale ona postanowiła od razu pójść ze mną do ogrodu. No, to ubrałam ją, jak przystoi szaremu członkowi personelu, i zabieram ze sobą. A wy, wałkonie, możecie się nam przypatrywać przez okno. Zresztą prawdę mówiąc, akurat dzisiaj bardzo mi się przyda pomoc kogoś rozgarniętego. Wieczorem bal, wobec czego nasz znakomity kierownik może mi powyrywać wszystkie kwiaty, żeby ozdobić nimi salę. W zeszłym roku, także na otwarcie sezonu, ogołocił ze szczętem cały pawilon storczyków.

- Jak to? - zdziwił się doktor Skiba. - Naprawdę chcecie urządzić bal, mimo że żadnych turystów prócz nas nie ma?

- A co? - zaperzyła się Mamma. - Bal miał być dzisiaj, dzisiaj przyjechali pierwsi goście i nie widzę najmniejszego powodu, żeby przewracać do góry nogami cały harmonogram. Zresztą są trzy kobiety, Inia, Maia i ja, a chociaż was jest więcej, bo oprócz Kozuli i Geo przyjdą jeszcze dwaj inni mężczyźni, których nie znacie, to zobaczymy, kto komu da radę w tańcu! Poza tym bal jest przecież kostiumowy, więc któryś z panów może się przebrać za uroczą damę - zaśmiała się. - Na przykład ty, Irku, mógłbyś być Królową Śnieżką. Patrzysz na mnie takimi wielkimi, zdumionymi oczami jak najprawdziwsza, niewinna księżniczka!

- Nie! - zaprotestował w pierwszym odruchu chłopiec, ale zaraz zaśmiał się także.

Wkrótce jednak umilkł i spoważniał - usłyszał, jak ojciec mówi do Iny:

- Czy ty pójdziesz na bal?

- Przyrzekłam przecież, że nie będę psuć wam zabawy

- odpowiedziała cicho dziewczyna. - Pójdę na bal.

- A na razie pomożesz mi przy kwiatkach - Mamma szybko zmieniła temat. - Będziesz pilnować, żeby nikt nie wpadał na mnie jak meteoryt, akurat kiedy pielęgnuję najpiękniejsze irysy. Całe szczęście, że to nie były róże - dodała z namysłem. - Róże mamy wyjątkowo kolczaste.

- No dobrze, a zakładając, że nie będziemy na nikogo wpadać ani tratować, czy nie znalazłybyście jakiegoś zajęcia także dla nas? - zaproponował doktor Skiba. -Przynajmniej nie wymawiałybyście nam potem, że się wałkonimy.

- Do ogrodu was nie wpuszczę - ucięła Mamma. -Mniej delikatne prace wykonują u nas automaty.

- Automaty? - odezwał się Truszek. - Nie zauważyłem ani jednego. Słyszałem natomiast, że nie są tutaj lubiane.

Mamma uśmiechnęła się, podeszła do otwartego okna i wyciągnęła rękę, wskazując przestrzeń pomiędzy pawilonami.

- Prawda jaki sielski obrazek? - powiedziała z ledwie uchwytną nutką ironii. - Całkiem jak na Ziemi, w rezerwacie krajobrazowym. Niebo bez jednej chmurki, pachną kwiaty, brzęczą owady, wszystko rośnie i rozwija się samo, czyż nie tak? Moi drodzy, pod tą uroczą łączką znajdują się całe kilometry szybów, tuneli i hal wytwórczych, pełne maszyn i agregatów zanurzonych w ciekłym helu przywożonym nam przez specjalne bezzałogowe sondy, które czerpią go wprost z atmosfery Jowisza. Jowisz dostarcza także energii naszym sztucznym słońcom, bez których nie byłoby tutaj ani źdźbła trawy. Automatyczne fabryki produkują wodę oraz tlen. Baterie siłowe pola ochronnego bronią nas przed niespodziewanymi wizytami prawdziwych meteorów. Żaden żywy człowiek nie interesuje się jedzeniem ani tym, w jaki sposób pojawiają się na stołach wyszukane potrawy stanowiące specjalność ganimedzkiej kuchni. Dziś wieczorem pójdziecie na bal. Musicie mieć kostiumy, a przecież nie przywieźliście ich ze sobą. Ale wystarczy, żebyśmy przycisnęli guziczek, o, tutaj - odwróciła się i wskazała zgrabny biały pulpit stojący pod ścianą obok wejścia do łazienki - a robot przyniesie wam stroje, jakie tylko sobie wymarzą. Tak, tak, Truszkule, na jednego człowieka wypada tutaj kilkanaście automatów, bez których nikt nie mógłby żyć na tym globie. Więc nie gniewaj się już na mnie. Możesz być raczej dumny.

- Nie gniewam się - odpowiedział po krótkiej pauzie Truszek. - Ale nie jestem też dumny.

- To dobrze - Mamma skinęła z powagą głową. - Chciałabym poznać twojego konstruktora. Musi być miłym i skromnym jegomościem.

Doktor Skiba uśmiechnął się znacząco.

- To ja - rzekł. - Zazwyczaj projektuję sondy galaktyczne. Ale trafiło mi się kiedyś wolne popołudnie...

- Popołudnie? Jak to? Jedno popołudnie?

Irkowi wydało się, że w głosie Truszki zabrzmiała głęboka uraza.

- Życie nie szczędzi nam rozczarowań - westchnęła Mamma. - Widzisz, okazuje się, że twój twórca wcale nie jest tak skromny, jak myślałam. Ale ja mu nie wierzę. Ręczę, że mozolił się nad tobą co najmniej przez tydzień!

- Dwa tygodnie - szepnął ze skrucą konstruktor.

- Proszę! A teraz, skoro zdekonspirowaliśmy już waszego ojca, chodźmy wreszcie - Mamma wzięła Inię pod ramię i skierowała się ku drzwiom. - A wy dwaj nie gnijcie w pokoju, tylko poruszajcie trochę nogami - rzuciła przez ramię. - Zapowiedziałam wprawdzie, że do ogrodu was nie wpuszczę, ale po drodze zobaczycie parę ciekawych rzeczy. No, marsz!

Doktor Skiba wraz z synem posłusznie ruszyli za obiema kobietami. Za nimi potupał Truszek.

- Ty zostań tutaj - Irek zatrzymał się w progu. - Przecież nie idziemy w góry.

- Na obcych globach mogę być przydatny nie tylko w górach.

- Nie opuścimy strefy chronionej. Zostań.

- Dobrze.

- Niedługo wrócimy - rzucił mu na pocieszenie chłopiec i pobiegł za ojcem, który zniknął już za najbliższym zakrętem korytarza.

Mamma prowadziła ich dość długo. W pewnym momencie złocistobiałe światło lamp przyćmiły ostre promienie słońca wpadające przez podłużne okna. Irek zorientował się, że przechodzą krytym, napowietrznym chodnikiem do drugiego pawilonu, tego, pod którym biegła trasa prowadząca z astroportu. Chwilę później skręcili w boczną odnogę korytarza i przez następne dwie minuty wspinali się po wąskich schodkach, z całą pewnością nie przeznaczonych dla turystów. Wreszcie ujrzeli przed sobą drzwi, podobne trochę do pancernych włą-

zów kosmicznych statków. Mamma otworzyła je, przekroczyła stalowy próg i zatrzymała się niepewnie.

- Oooo - zawołała półgłosem - nie wiedziałam, że ktoś tu jest! Przyprowaździłam gości...

Odpowiedział jej czyjś niechętny pomruk.

Irek na wszelki wypadek zrobił szybko kilka kroków do przodu. Zanim zostaną stąd wyrzuceni przez tego niewidzialnego mrućka, musi przecież zobaczyć, co Mamma chciała im pokazać.

Zobaczył dużą, okrągłą halę pełną urządzeń połyskujących kolorowymi gwiazdkami sygnalizacyjnych lampek. Hala była pogrążona w głębokim półmroku i te lampki przypominały

troszkę oglądane z morza światła wielkiego portu.

Dokładnie pośrodku pomieszczenia stał wygięty w podkowę pulpit, wewnątrz którego, odwrócony tyłem do wejścia, siedział mężczyzna w ciemnym kombinezonie. Obok niego stał krępy, ostrzyżony na jeża chłopiec. Popatrzywszy na Mammę, potrząsnął przecząco głową, jakby chciał powiedzieć, że nie ma dla niej żadnych dobrych wiadomości. Mężczyzna w fotelu ani na moment nie oderwał oczu od umieszczonego nad pulpitem panoramicznego ekranu. Co prawda na tarczy tego ekranu skakały jedynie złote, splątane niteczki, ale dla nieznanego obserwatora były one widać tak frapujące, że pochłaniały bez reszty całą jego uwagę.

- Przyszliśmy chyba trochę nie w porę - szepnęła Mamma. - To jest dyspozytornia „Pięciu Księżyców”, a zarazem centrum łączności naszego sektora wielkich planet. Chciałam wam zilustrować mój wykład o tym, czego nie widać, kiedy patrzy się na krajobraz gwiazdzińca oczami turystów. Zwykle o tej porze nie ma tu nikogo... ale dziś musiało zajść coś niezwykłego. Lepiej będzie, jeśli stąd pójdziemy.

Mamma mówiła naprawdę bardzo cicho, jednak nie dość cicho dla chłopca stojącego za pracującym mężem

czyżną. Odszedł na palcach od pulpitu i zaczął iść w stronę przybyłych. W miarę jak się zbliżał, twarz Irka zmieniała wyraz. Najpierw odmalowało się na niej niedowierzanie, potem zajaśniała przelotnym uśmiechem, by następnie znowu spochmurnieć.

- Din! - wykrzyknął przyszedł zdobywca ganimedzkich szczytów. - Din Robinson! Co ty tu robisz?!

Chłopiec zatrzymał się jak wryty i przez chwilę mierzył badawczym spojrzeniem intruza, który niespodziewanie zawołał go po imieniu. Trwało to tak długo, że Irek zaczął się w końcu zastanawiać, czy nie popełnił pomyłki. Ale o pomyłce nie mogło być mowy. Przed nim stał Din Robinson, jego kolega z klasy, który jeszcze wczoraj, tak jak wszyscy, opowiadał panu Seynie o swoich wakacyjnych planach. Irek, pochłonięty rozpamiętywaniem przepastnych głębin propedeutyki psychologii, nie słyszał wtedy, co mówią inni. Ale nawet gdyby usłyszał, że ktoś leci na Ganimeda, przyjąłby tę wiadomość najzupełniej obojętnie. On sam przecież przygotowywał się wówczas do wyprawy na Ziemię, w Andy.

- Dzień dobry - przemówił wreszcie Din. Jego ton świadczył dobitnie, że ma teraz na głowie sprawy znacznie ważniejsze niż zabawianie niepożądanego gościa. -Ojciec jest bardzo zajęty - wskazał ruchem głowy mężczyznę siedzącego pod ekranem. - Straciliśmy kontakt z ekipą. Właśnie trwają próby przywrócenia łączności, Uczni postanowili wykorzystać w tym celu wszystkie nadajniki na Ganimedzie. Profesor Bodrin i jego asystent pracują w bazie, a ojciec przyjechał tutaj.

- I zabrał cię z sobą? - spytała cichutko Mamma. Din stropił się.

- No, nie chciał mnie zostawić samego, to znaczy nie samego, tylko...

- To znaczy, że nie pozwolili ci zostać w bazie - kobieta skinęła ze zrozumieniem głową. - Więc mówisz, że stracili kontakt? Kiedy? Ogłoszono alarm?

- Jakies dwie godziny temu. Alarm... - Din zawahał się - nie, o alarmie nic nie słyszałem.

Irek pochmurniał coraz bardziej. Okazuje się, że Din, jako syn badacza pracującego w tutejszej bazie, doskonale wie, co to za tajemnicza ekipa przecięła im drogę, kiedy lecieli z Marsa. A w dodatku Mamma także zachowuje się, jak osoba niezłe poinformowana. Tylko im nikt nie chce nic powiedzieć. Dlaczego? Jak wynika z tego, co mówi Din, baza nie ma kontaktu z ową ekipą. A przecież w kosmosie utrata łączności to już niemal katastrofa!

W takiej sytuacji nie czas chyba na zabawę w ciuciubabkę. Przynajmniej ojciec mógłby okazać nieco żywsze zainteresowanie wypadkami, które właśnie rozgrywają się na tym martwym globie.

Akurat ten moment wybrał sobie doktor Skiba, by rozwiać ostatnie nadzieje syna na bardziej aktywny udział w rozwiązywaniu zagadki zaginionej ekipy. Spojrzał mianowicie na Mammę i powiedział:

- Masz rację, nie przeszkadzajmy im. A ty - zwrócił się do Dina - powiedz przy okazji twojemu ojcu, że gdybym mu mógł w czymś pomóc, to jestem do jego dyspozycji. Chodźmy, Irku.

Odwrócił się i już miał zamiar opuścić mroczną halę, kiedy zabrzmiał zdławiony okrzyk Ini:

- Piotr!!! Piotr!!!...

Doktor Skiba w ostatniej chwili zdążył zatrzymać córkę, która chciała pobiec w stronę pulpitu.

Na ekranie miejsce tańczących linii zajęła skupiona twarz młodego mężczyzny o wyostrzonych rysach i zaciętych wargach.

- Iniu - szept ojca było ledwie słyszalny - to nie jest Piotr. Jego tu nie ma... Iniu, zastanów się. Proszę cię...

Mężczyzna na ekranie odwrócił się profilem, jakby tam, gdzie przebywał, zaszło coś, co odwróciło jego uwagę od kamery przekazującej obraz do dyspozytorni "Pięciu Księżyców".

- Przeszedłem na wszystkie pasma - jego słowa dobiegły z niewidocznych głośników. - Bez rezultatu. Mimo to na razie nie będziemy ogłaszać alarmu. Wiedzieliśmy od początku, że t a m są kłopoty z łącznością, a gdybyśmy zarządzili ciszę w całym sektorze, musielibyśmy potem odpowiadać na zbyt wiele pytań... - umilkł i przez chwilę patrzył gdzieś za siebie. - Tak, panie profesorze - powiedział wreszcie, a następnie zwrócił się ponownie do obiektywu kamery. - Słuchaj, Olaf, profesor Bodrin pyta, czy przeczesywałeś sąsiednie pasma?

- Tak - odrzekł krótko ojciec Dina. Jego nieco zachrypnięty baryton wzbudził w wielkiej hali słabiutkie, głucho echo.

- Czyli zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy - skwitował mężczyzna z ekranu. - Miejmy nadzieję, że w końcu się odezwą. Jeśli nie, to zestroimy odbiorniki bazy i gwiazdzińca, a ty wrócisz tutaj. Możesz być potrzebny, gdyby zaszła konieczność podjęcia bardziej stanowczych kroków. Wiesz, co mam na myśli, prawda? Na razie wyłączam się. Życzymy sobie nawzajem powodzenia.

Twaz uciekła z ekranu jak zdmuchnięta, a zamiast niej ponownie pojawiły się skłębione nitki.

Mamma zdecydowanym ruchem objęła Inię i wyprowadziła ją z dyspozytorni. Dopiero kiedy cała trójka pierwszych tegorocznych gości „Pięciu Księżyców” zeszła z powrotem po stromych schodkach i znalazła się w jasnym korytarzu, Mamma powiedziała cicho:

- To naprawdę nie był Piotr. Ja także go znałam, bo przecież mieszkał na Ganimedzie. Ten mężczyzna, którego widziałas, jest teraz w bazie, a pokazał nam się tylko dlatego, że przez chwilę rozmawiał z Olafem Robinsonem, ojcem Dina.

- Wiem - wykrztusiła dziewczyna. - Wiem. To był brat Piotra, Karol... - zaczerpnęła głęboko powietrze i

mówiła dalej odrobinę raźniejszym głosem: - On pracuje na stacji orbitalnej krążącej wokół Wenus. Nie wiedziałam, że przyleciał tutaj. Nie jest nawet tak bardzo podobny do Piotra. Mimo to w pierwszej chwili, kiedy, go zobaczyłam... - zająknęła się, - Przepraszam, zachowałam się jak idiotka. Ja...

- Jak idiotka zachowałam się tylko ja - nie pozwoliła jej skończyć Mamma. - Co też mnie podkusiło, żeby was tu przyprowadzić! Dyspozytornia! Wielkie mi rzeczy! Ale dość o tym. Teraz jak najprędzej do ogrodu!

Ojciec szedł w milczeniu, nie rozglądając się. Irek też nic nie mówił. Wkrótce Mamma wyprowadziła ich na taras, z którego zeszli na trawnik odgradzający pawilony od właściwego parku. Zatrzymali się.

Chłopiec spoglądał chwilę na jaśniejący w promieniach sztucznego słońca krajobraz, tak cichy, harmonijny i kolorowy, po czym bezwiednie potrząsnął głową.

- Tato - rzekł niespodziewanie dla samego siebie - ja wrócę do domu, dobrze? To znaczy, do naszego pokoju.

Doktor Skiba przyjrzał mu się uważnie. W pewnym momencie jego jasnoniebieskie oczy jakby przygasły.

- Jesteś zmęczony, synu? - spytał.

- Nie, tato... To jest, chciałem powiedzieć, trochę.

- Musisz odczuwać zmianę klimatu. Dobrze, idź i odpocznij. Zresztą ja także niedługo wrócę. Popatrzę tylko przez parę minut, jak pracują nasze panie. No, cześć - odwrócił się szybko i z nieco sztucznymżywieniem zaczął coś mówić do Mammy.

Irek odprowadził całą trójkę melancholijnym wzrokiem, po czym ruszył w przeciwną stronę.



Szedł po wysypanej drobniotkim, białym żwirem ścieżce, zamyślony, z nisko zwieszoną głową. Dotarłszy wreszcie do pokoju, nie odpowiedział nawet na radosne powitanie Truszcza. Przeszedł się od okna do drzwi i z powrotem. Następnie przez dobrą minutę stał bez ruchu, spoglądając ponad

białą głową przeciwnego pawilonu na dalekie zamglone góry. W końcu westchnął i zdjął swoją granatową bluzę. Zanim ją rzucił na oparcie fotela, odruchowo opróżnił kieszenie. Wśród innych drobiazków na stolik pod oknem padło znajome, płaskie pudełeczko. Irek podniósł je, otworzył i przez chwilę bez żadnej myśli przesypywał z dłoni do dłoni malutkie szkiełka krystalografów. Potem usiadł. Ciągłe nie zastanawiając się nad tym, co robi, wsunął pierwszy z brzegu kryształek do projektora, rozsunął obiektyw i wduśił mikroskopijny przycisk.

Natychmiast w powietrzu, dwa metry przed Irkiem, zarysował się ostry prostokąt świetlnego ekranu. Ułamek sekundy później wewnątrz tego prostokąta wystąpiły równe, czarne linijki tekstu. U góry widniało wyświetlone rozstrzelonymi literkami słowo: WSTĘP.

*Dawniej, gdy ludzkość borykała się z takimi klęskami. jak wojny, głód. nierównomierny podział dóbr i choroby. o prawdziwym szczęściu człowieka rozmyślali jedynie uczeni humaniści i poeci, których ani rządy poszczególnych krajów, ani wpływowe grupy pochłonięte troską o awans materialny nie traktowały poważnie.*

*Dopiero nasza epoka, w której każdy może otrzymać potrzebne mu rzeczy, uczestniczyć w wydarzeniu kulturalnym lub zamówić bilet na statek lecący do dowolnego punktu zamieszkanego świata, wszystko to bez najmniejszego wysiłku mięśni ani umysłu, za jednym naciśnięciem guzika, szczególnie dobitnie unaoczniała ludziom prawdziwy sens ich istnienia, ich nauki i pracy. Zrozumieliśmy, że wprowadzie ubyłoby nam mnóstwo kłopotów, ale nie przybyło ani odrobiny szczęścia.*

*Kolejne rozdziały niniejszego podręcznika mają wam wskazać sprawdzone przez nowoczesną psychologię drogi wiodące do zrozumienia samego siebie. Bo człowiek jest istotą nazbyt skomplikowaną, aby jego życie mogło wypełnić zaspokajanie fizycznych potrzeb.*

*Przyroda wyposażała każdego z nas we wspólny instrument, mózg, jednak nie rodzi się z umiejętnością prawidłowego korzystania z tego instrumentu. Musimy się tego uczyć. Musimy poznawać samych siebie, bo tylko odkrycie naszych istotnych potrzeb pozwoli nam szukać szczęścia w ich zaspokajaniu. Musimy także uczyć się rozumieć innych ludzi, aby w razie potrzeby umieć im mądrze pomagać, bo nikt nie znajdzie swojego osobistego szczęścia wśród nieszczęśliwych...*

Irek wyłączył projektor. Następnie przez parę sekund siedział nieruchomo, znowu wędrując wzrokiem ponad kopułami białych pawilonów, tam gdzie rysował się ciemny, nie zafałszowany sztucznym słońcem horyzont Ganimeda. W pewnym momencie powtórzył na głos słowa: „wszystko za naciśnięciem guzika”. Zakołatała mu w głowie myśl, jak by to było dobrze, gdyby istniał taki guzik, który na przykład mógłby sprawić, aby pewna osóбка z czarną grzywką nie mówiła do niego: „wół”, tylko zupełnie inaczej. Albo żeby Inia...

Wstał. Odszedł od okna i zaczął krążyć po pokoju. Nie. Nie potrafiłby wyjaśnić dlaczego, ale był pewny, że nigdy nie skorzystałby z takiego guzika. Byłoby po prostu głupio, gdyby jakiś tam guzik czy automat wtrącał się w sprawy... w sprawy...

- No, w moje sprawy! - zakończył na głos. Nie wiedzieć czemu, ze złością się na samego siebie i dlatego powiedział to tak napastliwym tonem, że aż Truszczyk zamigotał niespokojnie swoimi lampkami.

## **Przerwany bal**

Słońce przygasało. Za to Ziemia pośrodku wewnętrznego parku „Pięciu Księżyców” świeciła ostrymi barwami kontynentów i nieco zbyt jasnym błękitem oceanów. Ukryte reflektory układały wysoko na niebie wielki napis:  
DZIŚ BAL.

Irek od paru minut, to znaczy od chwili, gdy włożył strój dostarczony mu przez miejscowy automat, stał nieruchomo przed lustrem. Rzecz jasna, że nie szata zdobi człowieka. Ale jeśli ktoś chce nie być człowiekiem?

- Zrób tak, żebyś wyglądał jak przybysz z dalekiej obcej planety - powiedział pół godziny temu robotowi. - Nie chodzi mi o kostium prawdziwego kosmity - dodał na wszelki wypadek -

tylko takiego z jakiegoś filmu.

Ganimedzki robot wywiązał się z powierzonego mu zadania sumiennie i inteligentnie. Toteż tułów stojącego teraz przed lustrem chłopca tkwił w obcisłym srebrzystym kombinezonie obejmującym także szyję, gdzie przechodził w coś podobnego do dziobu małej łodzi, co podierało brodę. Z ramion i pleców Irka spływała długa, powiewna peleryna lśniąca mgławicami, ogoniastymi kometami i wyobrażeniami nieziemskich statków kosmicznych. Wprawdzie komuś pozbawionemu wyobraźni mogły się nasunąć pytania, dlaczego przybysz z najdalszych gwiazd musi mieć na piersi wizerunek ziejącego ogniem smoka z czysto ziemskich bajek, a także czy kosmici na pewno zwykli zdobić swoje głowy rogatymi myckami obwieszonymi kolczastymi pomponikami, ale w końcu kto wie, czy istoty zamieszkujące konstelację Łabędzia nie byłyby skłonne używać w charakterze czapek nawet i żywych jeży, a smoki, jeśli kiedyś gnieździły się pod Krakowem, to równie dobrze mogą do dziś ryczeć w Mgławicy Andromedy.

Irek jeszcze stał przed lustrem, gdy w drzwiach pojawiła się malownicza para.

Mężczyzna miał bujną, okrutnie czarną brodę, która mnóstwem misternie splecionych warkoczyków opadała mu aż na piersi. Do jego policzków przylegały półksiężycy wykonane z bogato zdobionej blachy, przechodzące wyżej w lśniący od klejnotów hełm. Poza tym był spowity w przepyszną szatę przepasaną amarantowym pasem, za którym tkwił ozdobny nóż z ogromnym turkusem w głowni.

- Widzisz przed sobą walecznego króla Asyrii, Tiglat-pilezara Pierwszego - zawołał przybysz głosem ojca. - Pozdrowienie ci, cudzoziemcze... a raczej n i e z i e m -cze!

Irek zmarszczył brwi.

- Król... król? - wzruszył ramionami. - Kto to taki? My - wypiął dumnie pierś - z planety Bualuabarbar w Galaktyce Kwitnących Gwangli nie mamy królów. Ale pozdrawiam cię, pozdrawiam - dodał łaskawie. - A kim jest dama, która ci towarzyszy?

Władca zaśmiał się triumfalnie.

- To piękna niewolnica, którą przywieźli mi kupcy z dalekiego i tajemniczego kraju Wysp Szczęśliwych, a którą, ujęty jej wdziękiem i talentami, postanowiłem usy-nowić... to jest tego, chciałem powiedzieć...

- Uócrczyć - podsunęła cicho niewolnica.

- U... co? A fe, cóż za okropne słowo! - król skrzywił się z niesmakiem. - Niemal jak nazwa tej planety... Bua-bua... co dalej? Zresztą nieważne! Oto moja towarzyszka w całej krasie! - zawołał, cofając się o krok, by kosmita mógł bez przeszkód nasycić oczy widokiem byłej mieszkanki Wysp Szczęśliwych.

W padającym przez okno kolorowym świetle ukazała się twarz Ini. Dziewczyna była blada, ale w kącikach jej warg błąkał się nikły uśmiešek.

- No, wiesz! - wykrzyknął Irek z nieco przesadnym entuzjazmem. - Nigdy bym cię nie poznał!

Inia miała na sobie powiewną, haftowaną złotem suknię, spod której spływały bufiaste szarawary. Jej kibić obejmował szeroki pas zrobiony z tysięcy srebrnych kółeczek. Głowę uócrczonej niewolnicy zdobiła spiczasta czapka zwieńczona złotym półpierścieniem, z luźną, muślinową chustką przyczepioną do jego rożków.

Spiczasta czapka pochyliła się w stronę Irka.

- Jasne - powiedziała Inia. - Sama bym siebie nie poznała. Ale w przeciwieństwie do ciebie wolę nie patrzeć w lustro. Wiem, jak wyglądamy. Kosz-mar-nie!

- Też coś!... - doktor Skiba zrobił obrażoną minę, jednak zaraz zaśmiał się na cały głos. - Masz rację, ale przecież to ma być zabawa, a nie powtórka z historii!

Słowo „powtórka” odbiło się niemiłym echem w umyśle kosmity. Na szczęście właśnie w tym momencie framugę szerokich drzwi pokoju wypełniło coś ogromnego, co na pierwszy rzut oka przypominało monstualną główkę kapusty, z której odstają przywiedle na brzeżkach liście.

- No, jesteście gotowi? Tak? To świetnie! Wobec tego idziemy! - wesoło zawołała ukryta w kapuście Mamma. - Wspaniale wyglądacie!

Doktor Skiba patrzył w stronę drzwi jak zahipnotyzowany. Wreszcie uniósł powoli rękę i usiłował potrzeć palcami czoło. Natrafił na krawędź asyryjskiego hełmu i szybko cofnął dłoń.

- Tak, tak, jesteśmy gotowi - rzekł niepewnie. - Ty także bajecznie wyglądasz - zdołał wykrztusić. - Tylko ten kostium... nie bardzo wiem...

- Czego nie wiesz?! - fuknęła Mamma. - Przebrałam się za pączek róży! Przecież to widać na pierwszy rzut oka!

Ogromna sala balowa w głównym pawilonie „Pięciu Księżyców” oświetlona była setkami pastelowych lampek dyskretnie ukrytymi nad bufetami, pełnymi wyszukanych smakołyków, i pomiędzy ozdobnymi palmami, za którymi widać było płaszące na ścianach ruchome obrazy przedstawiające sceny ze znanych książek lub filmów. Sferoramiczna muzyka była tak samo dobrze słyszalna w każdym zakątku sali, co jednak nie znaczy, że jej dźwięki mogły komukolwiek przeszkadzać w miłej, beztroskiej rozmowie. A należało się spodziewać dyskusji ożywionych i wielce interesujących. Przecież gdy spotykają się król Asyrii z Pączkiem Róży, mieszkanka Wysp Szczęśliwych z kosmitą, średniowieczny admirał floty hiszpańskiej z zamaskowanym piratem, anioł poruszający nadymanymi skrzydłami z ponurym typem w czerwonym kapturze, to z pewnością będą sobie mieli mnóstwo do powiedzenia. A oprócz wymienionych w sali znajdowali się jeszcze: staroświecki blaszany robot kroczący sztywno na prostokątnych nogach zakończonych jednak u dołu ludzkimi stopami tkwiącymi w miękkich sandałach, przygarbiony przedpotopowy pustelnik, który nie nosił maski, bo broda oraz wąsy i tak zasłaniały mu dokładnie całą twarz, no i postawna dama w marszczonj szmaragdowej sukni i w kapeluszu o kolosalnym rondzie.

- Widzicie, wszyscy już są - powiedziała z satysfakcją Mamma, prowadząc swoich gości prosto do najbliższego bufetu. - Najpierw łyczek czegoś zimnego - zadysponowała. - W moim wieku przeobrażenie się w pączek róży, tak aby nikt nie mógł mieć wątpliwości, czym jestem, wymaga jednak nieco zachodu. - Podniosła do ust szklankę pełną złocistego płynu. - Uff... - sapnęła z ulgą, odstawiając puste naczynie. - Pycha! Spróbujcie sami!

Irek posłusznie sięgnął po szklankę. Jeszcze trzymając ją przy ustach, zauważył kątem oka, że tuż przed nim upadła na podłogę mała różowa kuleczka. Schylił się i przy tym ruchu dotknął człowieka w czerwonym kapturze. Człowiek ten także patrzył na podłogę, odprowadzając wzrokiem toczącą się jeszcze kulkę. Spostrzegłszy, że Irek mu się przygląda, szybko odszedł. Jednak chłopiec odniósł wrażenie, że przez szparki w kapturze spojrzyły na niego czyjeś oczy z wyrazem obawy i rozczarowania. W tej samej chwili za plecami kosmity coś zachrzęściło. Odwrócił się. Mały automat pomocniczy, który wychynął spod bufetu, sięgnął właśnie po różową kulkę, żeby usunąć ją z podłogi. Widać doszedł do wniosku, że ktoś może się na niej pośliznąć, a przeleż troska o ludzi jest pierwszym obowiązkiem robotów. Oczywiście prawdziwych robotów, nie takich jak ten przebrany grubas na blaszanych prostokątnych nogach.

Ale osobnik w stalowym pudle także zainteresował się upuszczoną przez kogoś pigułką. W dodatku zrobił to w dość szczególny sposób. Mianowicie otworzył jakieś drzwiczki w swoim pancerzu, na wysokości piersi, pochylił się i zastygł w pozycji strzelca celującego do nieruchomiałej z przerażenia myszy. Nie padł wprawdzie strzał, ale mały porządkowy robot nagle puścił różową kulkę i zaczął dygotać całkiem jak żywa istota porażona okrutnym strachem.

Raptem umilkła muzyka. W zupełnej ciszy szmaragdowa dama zrzuciła suknię i kapelusz wraz ze zwisającym z niego szalem. Ukazał się kierownik „Pięciu Księżyców”, Adam Kozula, z małym mikrofonem w ręku.

- Automaty kuchenne poinformowały mnie właśnie - powiedział - że na sali są dwaj dodatkowi goście, których nie spodziewaliśmy się.

- O, sknery! - zawołał ktoś rozpaczliwie. - Liczycie, ile kto zjadł?!

- Możemy przyjąć pięćdziesiąt razy więcej osób, niż liczy przemiłe grono, które dziś zaszczyliło nasz ośrodek

- odpowiedział nie zmieszany gospodarz gwiazdzińca. -

I na pewno przyjęlibyśmy ich czym chata bogata. Ale roboty zawsze liczą gości, bo to należy do ich obowiązków. Otóż sprawa jest dość dziwna - głos Kozuli stwardniał. - Jak wiecie, chwilowo nie lądują na Ganimedzie pasażerskie statki, więc nikt nie mógł zjawić się niespodziewanie... Wobec tego nie dziwcie się, że musimy wyjaśnić zagadkę powiększenia liczby uczestników zabawy. Proszę, aby wszyscy na chwilę zdjęli maseczki i zasłony...

Urwał, bo nagle bełkotliwie odezwał się głośnik:

- Alarm... alarm... alarm... Ogłaszam alarm!
- Kierownik „Pięciu Księżyców” natychmiast zbliżył mikrofonik do ust.
- Jaki alarm? Którego stopnia?
- Zagrożenie... zagrożenie...
- Jakie zagrożenie?! Co się stało?! Czy twoje zespoły samonaprawcze są sprawne?! -

Kozula mówił coraz szybciej.

"Zespoły samonaprawcze" - powtórzył w duchu Irek. - A więc alarm ogłasza komputer, pewnie główny mózg ośrodka. Ale dlaczego tak dziwnie? Bez żadnych wstępnych informacji i instrukcji?.

- Zagrożenie... bliskie... nie wiem... boję się... - bełkotał głośnik.
- Uwaga, wszystkie automaty! - kierownikowi wystarczyło zobaczyć to, co usłyszał. -

Ogłaszam...

Nikt się nigdy nie dowiedział, co pan Kozula zamierzał ogłosić. Przerwał mu bowiem przeraźliwy, wysoki głos, ten sam, który tak niedawno zarzucił gospodarzom gwiazdzińca sknerstwo.

- Zdrada!!! To przez te twoje przeklęte pudła!!! A mówiłem!!!

Przez salę przemknął jak czerwona błyskawica osobnik w kapturze, za którym - z tą samą, niezwykłą zważywszy jego zwalistą postać szybkością - podążał blaszany robot. Nim widzowie ochłonęli z wrażenia, tamci dwaj już dopadli drzwi i zniknęli za krzewami zdobiącymi taras.

- Zagrożenie minęło - poinformował oficjalnym tonem komputer. Pan Kozula ocknął się pierwszy.

- Co to było? Czemu ogłosiłeś alarm?

- Brak kompletnego zapisu w przystawce pamięciowej - odpowiedział po chwili jakby z wahaniem głośnik. - Sygnał zagrożenia...

- Ale kto to był?! - pisnął z wściekłością Pączek Ró-ży. - Kto przerwał nam zabawę?!

- Przekonamy się - sędziwy pustelnik błyskawicznie zrzucił z siebie połataną szatę.

Na podłogę spadła wielka peruka i jeszcze większa sztuczna broda. Uwolniony od swego kostiumu Geo Dutour puścił się biegiem w ślad za uciekinierami.

- Poczekaj! - krzyknął Tiglatpilezar Pierwszy. - Idę z tobą!

- Ja także! - pirat, który okazał się Dinem, wyminąwszy admirała, czyli Olafa Robinsona, pędził już za miejscowym ratownikiem.

Anioł zrzucił skrzydła i stanął rozglądając się bezradnie po sali wielkimi pięknymi oczami Mai Dutour. Na ten widok Irka ogarnęła przemożna wola działania. On dopędzi intruzów, kimkolwiek byli. On ich zdemaskuje!

Wpadł na taras. Po drodze gwałtownym szarpnięciem zrzucił z siebie powłóczystą pelerynę. Mógł teraz biec szybciej niż inni. Nie darmo na szkolnych zawodach zawsze należał do najlepszych średniodystansowców. Wkrótce prześcignął nie tylko admirała, lecz także jego syna. Aby dostać się z tarasu do ogrodu skorzystał z po-ręczy, w sposób, którego nie powstydziliby się sam Da-nek. To dało mu znowu parę metrów przewagi.

- Wzywam RX-jeden, RX-dwa, RX-trzy! - usłyszał lekko zdyszany głos ojca Mai, w momencie gdy go wy-

przedzał. - Wzywam RX-jeden... - nawoływanie ucichło za Jego plecami.

- Uważaj, synu! Zaraz kończy się strefa! - dobiegło go ostrzeżenie króla Tiglatpilezara wyzutego już ze swego monarszego dostojęstwa.

W dzień byłoby trudno komuś, kto nie znał dobrze „Pięciu Księżyców”, wypatrzyć maleńki budynek słuzy i wartowni na granicy strefy. Teraz jednak z daleka przykuwała uwagę umieszczona na nim pomarańczowa lampka migająca ostrymi rozbłyskami.

Irek biegł dotąd, podobnie jak wszyscy, po wysypanej żwirem ścieżce. Teraz, mruknąwszy w duchu: „Mamma wybacz”, puścił się na przełaj przez trawę i kwiaty.

- Człowiek!!! Człowiek!!! Człowiek!!! - usłyszał niedaleko przed sobą gniewne i rozpaczliwe wołanie. - Człowiek, ty blaszana pucho!!!

Jeden ze zbiegów, chudy, czarny osobnik, który na balu występował w czerwonym kapturze, tłukł pięściami w drzwi słuzy, powtarzając wciąż swoje: „człowiek, człowiek, człowiek”, co miało zapewne skłonić automaty wartowni, aby wpuściły go do środka, I tak też

się stało.

Kiedy Irek dobiegł w końcu do granicznego budynekczku, trafił na pancerną płytę zagradzającą wejście, przed którym nie było już nikogo.

- Człowiek! Człowiek! - zawołał na wszelki wypadek, ale bez większego przekonania.

Wiedział, że jeśli uciekinierzy przebijają się teraz wewnątrz w próżniowe skafandry, bez których nie mogli przecież opuścić strefy ochronnej, to automat śluzy nie otworzy drzwi, zanim tamci nie wyjdą z wartowni po przeciwnej stronie. Po przeciwnej stronie, gdzie jest fioletowa noc Ganimeda, surowe nagie skały, kosmiczny mróz i trująca, atmosfera.

Pozostało cierpliwie czekać. Oni, kimkolwiek są, na pewno będą się spieszyć. Ale Irek uwinie się jeszcze prędzej. A potem, na otwartym terenie...

Niestety. Kiedy po upływie kilkunastu sekund drzwi śluzy stanęły przed nim otworem, nie był już sam. Ojcu, Dutourowi i Dinowi wystarczyła ta krótka zwłoka, by odrobić przewagę, jaką uzyskał nad nimi eks-kosmita. A przygotowanie czterech ludzi do wyjścia poza strefę chronioną musi trwać odrobinę dłużej niż dwóch.

- No, prędzej! - poganiał Irek, patrząc, jak ojciec uwalnia się z królewskiej sukni, która ani rusz nie chciała wejść do nogawek skafandra.

- Wolałbym, żebyś został w środku - wydyszał doktor Skiba. - Nie wiem, kto to jest i czego tu szuka. Może dojść do starcia...

- Akurat! - mruknął chłopiec niezbyt zapewne grzecznie, ale takim tonem, że ojciec skapitulował od razu.

Wreszcie nad wyjściem błysnęło zielone światełko i kłapa włazu bezszelestnie uciekła w górę. Pościg natychmiast ruszył dalej.

W pewnym momencie Irkowi przyszło do głowy, że może to właśnie ci dwaj, uciekający w mroku rudofiole-towej nocy, naumyślnie, dla siebie tylko wiadomych zbrodniczych celów, zepsuli łączność z tajemniczą ekipą zabłąkaną teraz w przestrzeni.

Ta myśl dodała mu sił. Dotychczas biegł dwa kroki za Dinem, który prowadził stawkę goniących. Teraz zatrzymał się na ułamek sekundy. Wszystkie próżniowe skafandry mają specjalne lampki zainstalowane na kaskach, żeby w czerni między gwiazdami można było zawsze wypatrzeć zabłąkanego człowieka.

Wyteżył wzrok i po kilku sekundach ujrzał daleko przed sobą, nieco w górze, dwie poruszające się iskielki. Są!

Nie bez satysfakcji stwierdził, że cała wyprzedzająca go w tej chwili trójka nieznacznie wprawdzie, ale wyraźnie oddala się od linii prostej prowadzącej do owych światełek. A zatem...

Irek pochylił się i, nie spuszczać oczu z migocących wciąż wyżej światełek, ruszył najszybszym sprintem, na jaki go było stać.

Wkrótce jednak musiał zwolnić. Poczuł pod stopami -luźne głązy i przez chwilę biegł po grząskim, kamienistym piargu. Następnie wydostał się na twardą, dość śliską skałę. Szczęściem, chociaż ganimedzkie dni są niemal tak samo ciemne, jak noce, ale za to te noce, dzięki bliskości ogromnego Jowisza, nigdy nie bywają tak czarne, jak, powiedzmy, na Marsie. Toteż Irek widział przed sobą drogę na odległość mniej więcej trzydziestu metrów. To wystarczy komuś, kto ma zamiar zdobyć główną grań Andów. Skała była już tak stroma, że Irek musiał posuwać się małpim zwyczajem, na czworakach. Wysoko w górze gęstniały ogromne, poszarpane szczyty. Jeśli dwaj zbiegowie tam zechcą szukać schronienia...

„Niemożliwe - powiedział sobie. - Przecież ten, którego widziałem przed śluzą, miał zupełnie siwe włosy. Zmęczy się szybciej niż ja. Chyba że te włosy, ukryte przedtem pod kapturem, również są tylko przebra -n i e m..."

Wydostał się na jakąś niemal płaską półeczkę prowadzącą skosem pod prostopadłą ścianą i odetchnął z ulgą. Wiedział, że biegnąc tą półką nałoży drogi, ale przecież tamci dwaj także nie mieli skrzydeł.

Myśl o skrzydłach miała zupełnie niespodziewanie rozwijać się w umyśle chłopca jeszcze przez dłuższą chwilę. Po pierwsze, Irek ujrzał oczami wyobraźni anioła poruszającego z wdziękiem pierzastymi ramionami. Anioł miał, rzecz jasna, twarzyczkę Mai. Po drugie, półeczka skończyła się właśnie, przechodząc w niewielkie skalne siodło, za którym tuż-tuż pomykały oba upragnione światełka. Wreszcie po trzecie, w słuchawkach chłopca rozległ się dziwny odgłos, który wprawdzie nie przypominał łopotu skrzydeł, ale najwyraźniej płynął z

góry. Zaraz potem padły słowa:

- Tu RX-dwa. Tu RX-dwa. Niech człowiek się przygotuje.

- Kto mówi?

Odpowiedź była zaskakująca i, delikatnie mówiąc, niemiła. Jakiś latający stwór porwał go nagle w mocne, stalowe szpony i zaczął unosić pionowo w górę.

- Puść! - ryczał „człowiek”, który nie zdążył „przygotować się” na tak raptowne przeobrażenie w gani-medzkiego ptaka. - Puść!!!

Swoje żądanie poparł gorączkowymi wymachami ramion i nóg. Ale kleszczowate szpony tylko jeszcze mocniej zacisnęły się na jego piersi.

- Tu RX-dwa. Wszystko w porządku. Uratowany człowiek za chwilę zostanie wprowadzony do kabiny.

Irek zrozumiał, że skrzydlaty potwór wcale nie mówi do niego, tylko do kogoś, kto zapewne kieruje jego ruchami. I że ten ktoś został właśnie poinformowany o uratowaniu człowieka.

„Uratowaniu!” Dobre sobie!

A jeśli to obcy - zaalarmowani przez swoich zde-konspirowanych emisariuszy - wezwali posiłki? Jeśli to jakiś i c h automat unosi go teraz na daleką planetę, z której nigdy już nie będzie mógł wrócić?

Ta perspektywa była zbyt straszna. Irek, nie zważając, że buja już dobre parę metrów nad powierzchnią skały, nabrał do piersi powietrza, wstrzymał oddech, po czym sprężył się nagle i wyprostował jak struna.

Poskutkowało. Wyśliznął się z uchwytu okrutnych szponów i zaczął spadać. Owładnęło nim uczucie triumfu. „A jednak mnie nie dostali - śpiewało mu w uszach. - Nie dostali! Nie dostali!”.

Nad sobą słyszał niezrozumiałe, bełkotliwe głosy, które jednak zaraz ucichły. W następnym ułamku sekundy wokół niego zrobiło się zupełnie ciemno. Wtedy przypomniał sobie, że był kiedyś mistrzem w sztuce, w której teraz święcił triumfy Danek. Rozłożył ramiona i, sterując dłońmi oraz stopami, obrócił się w powietrzu, aby nie lecieć głową w dół. Kocia akrobatyka to wielka rzecz! Minał następny ułamek sekundy i Irek, zamiast gwałtownego zderzenia, poczuł łagodne tarcie o jakąś śliską, jakby mokrą płytę. Ostrożnie dotknął jej w locie rękawicami. Skała! W dodatku skała nachylona tak, jak ustawiona w parku zjeżdżalnia dla dzieci. Szorując o nią plecami, stopniowo wytracał szybkość, aż wreszcie wylądował miękko i pewnie na równym gruncie. Wtedy dopiero zorientował się, że stoi na dnie skośnego naturalnego szybu. Wpadł do jaskini! Przez chwilę nasłuchiwał, czy ktoś znowu nie każe mu się do czegoś „przygotować”. Jednak wokół panowała pełna cisza. Cisza i ciemność.

Ostrożnie, macając przed sobą rękami, zrobił kilka kroków, po czym zatrzymał się ponownie. Odruchowo sprawdził, czy jego szczelny, próżniowy skafander nie ucierpiał w czasie szamotaniny z napowietrznym porywaczem. Ale wszystkie czujniki umieszczone wewnątrz kasku patrzyły spokojnie i łagodnie swoimi delikatnymi, kolorowymi lampkami wielkości główki szpilki.

Pomyślał o reflektorze. Na wszelki wypadek spojrzął raz jeszcze w górę, ale nad nim był tylko czarny tunel skośnej studni. Nie. Ów latający potwór nie zmieściłby się w wąskim, szybie. A gdyby nawet, to z pewnością nie mógłby swobodnie manewrować tymi wielkimi kleszczami. Swoją drogą trzeba mieć szczęście! Spadać jak kamień pośrodku obcych, groźnych gór, by w końcu - zamiast roztrzaskać się o skały - trafić wprost do lejkowatej dziury i zjechać sobie spokojnie na dno groty po skalnej rynnie jak po poręczy w rodzinnym domu!

Chłopiec mimo woli zachichotał z uciechy. Wkrótce jednak zmarkotniał. No tak, nie ulega wątpliwości, że mogłoby być gorzej, ale... Po pierwsze, wcale nie wie, czy ta dziura, do której wpadł, jest częścią jakiejś dużej jaskini mającej podziemne korytarze i czy choć jeden z tych korytarzy wyprowadzi go z powrotem na powierzchnię. A po drugie, dla niego pościg za tajemniczymi intruzami, którzy wtargnęli na salę balową w „Pięciu Księżycach”, skończył się definitywnie. Westchnął.

- Byli już tak blisko... - mruknął z żalem. Westchnął raz jeszcze, potrząsnął głową, po czym wreszcie zapalił reflektor.

Snop światła odbił się od lśniącej skały zamykającej przestrzeń parę metrów przed nim i zmusił go do zmrużenia oczu. Obrócił się w lewo. Skała. W prawo. Także skała. Zrobiło mu się zimno. A więc jednak znalazł się w studni bez wyjścia?...

Skierował reflektor w górę. Wąski, skośny szyb o przekroju mniej więcej dwóch metrów i ścianach gładkich jak szkło. Bez pomocy specjalnego sprzętu nie ma co nawet marzyć o wydostaniu się nim z powrotem na półeczkę pod przełęczą.

Irek poczuł, że jego plecy pokrywają się gęsią skórą. Gorączkowo odwrócił się z kolei do tyłu. Podczas gdy wykonywał ten ostatni zwrot, przez moment światło reflektora jakby zniknęło. Jednak światło nie mogło zniknąć. Zniknął najwyżej jego odbłask padający ze skały. A skoro tak, to...

- Jest!!! - omal nie krzyknął na całe gardło. - Jest przejście! Ufff!...

Wpatrzył się w niewielki trójkątny otwór jak w najpiękniejszy obraz. Krótki korytarzyk przechodził zaraz dalej w podziemną salę. Światło małego reflektora przytwierdzonego do kasku nie docierało do jej końca. A więc był w prawdziwej, dużej jaskini!

Posłał ostatnie, nieżyczliwe spojrzenie w górę, żegnając się w ten sposób ze skalną studnią i szponiastym stworem, który go do niej wtrącił, po czym wszedł do korytarzyka. Zrobił parę szybkich kroków i... stanął jak skamieniały. Na szczęście starczyło mu jeszcze przytomności umysłu, by błyskawicznym ruchem zgasić reflektor.

- Widziałeś światło? - usłyszał w słuchawkach wyraźny, chrapliwy głos.

- Światło? - odpowiedział ktoś drugi z bezbrzeżną pogardą. - Ciągłe jeszcze masz przywidzenia ze strachu. Dobrze ci tak! Jesteś starym grzybem, ale choćbyś żył sto lat dłużej, już nigdy nie uda ci się tak wygłupić jak dzisiaj! Te twoje roboty! Koń by się uśmieł! Hi, hi, hi!

- Roboty, roboty! - przedrzeźniał ze złością pierwszy. - To ty nie potrafisz już nawet utrzymać w palcach małej kuleczki! Musiałem interweniować! Inaczej obaj znajdowalibyśmy się teraz w drodze na Ziemię. Ty byś się tam przydał. Zamknęliby cię w klatce i pokazywali dzieciom jako odstraszący przykład rozmiękczenia mózgu na skutek wieloletniego zażywania oglupiających pigułek! Aleja tutaj muszę skończyć badania naukowe, które mogą zmienić losy ludzkości...

- Rzeczywiście! - wyszczał z furią niedoszły mieszkaniec klatki. - Naukowe! Hi, hi, hi!!! - zaśmiał się o-kropnie. - Ty łysa pało! Nic na czaszce i nic pod czaszką! Nikczemny, opasły puszkorobie! Pierwszy i ostatni raz dopuściłem do tego, żebyśmy wspólnie spróbowali coś przedsięwziąć! Mam za swoje! Powinienem wiedzieć, z kim się zadawać! Poczekaj, niech tylko wrócę do siebie... już ja ci pokażę! Ha!...

Ostatnie słowa, choć wypowiedziane podniesionym, a nawet całkiem wysokim tonem, brzmiały coraz ciszej. Widać mówiący zaczął się szybko oddalać.

Irek czekał dłuższą chwilę, ale jego słuchawki zamilkły na dobre. Odetchnął głęboko i ostrożnie wyszedł z korytarzyka do wielkiej, podziemnej sali.

„Miałem nawet więcej szczęścia, niż myślałem - rzekł sobie w duchu, kiedy trochę oprzytomniał. - Ci dwaj uciekinierzy są nie tam, na górze, tylko właśnie tutaj, I to właśnie ja jeden idę teraz ich śladem. Ale to jeszcze nie wszystko - dopowiedział po zastanowieniu. - Oni mogli się tu dostać jedynie przez tę samą dziurę, co ja.

A na pewno wszyscy trzej nie wpadliśmy do niej przypadkiem... to byłby już zbyt nieprawdopodobny zbieg okoliczności. Z tego niezbicie wynika, że dwaj ścigani sprawcy alarmu w „Pięciu Księżycach” znają tę jaskinię. Wystarczy pójść za nimi, by cało i zdrowo wydostać się na powierzchnię. A tam - cap!!!”

To „cap!”, które miało ilustrować bohaterskie ujęcie zbiegów, Irek, uniesiony wyobraźnią, wykrzyknął na głos. Odruchowo uderzył się dłonią w osłonę twarzy, na wysokości ust, po czym, przestraszony, stanął. Jednak jego słuchawki milczały nadal. Widać uciekinierzy, choć nieświadomi losu, jaki ich czekał, po krótkiej wymianie zdań znowu chyżo pomykali przed siebie.

Chłopiec uspokojony zapalił reflektor i rozejrzał się. Stał u wejścia do wysokiej, podłużnej grotty o ścianach tak gładkich i lśniących, że przypominały oglądaną od wewnątrz błonę koślawego nadmuchanego balonika. Po przeciwnej stronie sali czerniał otwór prowadzący do dalszych partii jaskini. Ścisłe mówiąc, znajdowały się tam obok siebie dwa otwory, ten drugi

był jednak wąski i prowadził do jakiegoś . ślepego, stromeego korytarzyka. Świadczyła o tym piętrząca się przed nim niewielka sterta kamieni, które z biegiem lat, a może i stuleci osunęły się z górnych zakamarków jaskini.

Irek ustawił się twarzą dokładnie na wprost pierwszego przejścia, sprawdził, czy po drodze nie ma jakichś przeszkód, po czym wyłączył reflektor i ruszył prosto przed siebie. Wolał iść po ciemku niż wpaść w ręce uciekinierów, gdyby ich milczenie okazało się zasadzką. Wprawdzie nie ulegało już wątpliwości, że dwaj zbiegowie z „Pięciu Księżyców” nie byli emisariuszami obcej cywilizacji kosmicznej, tylko ludźmi, bo ich słowa, choć wypowiedane głosami zrzedliwymi i chrypiącymi, brzmiały zupełnie swojsko, ale licha wie, do czego mogą być zdolni ludzie, którzy potrafią tak się kłócić!

Szedł śmiało, aż poczuł, że jego stopy grzęzną w kamiennym osypisku. Zanim zorientował się, że jednak zmylił w ciemności kierunek i trafił do tego drugiego, ślepego przejścia, zdążył jeszcze zrobić parę kroków. Nagle w jego słuchawkach odezwał się groźny rumor. W tej samej chwili maleńkie czujniki pod okapem kasku zaczęły błędnąć, błędnąć, aż zgasły.

- Co to jest?!... - krzyknął zduszonym głosem. Uszkodził skafander?! Jak?! Kiedy?! I to aż tak, że równocześnie rozbił i aparaturę łączności, i ogniwa energetyczne, i zasobniczki z płynem odżywczym, i butle z tlenem?! Skoro zgasły wszy s t k i e czujniki?!

Kurczowo chwycił ustami powietrze. Wydało mu się, że wciąga do płuc chmurę rozpalonego pyłu. Ostatkiem sił rzucił się do tyłu. Stracił równowagę i upadł na plecy, głową w dół. Stromy, kamienisty piarg ruszył pod jego ciężarem i zaczął go nieść coraz niżej. W słuchawkach znowu zadudnił suchy, złowrogi łoskot. Ale tego dźwięku Irek już nie słyszał...

- RX-jeden, RX-dwa, RX-trzy - wyliczał Geo Dutour. - RX-jeden, RX-dwa, RX-trzy! Czy cały teren został dokładnie przeszukany?

- Tak.

- Tak.

- Tak - zabrzmiała zgodna odpowiedź. Na tle ciemnego nieba rysowały się trzy walcowate konstrukcje wiszące nieruchomo dziesięć metrów nad powierzchnią skalnej półki.

- RX-dwa, jak to się mogło stać, że upuściłeś uratowanego? - spytał, siląc się na spokój, doktor Skiba.

- Człowiek wykonał bardzo szybki ruch - odrzekł automat. - Mocniejszy uścisk wysięgników mógł spowodować rozdarcie skafandra. Nie zdążyłbym go wówczas ocalić, ponieważ kłapa włazu zaczynała się dopiero uchylać. Upadek był także groźny, ale dawał człowiekowi trzydzieści procent więcej szans ocalenia.

- Bardzo chciałbym wam pomóc - Olaf Robinson zbliżył do oczu zegarek wbudowany w rękaw skafandra - ale muszę wracać do bazy. Łączności z ekipą jak nie było, tak nie ma. Cóż za pech! Jakaś czarna seria... Czarna seria - powtórzył z westchnieniem. - Jednak jeśli trzeba będzie lecieć, to Bodrin absolutnie nie obejdzie się beze mnie...

- Idź, idź - powiedział głucho Dutour. - Damy sobie radę bez ciebie. RX-dwa, czy jesteś dokładnie nad miejscem, gdzie nastąpił upadek?

- Nie.

- Więc przenieś się tam.

Jeden z nieruchomych dotąd kształtów, majaczących nad ich głowami, zaczął powolną wędrówkę na tle gwiazd.

- Niestety, nie mogę ci dać żadnego pojazdu - Dutour spojrzał ponownie na Robinsona. - Tu mogą nam być potrzebne wszystkie automaty ratownicze.

- To nic - odpowiedział szybko ojciec Dina. - Znam dobrze drogę. Tu niedaleko jest łagodna przełęcz, a potem idzie się już jak po stole. Tylko zaopiekujcie się nim, dobrze? - wskazał stojącego obok chłopca.



Ten jednak zaprotestował.

- Pójdę z tobą, tato.

- Nie chcesz pomóc w poszukiwaniach? - użył podstępu Robinson.

- Jest tutaj doświadczony ratownik, pan Dutour, i słynny wspinacz, doktor Skiba - odpowiedział z żelazną logiką Din. Niebawem dołączy do nich jeszcze pan Kozula. Natomiast ty pójdziesz sam.

- Chłopiec i tak musi wrócić do bazy. bo z pewnością nie chcecie mieszkać osobno, przecież przyleciał tu na wakacje dopiero wczoraj - niespodziewanie poparł Dina Geo Dutour. - A potem musiałbym mu dawać specjalną eskortę. Nie wiem, kiedy będę dysponował jakimś wolnym automatem. No, idźcie już.

- Zgodnie z poleceniem zająłem stanowisko dokładnie nad miejscem, gdzie upadł człowiek - zameldował głos z góry.

- Zapal reflektor - zażądał ratownik.

- A zatem powodzenia - Olaf Robinson uniósł rękę, odwrócił się i skinął na Dina.

Obydwaj szybkim krokiem ruszyli w stronę przełęczy.

- Dziura - mruknął Dutour. Stał w ostrym blasku białego światła i nisko pochylony wpatrywał się w skalną szczelinę. - Dziura - powtórzył niepewnie. - Tyle razy tędy przechodziłem, a nigdy nie zauważyłem żadnej jaskini.

Ojciec Irka podszedł do niego. Przez chwilę w milczeniu patrzyli w otwartą czeluść.

- Wejście jest bardzo wąskie - odezwał się wreszcie z powątpiewaniem ratownik. - Byłby to doprawdy niezwykły traf...

Ten traf Irek nazwał niedawno niezwykłym szczęściem.

- Nie znasz mojego syna - rzekł smutnie doktor Skiba. - Jeśli na całym tym globie jest jedna taka dziura, to i tak w końcu musiałyby do niej trafić. Tam jest, zdaje się, bardzo głęboko?... - zawiesił głos.

Dutour pochylił się niżej.

- Wewnątrz otwór się rozszerza i biegnie w dół nie pionowo, tylko ukośnie. Jeśli Irek naprawdę tam wpadł, to ześliznął się tylko po skale. Nie martw się. Skafandry są bardzo wytrzymałe.

- Ale dalej, a raczej głębiej, ta dziura może przechodzić w prostą studnię...

Jakiś czas znowu panowała cisza. Przerwał ją i tym razem ojciec Mai.

- Nie ma się nad czym zastanawiać - rzekł takim tonem, jakby odpowiadał na pytanie, które sam sobie w myśli postawił. - Trzeba tam wejść. Ci dwaj nam uciekli, ale mniejsza o nich. Jeśli na Ganimedzie naprawdę jest ktoś o b c y, to prędzej czy później i tak zawrzemy z nim znajomość. Martwi mnie co innego. Ten otwór jest za wąski, żebyśmy mogli wprowadzić do niego automaty ratownicze. No, dobrze - westchnął. - Schodzę. Spróbuj mnie asekurować.

- Poczekaj - doktor Skiba w ostatniej chwili przytrzymał go za pas skafandra. - Te twoje automaty - zerknął w górę - utrzymują przecież łączność z dyspozytornią „Pięciu Księżyców”?

- Automaty? - zdziwił się ratownik. - Oczywiście.

A o co ci chodzi?

- O to, że musimy działać szybko. Tymczasem my w takich sytuacjach jesteśmy nieskończenie powolniejsi i mniej precyzyjni od automatów. Jeśli ta dziura jest za mała dla twoich aparatów, to pošlemy w dół kogoś innego. Daj rozkaz któremuś z tych RX-sów nad nami, żeby przestał do „Pięciu Księżyców” specjalny sygnał wezwania alarmowego. Zaraz ci powiem, jak brzmi ten sygnał. Uważaj...

Irek uniósł powieki. Ciemno - stwierdził. Ciemno... Bezwiednym ruchem sięgnął do małego guziczka na ramieniu i zapalił reflektor. W tym samym momencie w jego słuchawkach ponownie rozległ się odgłos spadających głazów. Zaraz potem chłopiec zdał sobie sprawę, że znowu sunie w dół unoszony przez kamienisty potok. Przejechał w ten sposób jakieś pięć, sześć metrów i zatrzymał się. Słuchawki ucichły. Wokół nadal panował mrok.

Głęboko zaczerpnął powietrza. Tym razem było to u-cziwe, życiodajne powietrze, a nie żadna dławiąca chmura. Irek oprzytomniał, odwrócił się i uklęknął. Przy tym ruchu zjechał jeszcze parę kroków niżej, ale za to tuż przed oczami ujrzał nagle znajome, miniaturowe

gwiazd-

ki czujników. Równocześnie zauważył, że jego reflektor, którego blask był początkowo w ogóle niedostrzegalny, świeci coraz jaśniej. Wtedy podniósł się i wyprostował. Chwilę balansował na uciekających mu spod nóg kamieniach, ale wkrótce, cofając się ostrożnie, stanął na równej, poziomej skale.

- Co to było?...

Przestraszył się, usłyszawszy, że jego głos przypomina do złudzenia warczenie zachrypniętego jamnika. Odczekał jakiś czas, odchrząknął i ponowił próbę.

- Co się właściwie stało? - wykrztusił. Nikt nie odpowiedział.

- No, co?! - zawołał z urazą. - Mam powietrze, skafander jest cały, więc jakim prawem pogasły czujniki?! A teraz znowu świecą jakby nigdy nic?! I ten reflektor?!

„Ten reflektor”, od kiedy tylko Irek otworzył oczy, kreślił po ścianach i pułapie groty krótkie, błyskawiczne zygzaki. Był przecież przymocowany do kasku. Z kolei ów kask tkwił na głowie, która w ciągu ostatnich minut przejawiała wręcz zdumiewającą ruchliwość. Teraz jednak zatrzymała się na moment, akurat w takiej pozycji, że snop światła padł w głąb stromego bocznego korytarzyka.

Chłopiec w ułamku sekundy zapomniał o swoim gniewie wywołanym przedziwnym i wysoce nagannym zachowaniem aparatury jego skafandra. Wydał zdławiony, nieartykułowany okrzyk, po czym nieprzytomnie rzucił się przed siebie. Zatoczył się, upadł, zerwał, upadł znowu i nie próbując już wstawać pełznął na czworakach, gorączkowo szukając oparcia dla stóp i dłoni w sypkim, grząskim kamienisku.

Jakieś dziesięć metrów za wejściem do ślepej odnogi jaskini lśnił niepokalanym blaskiem fragment srebrnej konstrukcji częściowo zasypanej przez głązy. Jednak ów odsłonięty fragment był dostatecznie duży, aby można się było domyślać kształtu całości. Otóż nie uległo

wątpliwości, że konstrukcja - ukryta w podziemiach Ganimeda i tu czekająca na swego odkrywcę od setek, a może tysięcy lat - jest dużym dyskiem o gładkiej, jakby wypolerowanej powłoce.

Każdy przyzna, że taki widok mógł wywołać w człowieku wściekły atak ciekawości i spowodować chwilowe rozluźnienie wzajemnych związków między klepkami w jego mózgu.

Niestety! Ciekawość ludzka często pozostaje niezaspokojona, a obluźnianie klepek zawsze jest co najmniej tak groźne, jak niesprawność hamulców w wyścigowym pojeździe. Irek zdążył przebyć metr... dwa... trzy... i nagle przed nim znowu zrobiło się zupełnie ciemno. Reflektor zgasł. A co gorsza zgasły także czujniki pod okapem kasku. Chłopiec stracił orientację, zamachał rozpaczliwie rękami, uderzył dłonią o skałę, po czym szybko i, na szczęście, bezboleśnie znalazł się z powrotem w miejscu, z którego rozpoczął ostatnią wspinaczkę. Czujniki oraz reflektory natychmiast odżyły i zapłonęły spokojnym światłem, jakby chciały powiedzieć: „A widzisz? I po co ci to było?...”

- Jak to: po co? - rzekł Irek, leżąc wygodnie na plecach, - Jak to: po co? - powtórzył nieco przytomniej-szym głosem.

Następnie wstał, rozgarnął stopą kamienie, oczyszczając z nich skrawek skalnej posadzki, po czym powiedział:

- A więc to tak. Ale dlaczego?

Rozmowa z samym sobą nie leżała właściwie w jego zwyczaju. Jednak sytuacja także nie była zwyczajna. A w nadzwyczajnej sytuacji dobrze jest mieć kogoś zaufanego, z kim można wymienić spostrzeżenia.

- To coś, kiedy się zbliżam, gasi reflektor i czujniki - stwierdził. - Co to może być?

- Nie wiem - odrzekł szczerze. - Gdyby tu zamiast mnie stał profesor Bodrin, to także by nie wiedział.

- Może... - pozwolił sobie na nutkę zwątpienia. - Ale profesora Bodrina tu nie ma. Natomiast ty jesteś.

- No, to co z tego?

- To, że powinienes się tym zająć.

- Aha, pewnie! Żebym za chwilę znowu leżał na grzbiecie i przebierał w powietrzu nogami jak stary, ślepy

kret!

- Ani profesor Bodrin, ani twój ojciec nie odeszliby stąd, zanim nie zbadaliby tego dysku. Skoro on pozbawił światła ciebie, to tak samo postąpi z każdym, kto nadejdzie. W górach obowiązuje zasada, że należy usuwać wszelkie niebezpieczeństwa, które mogą zagrozić innym. Na przykład ruchome kawałki skał...

- Głupi jesteś. Najpierw trzeba wiedzieć, co właściwie zrobić i jak.

- Sam jesteś głupi.

Na tym dialog chwilowo się urwał, ponieważ Irek - już w swojej jedynej, niepodzielnej postaci - zaczął myśleć. I choć proces ten nie przebiegał jeszcze tak sprawnie, jak mógłby sobie tego życzyć na przykład pan Seyna, to jednak doprowadził do nowego odkrycia.

„Co się właściwie stało? Idąc po omacku, trafiłem wprawdzie do przejścia po drugiej stronie jaskini, ale nie do tego przejścia, które sobie uprzednio upatrzyłem. Dobrze. Potem zacząłem się gramolić po kamieniach do bocznego korytarzyka. Wtedy zgasty czujniki i reflektor. Jeszcze potem spadłem i straciłem przytomność... Pewnie się uderzyłem, a zresztą mniejsza z tym! - Niefortunny epizod został zbagatelizowany tak skwapliwie, ponieważ Irek doskonale wiedział, że wcale się nie uderzył. Po prostu wrażenie, jakiego doznał, było nieco zbyt mocne... chwilowa słabość... przelotne zaćmienie... no, słowem, akurat coś, o czym każdy powiedziałby: eee, mniejsza z tym! - Kiedy się ocknąłem - kontynuował swoje rozmyślenia chłopiec - i reflektor, i czujniki świeciły, jakby nigdy nic. Później zobaczyłem ten dysk i chciałem się do

niego dostać. Ale jak tylko zrobiłem parę kroków, znowu wszystko zgasto. A może...”

Zasępił się. Skoro przeleżał pewien czas równie przytomny, jak mumia faraona w kairskim muzeum, to potem może mu się tylko zdawało, że widzi tam w głębi coś podobnego do błyszczącego dysku? Wiadomo przecież, że ludziom, którzy doznali choćby drobnych urazów mózgu, pokazują się dziwne rzeczy... niekiedy nawet jeszcze długo po wypadku. Tę wątpliwość należało rozstrzygnąć od razu. Szybkim ruchem zgasił reflektor. Odczekał, aż jego oczy oswoją się z ciemnością, po czym zapalił go na powrót, kierując w stronę ślepego korytarzyka.

Dysk załśnił jak skrawek księżycy w pełni. Ale nie poprzestał na tym. Najwyraźniej w świetle drgnął i posunął się parę centymetrów w stronę intruza, który posyłał mu snop ostrego światła. Znowu rozległ się rumor spadających kamieni. Tym razem jednak posypało się ich niewiele.

Irek zmarszczył brwi. To coś, co tkwi w bocznym, stromym korytarzyku, jest bryłą - sądząc z jej odsłoniętej części - wielkości turystycznej łodzi podwodnej. A pomimo to skacze na widok światła jak pasikonik. Albo raczej jak duży, drapieżny kot. Gdyby nie skały, które go uwięziły, rzuciłby się prosto na reflektor, nie bacząc na to, że ten jest przytwierdzony do głowy człowieka!

Ale to jeszcze nie wszystko. Niech tylko ktoś podejdzie blisko, ten kot... to znaczy: dysk, natychmiast gasi jego wszystkie lampy i lampeczki, nawet tak malutkie, jak czujniki wewnątrz kasku. Zupełnie, jakby nie tylko atakował źródła światła, lecz także w jakiś sposób „żywił się” jego promieniami.

Chłopiec wzdygnął się. Całe szczęście, że ten metaliczny twór tkwi tam, między głazami, i nie może się wydostać!

Wiedział już mniej więcej, co zaszło. Zmyliwszy drogę, wszedł do bocznego korytarzyka i wspinając się po piargu dotarł niemal do samego legowiska przyczajonego dysku. Zapalił reflektor... i wtedy potwór skoczył. Nie mógł się wydostać, bo trzymały go zwężone skalne ściany, ale jego ruch spowodował kamienną lawinę... Ta z kolei porwała jego, Irka, i odrzuciła z powrotem do właściwej jaskini, w bezpieczne miejsce. Wtedy reflektor i czujniki zapłonęły znowu, bo odległość od światłożerne-go dysku była już zbyt duża.

"Zaraz - pomyślał. - Przecież ci zbiegowie z «Pięciu Księżyców» znają tę jaskinię. Przechodzili tędy nie raz i nie dwa. Czy to możliwe, że nigdy nie zajrzeli do ślepego odnogi, że nie podeszli choćby tylko do jej wylotu, dostatecznie blisko, aby ów dysk pogasił im reflektory?"

„Możliwe - odpowiedział sam sobie. - Przecież oni nie chodzili po omacku, więc niby z jakiej racji mieli, błędzić? Nie. Trafiali zawsze prosto do właściwego przejścia. A ten dysk leżał przecież zagrzebany pod kamieniami, więc gdyby nawet przypadkiem zajrzeli do bocznego

korytarzyka, to i tak niczego by nie zobaczyli.

A więc - przystąpił do podsumowania - po pierwsze, nie ma mowy o żadnych głupich przywidzeniach. To lśniące diabelstwo jest tutaj naprawdę i choć wygląda tak, jakby ktoś przed chwilą skończył polerować jego powłokę, czekało pewnie na swego odkrywcę od wielu, wielu lat. Po drugie, tym odkrywcą jestem ja. Dokonałem odkrycia na obcym globie. Niech ktoś powie, że nie - na samą myśl o podobnej niegodziwości łypnął złowrogo oczami. - Wreszcie po trzecie, byłbym rzeczywiście głupi, gdybym teraz, od razu, próbował przeprowadzić jakieś dokładniejsze badania tego dysku. Tu potrzebny jest specjalny sprzęt i fachowcy z wielu dziedzin. Zresztą jak tylko podejść bliżej, to zgaśnie reflektor, a po ciemku i tak niczego nie dokonam. Wobec tego..."

- Wobec tego - zakończył zdecydowanie - trzeba tylko zapamiętać to miejsce, aby przyprzewodzić tu profe-

sora Bodrina, ojca... i ewentualnie kogoś jeszcze - przed oczami Irka zamajaczyła niewyraźna postać osóbkki o zgrabnej figurce i czarnych włosach. - A potem powiedzieć obojętnym tonem: „O, to właśnie tutaj. Uważajcie, nie podchodźcie zbyt blisko. Ja już próbowałem..."

Gdyby jeszcze przedtem udało mu się schwytać obu podejrzanych uciekinierów, przecież jest ciągle na ich tropie!

Spojrzał z nadzieją w stronę przejścia do dalszych partii jaskini, ale zaraz potrząsnął głową. Dał im zbyt wiele czasu. Z pewnością są już daleko.

Wyprostował się, odruchowo poprawił pasy skafandra i szybkim krokiem ruszył w stronę skalnej bramy. Nie gasił reflektora. Teraz nie było to już potrzebne.

Olaf Robinson z synem schodzili właśnie z gór na równinę upstrzoną tu i ówdzie pojedynczymi skalnymi igłami. Za jednym z takich szpiców, tuż nad horyzontem, świeciła niktła białożółta zorza w kształcie otwartego parasola. Tam była baza.

- Tato - odezwał się Din. - Wiesz, ja świetnie pamiętam tę drogę z poprzednich wakacji. W zeszłym roku chodziliśmy tędy do „Pięciu Księżyców”. Przypominasz sobie?

- Uhm - mruknął nieufnie ojciec.

- Stąd do bazy idzie się jak po szosie - ciągnął nie-zrażony Din. - I przez całą drogę widać światła nad budynkiem stacji, a tu na lewo, bardzo blisko, są te dwa małe laboratoria...

- Tak?

- Tato...

- Nie.

- Przecież jeszcze nic nie powiedziałem!

- To dobrze.

Chwilę szli obaj w milczeniu.

- Tato... - zabrzmiało wreszcie ponownie. Olaf Robinson westchnął.

- Jeszcze nigdy w życiu nie byłem ani przez chwilę sam na Ganimedzie! - głos Dina ociekał słodyczą. - Chciałbym...

- Przecież wiesz, że tutaj nie wolno chodzić w pojedynkę.

- Ale ty chodzisz, i twoi koledzy z bazy także.

- Tylko do posterunków automatycznych, żeby zmienić taśmy z zapisami obserwacji. Poza tym prawie wszyscy mieszkamy tu od lat.

- Tato...

- Myślisz, że nie wiem, o co ci chodzi? Przyszło ci na myśl to samo, co mnie, i chcesz się przekonać, czy masz rację! Nie puszczę cię do tych laboratoriów!

- Olaf? - odezwały się nagle słuchawki głosem profesora Bodrina. - Gdzie jesteś?

- Widzę już bazę - odpowiedział ojciec Dina. - Za pół godziny będę na miejscu. Co z nimi?

- Niestety, nadal nie odpowiadają. Czy sprawdziłeś sprzężenie naszego nadajnika z

"Pięcioroma Księżycami"?

- Tak. Osobiście zablokowałem wszystkie zespoły nadawcze i odbiorcze. Ich praca jest idealnie zharmonizowana z centralną komunikacyjną w bazie. W ten sposób pozbawiliśmy wprawdzie gwiazdziniec samodzielnej dalekiej łączności, ale przecież tam i tak nie ma turystów.

- Dobrze. Przyszło mi na myśl, że warto by zajrzeć do tych dwóch dziwaków pod górami. O

ile wiem, mają dość dobry sprzęt i mogli zbudować jakieś urządzenie, które daje taki rezonans, że wytłumia nam łączność.

Olaf Robinson mimo woli zerknął na syna, po czym powiedział:

- Mogę tam pójść. Stąd, gdzie jestem, to tylko dziesięć minut drogi.

Bodrin nie odzywał się przez chwilę. Wreszcie rzekł, jakby ze smutkiem:

- Nie. Jeśli nic się nie zmieni, za godzinę będziemy startować. A gdybyśmy odebrali jakiś alarmujący sygnał, to nawet wcześniej. Tutaj jest nas tylko trzech, Karol, Bob i ja. W razie czego musi polecieć co najmniej dwóch ludzi, a z obsługą bazy nie poradzi sobie jeden. Nie - powtórzył - musisz jak najprędzej wracać. Trudno.

- Panie profesorze, ja tam pójdę - Din błyskawicznie wykorzystał okazję. - Wiem, gdzie to jest.

- Co? Kto? A, to ty, Din? No... nie wiem... - profesor Bodrin zawahał się. - Ile ty właściwie masz lat?

Chłopiec usłyszał dziwny dźwięk przypominający prychnięcie zadowolonego kota. Dopiero po chwili pojął, że to jego własny ojciec demonstruje w ten sposób swój dobry humor.

- Nie ma się z czego śmiać - burknął z niesmakiem. - Ile mam lat? - podniósł głos. - A ile trzeba mieć lat, żeby stwierdzić, czy jakiś nadajnik pracuje, czy nie, i czy może zakłócać daleką łączność?

- Co do mnie, zostałem przekonany - odrzekł po krótkiej pauzie Bodrin. - Olaf, twój syn będzie wielkim człowiekiem. Już teraz potrafi być nieznośny w sposób szalenie sugestywny.

-Wolałbym jednak, żeby wrócił ze mną - mruknął melancholijnie ojciec przyszłej sławy, któremu istotnie przeszła ochota do śmiechu.

- Proszę - zaperzył się Din - niech mi ktoś wytłumaczy, dlaczego nie mogę tam pójść, to nie pójdę. Ale przecież w tych laboratoriach pracują ludzie, prawda? Najwyżej mnie wyrzucą. A poza tym przez cały czas będę widział bazę. Kiedy tylko zechcecie, powiem wam, gdzie jestem i co robię.

- Oświadczyłem już, że zostałem przekonany - rzekł pojednawczym tonem profesor.

- Ja nie - zastrzegł się Olaf Robinson. - Ale widzę, że mój pogląd na tę sprawę nikogo tu nic nie obchodzi.

Irek minął krótki korytarzyk i wszedł do następnej podziemnej sali. Poprzednia, jeśli nie liczyć piargu przed boczną odnogą, miała podłogę gładkie jak stół. Tutaj pośrodku widniało łagodne wybrzuszenie przypominające starą piaszczystą wydmy.

Skręcił, żeby ominąć przeszkodę, i w ten sposób znalazł się blisko bocznej ściany. Światło padające z jego reflektora pomykało przed nim, załamując się na śliskiej powierzchni jak na lekko pofalowanej płycie szkła. Nagle zmieniło barwę. A raczej barwy.

Chłopiec stanął. Stanął i tkwił tak dłuższą chwilę jak zahipnotyzowany.

Prawie całą ścianę jaskini pokrywały kolorowe rysunki. Przedstawiały one bryły geometryczne, prostopadłości, graniastosłupy, sześciokąty, walce i wiele, wiele innych. Niby nic nie znaczące martwe linie. Ale linie te wcale nie były martwe. Obrazy przemawiały do widza z niezwykłą siłą. Ich delikatne kontury, niemal niedostrzegalne, sprawiały wrażenie, że skałę zaledwie draśnięto jakimś niezwykle twardym cieniutkim narzędziem. Te kontury jednak wypełniono tak soczystymi, żywymi barwami o najróżniejszych odcieniach, że cała ta zdumiewająca podziemna galeria czy - jak kto woli - mozaika wydawała się ruchoma, a nawet żywa.

Irek zgasił reflektor, zapalił go ponownie, jeszcze raz zgasił i zapalił, po czym powiedział:

- Przecież ter aż nie odniosłem żadnej kontuzji. Niby dlaczego miałbym mieć przywidzenia.

Powolutku zbliżył się do ściany i ostrożnie dotknął czubkiem palca najbliższej linii należącej do przestrzennego rysunku przedstawiającego stożek nasycony ciepłą purpurą. Namacał mikroskopijny rowek w skale i zaraz oderwał od niej dłoń. Przestraszył się, że rozmaże farbę. Farbę, którą położono tutaj pewnie przed wiekami. Przecież ani ziemscy badacze, ani pracownicy czy goście gwiazdzińca nie zabawialiby się chyba ozdabianiem ga-

nimedzkich podziemi malowidłami. Ale ta farba naprawdę wyglądała tak, jakby jeszcze nie wyschła.

Mijały minuty. Chłopiec stał i patrzył. Wybiegając z sali balowej mógł się spodziewać wszystkiego. Morderczej pogoni wśród dzikich gór najeżonych zdradzieckimi pułapkami. Walki z tajemniczymi uciekinierami nad przepaścią, gdyby, naturalnie, udało mu się ich dogonić. W ostateczności nawet ataku fruwej bestii uzbrojonej w szponiaste macki. Słowem - wszystkiego, tylko nie tego, że trafi na wystawę dzieł nieznanych artystów plastyków. W dodatku wystawę ukrytą tak, jakby jej twórcom zależało specjalnie na tym, aby nikt nigdy nie zobaczył żadnego z tych obrazów...

A jeśli ktoś nie mógł umieścić swoich rysunków gdzie indziej? Może autorzy tych dzieł przypadkiem, w wyniku jakiejś kosmicznej katastrofy, dostali się do tej jaskini, a potem nigdy jej już nie opuścili? Może ów złośliwy metaliczny dysk był pojazdem, którym odbyli swoją ostatnią podróż z dalekiej, obcej planety? Może...

„Dość tego - potrząsnął gwałtownie głową. - Może i może”. A tymczasem ten niby-robot i jego towarzysz w czarnym stroju są coraz dalej. Oni pewnie nie raz obejrżeli sobie te obrazy, ale nikomu nic o nich nie powiedzieli. Inaczej jaskinia byłaby sławna. A przecież żaden prospekt reklamujący Ganimeda i „Pięć Księżyców” nic o niej nie wspomina. Tym bardziej trzeba jak najprędzej przyprowadzić tu ojca, profesora Bodrina, Dutoura... i innych. To się dopiero zdziwi!

Omiotł jeszcze raz barwną ścianę światłem reflektora, po czym odwrócił się i podjął przerwana wędrówkę przez podziemia.

Wędrówka ta zakończyła się niespodziewanie prędko. Przemierzył zaledwie jedną salę, gdzie posadzka znowu była zupełnie równa, a ścian nikt nie ozdobił malowidłami, i już przez krótki korytarzyk, przypominający okno starej gotyckiej katedry, wyszedł na otwartą przestrzeń.

Zatrzymał się i mimo woli odetchnął z ulgą. Tu, z tej strony gór, otwór prowadzący do jaskini był znacznie szerszy niż wylot owej studni, do której trafił, uwolniwszy się z pazurów latającego porywacza. Dwa metry przed wejściem sterczała jednak pionowa, odłupana skalna płyta. Dla kogoś patrzącego z dołu otwór musiał pozostawać niewidoczny.

Irek przeciagnął się, aż mu w kościach zatrzęszczało. Jak to cudownie mieć znowu przed oczami otwarty ład, a nad głową niebo. Niebo ponure, ciemne, ale mimo wszystko niebo, z zamglonymi gwiazdami i rąbkami wystającej zza horyzontu tarczy Europy, sąsiedniego księżycyca Jowisza.

Minął zasłaniającą wejście skałę i rozejrzał się. Na wprost, nad widnokregiem, pełgało nikłe światelko w kształcie otwartego parasola. A więc to tam jest ta baza, w której profesor Bodrin i jego rudy, tykowały asystent usiłują odzyskać utraconą łączność z jakąś ekipą. Niezbyt daleko, ale zawsze z pół godziny dobrego marszu. Natomiast znacznie bliżej, a właściwie zupełnie blisko, znajdowały się nie mniej ciekawe obiekty.

Otwór jaskini leżał mniej więcej w połowie zbocza prowadzącego z równiny do podnóża pionowych skał. U stóp tego zbocza przycupnęły dwa nieduże białe budyneczki podobne z góry do przekrojonych purchawek. Stały tuż obok siebie, zapewne nakryte jedną, wspólną strefą ochronną i na pewno zamieszkane. Świadczyły o tym świecące nad drzwiami lampki.

Irek zauważył wygodną ścieżkę biegnącą zakosami, z miejsca gdzie stał, do pierwszego budyneczku, postanowił jednak skorzystać z krótszej drogi. Zgasił reflektor i zaczął zbiegać po stromym zboczu. „Niestety? Zbocze okazało się zbyt strome. Po paru zaledwie krokach nie biegł już, lecz spadał. Kamienie uciekały mu spod nóg, jechał w dół coraz prędzej, prędzej, aż nagle ujrzał oślepiający blask, po którym pod powiekami pozostały mu wirujące złote płatki. Tracąc już przytomność, uświadomił sobie, że ten błysk zajaśniał jedynie wewnątrz jego własnej, biednej głowy, która z całym rozpędem trafiła w niewidoczną, ale twardą jak beton ścianę. Osuwając się powoli, jak na zwolnionym filmie, do stóp zdradzieckiej przeszkody zdołał jeszcze z pretensją i żalem wyszeptać:

- Znowu?... - po czym ogarnął go mrok gęstszy i ciemniejszy od tego, który panował na powierzchni Ganimeda, pod jego rdzawofioletowym niebem skąpo wysywanym bladymi gwiazdami.

**Nieszczęsny wnuk szczęśnika**

Potwór wyskoczył z jaskini i rzucił się na Maię. Dziewczyna nie zdążyła nawet krzyknąć. Ale Irek i tak był szybszy. Odbił się od skały, na której stał, wykonał w powietrzu popisowe salto i wylądował przed napastnikiem.

Potwór wyglądał strasznie. Mnóstwo przegubowych nóg, zakończonych zakrzywionymi hakami, unosiło kadłub w kształcie dysku. Ten kadłub płonął żywym ogniem, a z płomieni wychylała się koszmarna głowa z zębatą paszczą. Na głowie potwora sterczał wysoki, czerwony kaptur.

W dłoni Irka załśnił miotacz. Chwilę później bestia osunęła się bezwładnie na kamienie. Chłopiec podszedł do powalonej poczwary i trącił ją koniuszkiem buta.

- No, tak - powiedział niedbałym tonem. - To by było to. A teraz zaprowadzę cię do Mammy. Kto wie, czy tu gdzieś nie grasuje jeszcze parę innych, równie zabawnych zwierzątek.

Dziewczyna uniosła głowę i spojrzała na niego tak, jak jeszcze nigdy żadna dziewczyna nie patrzyła na swego wybawcę. Bohater uśmiechnął się.

- Hi, hi, hi! - usłyszał w odpowiedzi.

Chłopiec osłupiał. Teraz dopiero zauważył, że i on, i Maia są bez skafandrów, chociaż oboje stoją u stóp dzikich gór na dzikim Ganimedzie.

- Hi, hi, hi! - powtórzyła dziewczyna i zniknęła.

- Hej! - zawołał bohater. - Co to znaczy?! Kto się śmieje?!

Zrobiło się zupełnie ciemno. Irek mocno potarł palcami powieki i... otworzył oczy. Oślepiło go światło, więc przymknął je z powrotem, ale tylko na chwilę. To, co zdążył przez ten ułamek sekundy zobaczyć, było bowiem zbyt frapujące...

Patrzył prosto w górę. Patrzył w górę, a więc widać sam leżał na plecach - jak ten powalony potwór, o ile, oczywiście, potwory miewają plecy. A tuż nad nim zawisło blade, pomarszczone oblicze starego mężczyzny wykrzywione zgryźliwym uśmiechem.

- Gdzie jestem? - wyksztusił Irek.

- U mnie. Hi, hi, hi!...

Niezaprzeczalna zwięzłość tej odpowiedzi stanowiła, niestety, jedyną jej zaletę.

- Co to znaczy: u mnie? I dlaczego pan się śmieje? - Irek bardzo się starał, aby jego głos zabrzmiał surowo i godnie.

- U mnie to u mnie - wyjaśnił stary. - A śmieję się z twojej miny. Miałaś piękne sny, co? Wyglądałaś jak roz-anielone ciele.

Irek milczał przez chwilę, po czym rzekł lodowatym tonem:

- Chciałbym wstać.

- Ależ proszę, proszę! Czuj się jak u siebie w domu... hi, hi, hi!

Twarz zniknęła. Chłopiec ujrzał nad sobą wklęsły strop, pod którym biegły wiązki kolorowych kabli.

„A więc ów potwór i ocalenie Mai to był sen... Oczywiście, że sen. No tak, ale czemu ja właściwie spałem? - zadał sobie w duchu pytanie. - Do tego tutaj?...”

Usiadł. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczył, były jego własne nogi tkwiące w białych próżniowych butach. Odruchowo sięgnął ręką do głowy, żeby się przekonać, czy ma na sobie kask. Kasku nie było, za to w odpowiedzi na ten ruch obudził się pod jego czaszką jakiś świerszczyk i zaczął wygrywać natrętną, jednostajną melodię. Robił to jednak tak, żeby nie sprawiać tym graniem bólu.

Irek rozejrzył się. Siedział na rozłożonym fotelu, wewnątrz niewielkiej, okrągłej salki nakrytej kopulastym sufitem. Wzdłuż ścian ciągnął się pierścień połączonych ze sobą stolików zastawionych najrozmaitszymi naczyniami o przedziwnych kształtach. Były tu także dwa czy trzy małe ekrany nad czymś, co od biedy przypominało pulpity komputera. Pośrodku umieszczono owalny stół, na którym leżały sterty arkusików folii, jakieś pudełeczka, narzędzia, skrawki szmatek o spleśniałych barwach wreszcie dwa najwyklesze talerzyki i wielki kubek z uszkiem.

W głębi, za stołem, z wąskiej, nie domkniętej szafy wyzierały rękawy i nogawki bezładnie poupychanych kombinezonów.

- Podoba ci się u mnie? Hi, hi, hi!...

Chłopiec odwrócił głowę. Starzec siedział na czymś w rodzaju odwróconego wiadra i uśmiechał się szyderczo. Irek już chciał mu powiedzieć, co myśli o ludziach mieszkających w śmietniku, ale otworzył tylko usta, potrzymał je chwilę otwarte i bez słowa zamknął je na powrót.

Postąpił tak z trzech powodów.

Po pierwsze, zauważył, że jego gospodarz ma na sobie obcisły czarny kostium, a jego głowę zdobi rozwichrzona, biała jak mleko czupryna. Odgadł, kogo ma przed sobą, a to z kolei sprawiło, że w ułamku sekundy przypomniał sobie wszystko, co poprzedziło jego niezwykle przebudzenie. Po drugie, twarz tego człowieka wydała mu się nagle znajoma. Wreszcie po trzecie, zdał sobie sprawę z tego, że naprawdę mu się tutaj podoba. Wszystko, na co patrzył, sprawiało mu przyjemność.

- A właśnie, że mi się podoba - stwierdził niespodziewanie dla samego siebie.

- No, myślę, hi, hi, hi! - zaśmiał się człowiek, który po kryjomu wtargnął do „Pięciu Księżyców”, ukrywszy przedtem głowę i twarz pod czerwonym kapturem. - Dałem ci pigułkę na zadowolenie. Nic cię nie boli, prawda?

- Nie boli... - mruknął bezwiednie chłopiec. - Pigułkę? ~ zmarszczył brwi. - Jaką pigułkę?

- Na dobry humor. Dlatego miałaś taką zachwyconą minę, zanim się zbudziłaś.

Ofiarowałem ci piękne sny. Sny były istotnie piękne, ale Irek już o nich zapomniał.

- Nigdy nie słyszałem o takich pigułkach - powiedział.

- Bo to mój wynalazek - w głosie starego zabrzmiała duma. - Jestem uczonym.

Szczęśnikiem.

- Czym? Kim?!

- Szczęśnikiem. Szczęśnik - specjalista od szczęścia. Jak fotonik od fotoniki, elektryk od elektryczności i tak dalej. Rozumiesz?

Irkowi przebiegła przez głowę szalona myśl, że rozmawia z przebrany panem Seyną.

- Tak - mruknął.

Zastanawiał się chwilę, po czym dodał z żelazną logiką:

- Nie. Nie rozumiem. Od szczęścia? To co pan właściwie robi?

- Pracuję nad uszczęśliwianiem ludzi. Chłopiec zamrugał oczami.

- Jak to? - spytał z wahaniem. - Daje im pan pigułki?

- A właśnie! Właśnie pigułki! - ucieszył się osobliwy uczyony. - Powiedz sam! Leciałeś za nami po górach i jaskiniach, potem wyrzuciłeś głowę w osłonę strefy chronionej tego laboratorium i zemdlełeś. Powinieneś być teraz rozbity, obolały, oklapnięty jak rozdeptany kalosz! A tymczasem nic cię nie boli i czujesz się świetnie! Dlaczego?! No, dlaczego?!

Tym razem Irek myślał znacznie dłużej, zanim wreszcie powiedział:

- Rzeczywiście, czuję się dobrze, nawet bardzo dobrze... tylko nie wiem, czy to już znaczy, że jestem szczęśliwy...

Wypowiadając te słowa, posiadacz pojemniczka z wiadomymi krystografami nie zastanawiał się nad tym, jaką radość sprawiłby swojemu nauczycielowi propedeutyki psychologii, gdyby ten był teraz tutaj i mógł słyszeć, co mówi jego uczeń. Jednak i na uczonym-szczęśniku uwaga chłopca wywarła pewne wrażenie.

- Hm... tego... - bąknął, zbity z tropu. - Bo widzisz, ja dopiero pracuję nad moim wielkim wynalazkiem. Umiem już produkować pigułki, które sprawiają, że człowiek zapomina o doznanych przykrościach, oraz takie, że chce mu się tylko śmiać, śmiać i jeszcze raz śmiać! Albo ! że jest odważny. Przy okazji, w trakcie doświadczeń, zrobiłem także środki powodujące strach albo gniew, albo tęsknotę... Zachowuję je na razie, bo zanim wszyscy wokół mnie będą dobrzy i mądrzy, te środki mogą mi się przydać do obrony. Ale teraz przygotowuję wielką syntezę. Neuropeptydy znano i stosowano od dawna, chociaż różnym zacofańcom to się nie podobało, moje środki jednak są zupełnie nowe i stanowią jedynie etap pośredni na drodze do uniwersalnej pigułki szczęścia! Każdemu da ona cudowne zdolności twórcze, ukształtuje osobowość człowieka, tak aby nie mógł on poddawać się złym nastrojom, zmieni motywację istnienia. Jasne?!

„Neuropeptydy, osobowość, motywacja istnienia” -powtórzył w duchu Irek. Pewnie, że jasne!



- Teraz dałem ci pigułkę na dobry humor - wołał nie zrażony miną swojego nieproszonego gościa szczęśnik. - I jesteś w dobrym humorze, sam to przyznałeś. A przedtem dostałeś pigułkę na odwagę. Wrzuciłem ci ją do tego, co piłeś na balu. Chciałem dodać jeszcze jedną, ale

ją upuściłem i wtedy ten pomyłony puszkorób wszystko zepsuł.

Chłopiec w jednej chwili zapomniał o zawilościach szczęściarstwa czy szczęśnictwa, czy jak wreszcie nazwać gałąź nauki, którą reprezentował osobnik w czarnym kostiumie.

- Na odwagę?! - wykrzyknął oburzony. - Mnie?

- A tak. Niczego nie zauważyłeś? Miałeś jeszcze dostać środek na miły nastrój, ale powtarzam...

- A po co?! Nie jestem tchórzem! Uszczęśliwiacz ludzkości znowu się stropił. Chwilę poruszał bezgłośnie wargami, po czym wyznał:

- Bo ja się pomyliłem. Te pigułki wcale nie były przeznaczone dla ciebie. Ale przyszliście na bal przebrani, a ja podszedłem do ciebie od tyłu i wydawało mi się... Ty przybyłeś na Ganimeda dzisiaj, prawda? - zmienił nagle temat.

- Tak.

- Z kim?

- Z ojcem i z siostrą, Inią. Mieliśmy lecieć na Ziemię, ale...

- Na Ziemię? - przerwał nerwowo chudzielec. - Jak to: na Ziemię? To nie jesteście z Ziemi?

- Nie... Mieszkamy w Coprates, na Marsie.

- Ale nazywasz się Bodrin? Tak jak twój ojciec? Oczywiście, że nazywasz się tak, jak twój ojciec! - ofuknął sam siebie. - On jest profesorem. Ale dlaczego w takim razie nie siedzi na Ziemi?

- Nie wszyscy profesorowie mieszkają na Ziemi - odrzekł z lekką urazą Irek. - A ja wcale nie nazywam się Bodrin, tylko Skiba.

- Co?!

Wielki, przynajmniej we własnym mniemaniu, uczony wydał taki wrzask, że chłopiec zerwał się na równe nogi. Odskoczył przezornie do tyłu i przyjrzał się z trwogą gospodarzowi zagraconego laboratorium.

Dotychczas, pół siedząc, pół leżąc na fotelu, widział tylko zarysy postaci starego szczęśnika. Ten ostatni usadowił się bowiem przed lampą, tak że rysy jego twarzy pozostawały w cieniu. Dopiero teraz, stojąc, Irek odkrył, że ów dziwny człowiek nie bez powodu wydał mu się znajomy.

- Dziadku! - Chłopiec odruchowo wyciągnął ręce. - Dziadku! To przecież ja, Irek...

- Haaaaa! - zawył znowu zbieg z „Pięciu Księżyców” - Ja mam być dziadkiem? Ja?!!!

Impertynencja! Nie jestem niczym dziadkiem! Masz przed sobą młodego, szczęśliwego człowieka, którego niebawem opromieni sława dobroczyńcy ludzkości! Więc po-wiadasz, że nazywasz się Skiba? - dodał ciszej.

- Tak.

- A twój ojciec ma może na imię Jacek?

- Tak.

- Wobec tego wybaczam ci, że nazwałeś mnie dziadkiem - chudzielec odwrócił głowę. Jego srebrnobiałe włosy zaśniły w świetle. - Jestem rzeczywiście podobny do Wiktora, mojego... to znaczy, chciałem powiedzieć, twojego prawdziwego dziadka. Znałem go... kiedyś.

W tym momencie Irek przypomniał sobie wszystko, co słyszał o tym człowieku. Że spotkało go nieszczęście... i że zaszył się właśnie tu, na Ganimedzie. Ale dlaczego nie chce się przyznać, kim naprawdę jest? Może wstydi się tego, co zrobił tam, na balu, i późniejszej ucieczki? A może myśli o swojej pierwszej ucieczce, tej, która miała miejsce wiele lat temu i o której ojciec specjalnie z takim naciskiem opowiadał Ini, chcąc ją przekonać, że nie powinno się bezgranicznie poddawać własnym smutkom?...

- A twój dziadek co teraz robi? - spytał cicho siwy szczęśnik.

- Mieszka na Ziemi - odrzekł chłopiec. - Wczoraj przyleciał na Marsa, bo były moje urodziny, i właśnie mówił o panu... to jest, przepraszam, o swoim bracie.

- Mówił?... Hm... no tak, ludzie mówią o różnych rzeczach, kiedy nie mają nic ważnego do roboty. Obchodziłeś urodziny? Które? Dziesiąte?

„I ten człowiek myśli o uszczęśliwianiu innych” - zawrzał w duchu Irek.

- Piętnaste - burknął z wyrzutem.

Jego rozgoryczenie nie zostało jednak zauważone. Dziadek-nie-Dziadek spoglądał wprawdzie na swojego młodego, choć nie aż tak młodego, jak mniemał, gościa, ale równocześnie wydawał się go nie widzieć. Niebie-skoszare, wyblakłe oczy starego biochemika szukały czegoś w nieokreślonym punkcie przestrzeni, poza pancernymi ścianami maleńkiej stacji na obcym globie, kto wie, może nawet poza tym globem, w świecie gwiazd lub w blasku Słońca na Ziemi.

Siedział tak, nieobecny duchem, dłuższą chwilę, aż chłopiec, raczej zakłopotany niż zniecierpliwiony, chrząknął głośno i spytał:

- A właściwie czemu pan uciekał?

Szczęśnik milczał. Tkwił na zaimprovizowanym siedzeniu, z jedną nogą wysuniętą do przodu, przygarbiony, blady, jakby nagle zmożony niehumanicznym zmęczeniem. Przypominał teraz rysunek jakiejś starożytnej postaci zamieszczony w historycznej książce... Irek nie mógł sobie tylko przypomnieć, ani co to była za książka, ani kogo ten rysunek przedstawiał.

- Uciekał?! Kto uciekał?! Czemu uciekał? - uczony ocknął się tak nagle, że jego wyrwany z zamyślenia gość znowu musiał gwałtownie zamachać rękami i cofnąć się dwa kroki do tyłu. Niestety tym razem było to o dwa kroki za dużo. Chłopiec uderzył o coś plecami. Usłyszał przeraźliwy zgrzyt, a później łoskot walącej się piramidy zbudowanej z blaszanych puszek. Odwrócił się błyskawicznie. Z otwartych drzwiczek szafy wysypywały się na podłogę różnobarwne pudełka.

- Co robisz?! - wrzasnął szczęśnik. - Moje pigułki! A taki tu miałem porządek! - zakończył żałośnie, po czym upadł na kolana i zaczął gorączkowo zbierać bezcenne pojemniczki.

Nie były one puste. Przynajmniej nie wszystkie. Niektóre otwały się podczas katastrofy, wyrzucając na podłogę dziesiątki małych kuleczek. W różowych pudełkach znajdowały się różowe, w czarnych czarne, w fioletowych fioletowe i tak dalej.

- Przepraszam - wybąkał pokornie Irek. - Nie chciałem...

- „Nie chciałem”! „Nie chciałem”! - przedrzeźniał chudzielec, starając się zgarnąć wszystkie pudełka od razu, co powodowało, że sterta na podłodze zamiast się zmniejszać, stale rosła. - Nie chcia! Patrzcie go! Ten łysy blacharz także „nie chciał” straszyć automatu w „Pięciu Księżycach”! I co z tego?

Irek chętnie by pomógł w naprawianiu wyrządzonej przez siebie szkody, ale bał się ruszyć z miejsca, żeby nie spowodować jeszcze większego rozgardiaszu. Dlatego odsunął się tylko na bok. Wtedy zauważył coś, czego nie mógł dostrzec gospodarz laboratorium odwrócony tyłem.

Spod stolika przysuniętego do ściany wypełznął cieniutki metalowy wąż zakończony czymś w rodzaju dwóch palców. Te palce, nieproporcjonalnie grube i nieco spłaszczone, były zdolne do wykonywania przynajmniej niektórych funkcji zwykłego, ludzkiego kciuka. Dodajmy: kciuka należącego do niesympatycznego złośliwca. Wąż podjeżdżał bowiem po kolei do rozsypanych pigulek, z których wiele potoczyło się aż pod ścianę, i rozgniatał z cichutkim chrzęstem jedną kolorową kuleczkę po drugiej.

- O, o, o!... - zawołał przytomnie chłopiec. - Wąż! Wąż! Wąż! Wijący się na podłodze uczony znieruchomiał.

- Ja wąż? Ty...

- Nie pan! - przerwał w porę Irek. - Tam, o, o! Szczęśnik powoli, z niedowierzaniem spojrział we wskazanym kierunku.

- Aaaa!!! - laboratorium jeszcze raz przeszył okropny krzyk. - To ten puszkorób!!! Widzisz?! Widzisz?! Przecież to najgorsza kreatura, jaką kiedykolwiek wydał nasz szlachetny gatunek! I takie coś chce uszczęśliwiać ludzi!

„Jak to; uszczęśliwiać? - przemknęło chłopcu przez głowę. - Przecież uszczęśliwiać ludzi chce właśnie ten tutaj! Czyżby istniał jeszcze drugi?”

- Zobaczysz!... - Uczony zerwał się jak gazela i popędził przez swoją małą pracownię, jednak nie w stronę, gdzie szerzył dzieło zniszczenia dziwny gad, lecz ku małemu pulpitowi stojącemu obok jeszcze mniejszej umywalki.

Grzrz... grzrz... - wąż rozprawiał się z kolejnymi pigułkami szczęścia. Ich twórca nic sobie jednak z tego nie robił. Całą swoją uwagę skupił na pulpicie. Naciskał, jeden po drugim,

niegdyś białe klawisze, równocześnie bacznie obserwując taniec świetlistych nitki, które ukazywały się w okienkach wskaźników. Wreszcie wydał przeciągły odgłos, który miał być pomrukiem zadowolenia, lecz zabrzmiał tak złowieszczo, że chłopcu aż ciarki przeszły po krzyżach.

- A teraz chodź tutaj! No, chodź! - powtórzył niecierpliwie, bo Irek nadal stał w miejscu jak skamieniały. -Prędzej! Szafy umiesz rozbijać, ale jak można zobaczyć coś ciekawego, to cię nie ma!

Tak sformułowane wezwanie wreszcie poskutkowało. Irek, ostrożnie stawiając stopy, by nie nadeptać któregoś z drogocennych pudełek, a równocześnie nie znaleźć się zbyt blisko ruchliwych kciuków metalowego gada, podszedł do pulpitu, przy którym stał stary uczonec. Ten jednak wskazał mu... umywalkę.

- Tam patrz! - burknął. Chłopiec zawahał się.

- No, patrz... Nie tam, ośle! - zirytował się szczęśnik, widząc, że Irek ogląda wnętrze umywalki. - Do kurka!

Chłopiec pochylił się, wykręcił jak korkociąg i zajrzał od dołu do wylotu kranu. Zajrzał i aż krzyknął ze zdumienia.

Z tego kurka woda z pewnością nie płynęła już od dawna. Może nawet nigdy. Okrągły otwór był zaślepiiony

szklaną masą o powierzchni wyszlifowanej na kształt malutkiej soczewki.

Przez taki to szczególnie peryskop Irek ujrzał wnętrze okrągłego pomieszczenia, takiego jak to, w którym sam się teraz znajdował. Było tylko inaczej urządzone. Miejsce półki i stołu zajmowały wielkie, skomplikowane automaty. Przy jednym z nich stał kompletnie łysy grubas, którego nogi tkwiły w szerokich blaszanych rurach. Dzięki tym nogom, a raczej rurom chłopiec natychmiast odgadł, że ma przed sobą drugiego ze sprawców alarmu w „Pięciu Księżycach”.

- Kto to jest? - chciał zawołać, ale udało mu się wydobyć jedynie zduszony szept.

Spróbujcie bowiem wołać, zaglądając od dołu do kranu nisko umieszczonej umywalki.

Szczęśnik jednak usłyszał,

- Wróg! Szkodnik! Ignorant! - odrzekł z mocą. - Kiedyś był konstruktorem, a-potem zwariował na punkcie swoich gadających i ruszających się puszek! Automaty! Oto, czym chce zbawić ludzkość! Ale patrz! On jest gruby jak hipopotam, a biegł razem ze mną po górach. Teraz, zamiast odpoczywać, zdobył się na nowy wysiłek. Mianowicie wysłał automat, żeby mi tu niszczył moje pigułki! Na pewno jest zmęczony i chce mu się pić. Dotąd pracował, ale teraz... Zobaczysz... hi, hi, hi!

- A skąd on wiedział, że panu rozsypały się... że ja rozsypałem pigułki?

- Przecież on także nas widzi! - odpowiedział z lekkim zdziwieniem szczęśnik, jakby zaskoczony, że ktoś może pytać o rzecz tak oczywistą. - O, już, już! - zmienił ton.

Równocześnie przycisnął jeszcze jeden guziczek. Skądś, jakby spod podłogi, dobiegł szum wody. Wtedy siwłosy uczonec błyskawicznym ruchem sięgnął po jedną z leżących na podłodze pigułek, podniósł ją i wrzucił do otworu nad pulpitem.

Irek zobaczył, że łysy grubas ze szklanką w dłoni idzie w stronę zlewu, który u niego pełnił widać swoje zwykłe prozaiczne funkcje. Napełnił szklankę wodą, po czym uniósł ją do ust. Cały czas spoglądał przy tym w stronę, gdzie migotał lampkami jakiś pracujący automat, toteż nie zauważył, że wraz z wodą spłynęła do jego szklanki maleńka, ciemna kuleczka. Napił się i odstawił naczynie. Raptem wyraz jego twarzy uległ gwałtownej zmianie. Zbladł, zeszywniał, kilkakrotnie poruszył wargami, aż wreszcie zaczął dygotać jak suchy listek miotany jesiennym wiatrem.

- Haaa! - nad uchem Irka rozległa się pieśń zwycięstwa. - Widzisz?! Daj, teraz ja popatrzę. Nie mogę przecież przepuścić takiego widoku!

Widok był rzeczywiście niezwykły, mimo to chłopiec bez żalu odstąpił uczonemu pigularzowi miejsce przy kranie. Wyprostował się z trudem i w tym momencie zauważył, że automat w kształcie węża, który z taką zawziętością rozgniatał cudowne kulki, także zaczął się trząść jak porażony prądem. Podrygiwał przez chwilę, po czym zniknął z powrotem w ścianie.

- No i co?! No i co?! - triumfował dalej szczęśnik, nie odrywając oka od kurka. - Dużo ci pomogły twoje konserwy! Ale się boi, hi, hi, hi!

Irek z utęsknieniem zerknął w stronę drzwi prowadzących do śluzy. To, co się tutaj działo,

przypominało jakąś bajkę o złych sąsiadach lub fantastyczną komedię filmową. Ale pożerające światło dyski i odkryte w podziemiach malowidła są jednak o wiele ciekawsze. A tymczasem ani ojciec, ani profesor Bodrin ciągle nic o nich nie wiedzą...

- No! - uczyony chudzielec wyprostował się wreszcie, zatarł z uciechą ręce i spojrzał przyjaźnie na chłopca. Stało się to akurat w momencie, gdy Irek tak tęsknie spoglądał w stronę drzwi. - On już wie! Hi, hi, hi! Teraz będzie długo myślał, jak mi się odwdzieczyć. Dałem mu pigułkę

na strach! Nikt nie oprze się moim superstymulatorom biochemicznym! Chcesz się śmiać? - proszę! Chcesz płakać? - służę uprzejmie! Chcesz wpaść w furję? - nic prostszego! Chcesz być szczęśliwy?... Co, zamierzasz już sobie pójść?

- Jeśli nie miałby pan nic przeciwko temu - bąknął nieśmiało chłopiec. - Ojciec nie wie, co się ze mną stało, i teraz pewnie... - urwał.

Chciał powiedzieć „boi się o mnie”, ale w zestawieniu z tym, co widział przed chwilą, określenie „boi się” zabrzmiałoby jakoś... fałszywie. Ten stary człowiek mówił przed chwilą o strachu. Ale przecież grubas naprawdę nie odczuwał strachu. To było sztuczne... po prostu, bezwiednie, połknął specjalną pigułkę...

- No cóż, idź, idź - szczęśnik machnął ręką. - Ubierz się w śluzie... Zresztą odprowadzę cię.

- A może - dobra woła dziwnego gospodarza obudziła w chłopcu wyrzuty sumienia - może jednak pomógłbym panu posprzątać? - wskazał oczami rozsypane pudełko.

- O, co to, to nie! - wspaniałomyślna oferta Irka została odrzucona stanowczo i nieodwołalnie, - Narobiłbyś mi tylko bałaganu. Sam posprzątam i będę mieć znowu idealny porządek jak przedtem. No, chodź - podbiegł do wyjścia i otworzył pancerne drzwi. - A tego... - zająknął się - nie mów na razie profesorowi Bodrinowi, że u mnie byłeś. Sam z nim porozmawiam. Ale przedtem wprawię go w dobry humor. Już byłbym to zrobił, gdyby nie ten przeklęty puszkorób. Nie powiesz? - spytał, kiedy chłopiec przechodził obok niego, wkraczając do mrocznej komórki śluzy.

Irek już miał na końcu języka zapewnienie, że nie piśnie słówka nikomu, jednak po namyśle rzekł:

- Może ojcu... Będę mu musiał wyjaśnić, dlaczego mnie-tak długo nie było.

- Ojcu ewentualnie możesz. A teraz wynocha! No, szybko!

- Przecież się ubieram - mruknął z urazą chłopiec, mocując swój kask, który znalazł w śluzie, do kryzy skafandra.

- Kokosisz się, że aż przykro patrzeć! Poczekaj. Tego... hm... umiesz otworzyć zewnętrzne drzwi śluzy?

- Mieszkam na Marsie.

- A... masz dosyć powietrza?

Chłopiec zerknął na wskaźnik pod okapem hełmu.

- Wystarczy na całą dobę.

- Wszystko działa sprawnie? Klimatyzacja? Łączność?

- Tak, skoro mogę z panem rozmawiać...

- Prawda, prawda. Wiesz, dokąd iść? Nie wiesz - odpowiedział sam sobie, jakby zaraził się tym obyczajem od Mammy. - Gdy opuścisz pracownię, spojrzysz na wschód. Zobaczysz światła bazy. Nie wracaj do „Pięciu Księżyców”, bo zabłądziłbyś w górach. Przez jaskinię da się iść tylko stamtąd do nas. W przeciwną stronę nie. Szyb jest za stromy i za śliski. Idź prosto do bazy. Oni będą wiedzieli, co z tobą zrobić. Zrozumiałeś?

- Tak, proszę pana - odpowiedział grzecznie Irek, myśląc, że z pewnością bardzo by polubił tego dziwnego staruszka, który mógłby być jego dziadkiem, a przynajmniej bratem dziadka. Przecież on tylko udawał zjadliwego zrzędę...

- No, to wynocha! Sio! Sio! - zakończył rozmowę dziwny staruszek.

Obaj mężczyźni stali w milczeniu, ciągle jeszcze spoglądając w niebo, tam gdzie zniknęła im z oczu świetlista smuga przypominająca kometę. Byłaby to jednak przedziwna kometą. Jej osobliwość polegała na tym, że wznosiła się coraz wyżej ku zamglonym gwiazdom i że leciała znacznie szybciej niż jakiegokolwiek ciała niebieskie nie wyłączając spadających, rozpadzionych meteorytów.

- Czy... czy to był o n? - spytał wreszcie nieswoim głosem Geo Dutour.  
Doktor Skiba zagryzł wargi. Po chwili skinął twierdząco głową.  
Ratownik westchnął.  
- Nie mówię ci, że on ma taki napęd.  
- Sam o tym zapomniałem - ojciec Irka odchrząknął i dodał pozornie od rzeczy: - Jestem konstruktorem raket dalekiego zwiadu. Czy twój automat na pewno przesłał prawidłową formułkę wezwania?  
- RX-dwa! Powtórz wysłany kod - rzucił Dutour. Aparat wiszący nieruchomo nad nimi spełnił polecenie. Wezwanie było sformułowane dokładnie tak, jak powinno.  
- Nie rozumiem, co się stało - rzekł głucho doktor Skiba.  
Znowu zapadła cisza. Przerwał ją w kilka sekund później głos nowego automatu.  
- Tu.RX-cztery. Ląduję.  
- RX-cztery, nie wzywałem cię - Dutour zmarszczył brwi.  
- Tu RX-dwa - usłyszeli w odpowiedzi. - RX-cztery jest pilotowany przez człowieka.  
Automat osiadł na skalnej półce. Nad otwartą klapą wjazdu widniała głowa uzbrojona w kask.  
- Jestem - zameldował się pilot głosem Ini. - Truszek zniknął. Czy coś się stało? - dziewczyna zeskoczyła z pojazdu i szła w stronę ojca.  
- Uwważ!  
Ostrzeżenie Dutoura przyszło w samą porę. Inia nie patrzyła pod nogi. Tylko krok dzielił ją od czarnego otworu studni. Stanęła. Doktor Skiba podbiegł i chwycił ją za rękę.  
RX-cztery, wysadziwszy pasażera, wzbił się w górę i zawisł obok trójki pozostałych automatów. Inia spoglądała w głąb rozpadliny. Wreszcie wyprostowała się i spojrzała na ojca.  
- Czy ci dwaj, którzy uciekali, wpadli tutaj?  
- Nie oni. Irek. Przynajmniej tak przypuszczamy. Nigdzie go nie ma - Dutour mówił umyślnie zwięźle, spokojnym tonem.  
- Irek? Jak to: Irek?! - przeraziła się Inia. - A gdzie ten uczonec. Robinson, i jego syn?  
- Musieli wrócić do bazy.  
- No, a Truszek? Myślałam, że to wy go wezwaliście, i dlatego przyleciałam. Byłam w pokoju, kiedy on nagle wystartował. Zajrzałam jeszcze do dyspozytorni. Chciałam się z wami skontaktować, ale pan Kozula powiedział, że centrala łączności „Pięciu Księżyców” jest chwilowo nieczynna. To znaczy, czynna, tylko nie dla mieszkańców gwiazdźńca. Podobno jej nadajniki wspomagają anteny bazy, która nadal usiłuje odzyskać kontakt z zaginioną ekipą.  
- Poczekaj... - przerwał jej Dutour. - Poczekaj... -powtórzył patrząc pytającym wzrokiem na doktora Skibę. - W takim razie, jak to możliwe...  
- ...że Truszek odebrał nasze wezwanie - podchwycił konstruktor. - Jeśli centrala przyjmuje tylko sygnały przeznaczone dla bazy?...  
- Myślicie - głos Ini drżał lekko - myślicie, że wezwał go ktoś inny?  
Dutour potrząsnął z niedowierzaniem głową, ale nic nie powiedział.  
- Tak czy owak, tutaj nic nie wystoi - doktor Skiba starał się, jak mógł, aby jego głos brzmiał spokojnie i pewnie. - Faktem jest, że Truszek zniknął. On jeden potrafiłby odnaleźć Irka, jest przecież jego automatem opiekuńczym specjalnie tak zaprogramowanym, aby zawsze natychmiast reagował na hasło zastrzeżone dla mojego syna. I Truszek zareagował na wezwanie, tylko że zamiast pod ziemię, poleciał w kosmos. Tam Irka nie ma. Nie wierzę, żeby ci, których goniliśmy, byli wysłannikami innej gwiazdnej cywilizacji i żeby odlecieli, zabierając przy okazji także ziemskiego chłopca. Takie rzeczy są dobre w filmach fantastycznych. Jedyne, co teraz możemy zrobić, to udać się natychmiast do bazy. Jeśli oni koordynują łączność na całym globie, to może będą wiedzieli, co zrobić, aby nawiązać kontakt z Irkiem, a przynajmniej, na razie, z Truskiem.  
- Do bazy... - szepnęła cichutko Inia.  
- Zgadza się - Dutour skinął energicznie głową. - Nie możemy dłużej stać bezczynnie. - Zadarł głowę do góry. - RX-dwa, RX-trzy, RX-cztery, do lądowania. Zabierzcie nas. W ten sposób będzie szybciej - zwrócił się do Ini i jej ojca. - W drogę!

Din wszedł na płaski odłamek skały, który osunął się ze stromego zbocza. Jakiś czas obserwował majaczące przed nim białe, jajowate budyneczki, po czym powiedział: -

- Tato, tu ja. Tato, mówi Din. Słyszysz mnie? Umyślnie nie używał stereotypowego kodu, wiedząc, że baza czeka na głosy z kosmosu. Nie chciał nikogo wprowadzać w błąd... choćby na ułamek sekundy.

- Słyszę, synu - słuchawki przyniosły natychmiastową odpowiedź. - Co u ciebie?

- W porządku. Jestem obok laboratoriów. Nie widzę dodatkowych anten, które mogłyby zakłócać łączność. Podejdę jeszcze bliżej.

- Po co? Uważaj, tam także są strefy ochronne. Możesz wpaść na osłonę siłową i uszkodzić skafander.

- Niczego nie uszkodzę - odrzekł Din z pobłażliwą wyższością. - Ale stąd nie widzę dokładnie otoczenia obu pracowni. Po przeciwnej stronie mogą być jakieś konstrukcje. Muszę to sprawdzić. Odezwę się znowu za pięć minut. Koniec łączności.

Słuchawki umilkły.

Din zeskoczył lekko z kamienia i niezbyt szybkim krokiem ruszył w stronę pierwszego laboratorium. Po chwili zwolnił i zmienił kierunek marszu. Zaczął okrążyć oba budyneczki, aby obejrzeć dokładnie cały otaczający je teren. Anten dalekiego zasięgu nie da się schować pod ziemią.

Ale żadnych anten nigdzie nie było. Wobec tego Din skierował się w stronę wąskiego przesmyku między laboratoriami. Właśnie na ten przesmyk wychodziły drzwi jednej i drugiej pracowni. Były oświetlone, a od góry ochroniono je małutkimi okapami, pod którymi paliły się blade, orientacyjne lampki.

Dotychczas wszystko szło gładko. Teraz jednak nadeszła pora na wykonanie najmniej przyjemnej części zadania. Trzeba wejść najpierw do jednego, a potem do drugiego budyneczku i przekonać się, czy ich gospodarze nie robią czegoś, co mogłoby spowodować zakłócenia łączności na Ganimedzie i w otaczającej go przestrzeni.

Oczywiście chłopiec wiedział, że w tych laboratoriach mieszkają i pracują samotni ludzie. Że są tutaj już od wielu lat. Ojciec wspominał mu o nich niejednokrotnie. Mówił wtedy, że im współczuje. Tego Din nie rozumiał. Przecież skoro sami wybrali sobie takie miejsce do pracy i taką pracę... Ba, ale jaką pracę? To ojciec przemilczał.

Te dwie jajowate kopułki intrygowały Dina od dawna. A dzisiaj, kiedy wracając z gwiazdzińca znalazł się tak blisko tajemniczych pustelni, natychmiast postanowił, że tym razem nie przepuści okazji. I udało się. Co prawda gdyby nie profesor Bodrin... Ale mniejsza z tym. Teraz jest tutaj i musi zrobić swoje.

Stanął. Zrobić swoje. Łatwo powiedzieć...

Nie było tu świateł wytyczających przejścia w barierze pola ochronnego. Jak właściwie ma zawiadomić tych zdziwaczałych badaczy, że na ganimedzkiej pustyni, pod ich domkami, stoi samotny wędrowiec i chce wejść do środka? Przecież oni odcięli się od świata, przerabiając nawet w tym celu swoje centralki łączności. Ojciec mówił, że nie można nawiązać z nimi kontaktu ani z bazy, ani z „Pięciu Księżyców”. Chyba żeby oni sami zechcieli kogoś wezwać. Ale to się jeszcze nigdy nie zdarzyło.

„Podejdę bliżej - powiedział sobie po namyśle - a potem zobaczymy”.

Wprowadzając w czyn swoje postanowienie, zrobił dwa kroki do przodu, i na tym, na razie, poprzestał...

Drzwi jednego z laboratoriów otworzyły się nagle. W nikłym blasku sygnalizacyjnej lampki załśniła osłona kasku. Nieznajomy zamknął za sobą wejście do śluzy, a potem rozejrzał się dokoła, jakby nie wiedząc, co robić dalej.

- A sio! A sio! - usłyszał Din w swoich słuchawkach.

Mimo woli rozejrzał się uważnie po otoczeniu białych budyneczków, szukając stadka kur, które ten człowiek w skafandrze postanowił zagonić z powrotem do kojca. Kur, rzecz jasna, nie było ani śladu, za to słuchawki powtórzyły: - A sio! A sio! - przy czym tym razem słowa te zostały wymówione z przekąsem. Zaraz potem nieznajomy dodał: - Piękne pożegnanie, nie

ma co... a sio!... nie ma co!... a sio! - Mruczał to monotownie, jakby układał piosenkę i właśnie znalazł refren, który wielce przypadł mu do gustu.

Din, który w pierwszej chwili ucieszył się na widok człowieka wychodzącego z pracowni, sądząc, że niespodziewanie trafia mu się sposobność zawiadomienia badacza o swoim przybyciu, teraz postanowił milczeć i czekać. Licho wie, co może zrobić taki odludek podśpiewujący sobie pod nosem „a sio, a sio”, kiedy raptem usłyszy głos nieproszonego gościa. I co mu właściwie powiedzieć? „Przepraszam, czy to pan zakłóca łączność między bazą, a wysłanym z niej statkiem kosmicznym?” Normalny człowiek, usłyszawszy takie pytanie, miałby pełne prawo eksplodować ze złości, a co dopiero jeden z tych dziwaków, którzy z nikim nie chcą rozmawiać.

Nieznamy umilkł i zaczął powoli oddalać się od budynekczku, który przed chwilą opuścił. Nagle upadł. Chwilę później w słuchawkach Dina rozległ się rozpaczliwy szloch. Chłopiec poderwał się przekonany, że tamten doznał jakiejś poważnej kontuzji, że uszkodził skafander i potrzebuje natychmiastowej pomocy, ale znowu zdążył zrobić zaledwie dwa kroki, gdy zatrzymały go słowa:

- No i co ja zrobię?... Co teraz zrobię?... Wyrzucił mnieee... powiedział; a sio... ooo... ooo... uuu... uuu... -dalsze słowa ofiary wypadku, a raczej upadku, przeszły w nieartykułowane buczenie.

„Nie - pomyślał trzeźwo Din. - Tak ryczeć nie mógłby żaden człowiek, który naprawdę potrzebuje pomocy. Tak w ogóle nikt nie może ryczeć. Czy to nie jakiś zepsuty automat, nie wiadomo czemu ubrany jak człowiek?”

Machinalnie przycisnął guzik łączności.

- Halo, Din! - usłyszał głos ojca, napięty i drżący z niepokoju. - Din! Czy to ty płaczesz?...

Olaf Robinson czuwający w bazie przy odbiorniku musiał, rzecz jasna, doznać wstrząsu, usłyszawszy rzewne łkanie niosące się przez ganimedzką pustynię.

- Ja? Też coś! - parsknął Din. - Ale ktoś rzeczywiście płacze. Nie mam pojęcia dlaczego...

- Widzisz go? - spytał uspokojony ojciec.

- Owszem - mruknął chłopiec. - Widzę... Właśnie zobaczył, że nieznajomy, który tak rozżalił się nad sobą, podnosi głowę i siada. Temu ruchowi towarzyszyła cała seria przejmujących, pełnych bezbrzeżnego żalu westchnień i pojękiwań. W następnej chwili skulona figurka rozpaczającego wygnańca znalazła się pośrodku plamy jasnego światła, które padło z otwartych nagle

drzwi laboratorium. Nie tego, gdzie twórca piosenki „A sio... nie ma co!” przebywał przedtem, tylko sąsiedniego. Równocześnie ktoś zawołał bardzo grubym głosem:

- Hej, ty tam! Chodź tutaj!

- Nie mogę... - odpowiedź została raczej wyplakana niż wypowiedziana. - Pole siłoweeee..

- Pole jest otwarte. No, chodź, chodź! - gruby głos stał się odrobinę cieńszy. - Skąd ty się tutaj właściwie wzięłeś? To znaczy, ja wiem, skąd się wzięłeś. Ale kim jesteś? Przysłał cię profesor Bodrin?

- Niiieeee... - wybeczała postać w skafandrze, gramoląc się niezdarnie pomiędzy malutkimi światełkami, które zabłysły dopiero teraz, wyznaczając przejście przez granicę strefy ochronnej. - Nie... ja nazywam się Irek Skiba... nikt mnie nie przysłał... nie chcę nigdzie iść... nic mi już nie pomoże, nic, nic, nic...

Stojący w drzwiach mężczyzna poczekał, aż człowiek, któremu nic już nie było w stanie pomóc, wszedł na czworakach w obręb strefy otaczającej jego pracownię, po czym bezceremonialnie porwał go pod pachy i przeciągnął przez próg. Drzwi zamknęły się. Światełka zgasły. Wokół dwóch jajowatych kopuł znów zapanowała cicha, ganimedzka noc.

Wtedy Din nabrał do płuc powietrza, wyprostował się i oficjalnym tonem powiedział:

- Uwaga, tato. Uwaga, baza. Uwaga, „Pięć Księżyców”. Nadaję ważny meldunek. Zaginiony Irek Skiba znalazł się!

Kiedy Irek zamykał zewnętrzne drzwi służące od laboratorium Augusta Skiby, poczuł, że do jego lewej rękawicy dostały się jakieś twarde grudki, które uwierają go teraz w opuszki palców. Zsunął rękawicę i zobaczył kilka cudownych kulek swojego stryjecznego dziadka. Pomyślał, że musiały tam wpaść wtedy, gdy tak niefortunnie uderzył plecami w szafę i rozsypał jej bezcenną zawartość.

Jego kask został w śluzie, ale rękawice leżały na podłodze w samym laboratorium.

Przełożył pigułki do kieszeni na piersi skafandra, odszedł od drzwi i rozejrzał się. Światelka bazy jaśniały daleko nad horyzontem jak blask gasnącego ogniska. Droga nie powinna być trudna. Przez moment zastanawiał się, czy nie spróbować wywołać ojca, ale spojrzał na czarne ściany gór i zrezygnował. Słaba aparatura skafandra nie zdoła przenieść jego głosu nad niebotycznymi szczytami.

Był zły na siebie. Powinien poprosić starego szczęśnika, aby zawiadomił ojca, że jego syn jest cały i zdrowy oraz gdzie się znajduje. Zastanowił się nawet, czyby nie zawrócić, przypomniał sobie jednak nikczemne „a sio”, które usłyszał na odchodnym, i zamruczał gniewnie: -Piękne pożegnanie, nie ma co! A sio...

Nie. Pójdzie prosto do bazy. Droga zajmie mu najwyżej trzy kwadransy. Przecież będzie szedł cały czas przez równinę.

Ruszył śmiało przed siebie... i w tym samym momencie nagle, ni stąd, ni zowąd, zrobiło mu się bardzo smutno. Strasznie, rozpaczliwie smutno. Przez sekundę, może dwie, walczył z tym uczuciem, ale okazało się ono zbyt silne. W najmniejszym stopniu nie zależało od jego woli. Ogarnęło go uczucie bezbrzeżnego rozżalenia. Dziadek wypędził go z zacisznego schronienia i porzucił samego na obcym, dzikim globie. W słuchawkach zaszemrały czyjeś słowa. Ktoś mówił chyba o płaczu, ale ten głos był taki daleki i nierzeczywisty, że nie mógł należeć do żywego człowieka. Nie. To omamy pojawiające się specjalnie po'to, aby odebrać mu resztkę nadziei.

Siedział tak, miotany spazmatycznym łkaniem, aż słuchawki odezwały się znowu. Tym razem jednak stanowczo zbyt głośno i wyraźnie, żeby mogło to być przywidzenie. Toteż Irek, choć nie dotarło do jego świadomości, co do niego mówią, zaczął, jak umiał, wyjaśniać, kim jest, co go spotkało i że uważa się za człowieka straconego. Ciągle jeszcze przemawiał, gdy uprzytomnił sobie, że już nie siedzi bez ruchu, tylko jedzie, szorując-nogami po ziemi. Raptem te nogi podskoczyły na jakiejś przeszkodzie. Spojrzał przez ły i zobaczył, że tą przeszkodą jest wysoki, stalowy próg. Równocześnie zdał sobie sprawę, że zmianę miejsca pobytu zawdzięcza komuś, kto trzyma go mocno pod pachami i ciągnie za sobą. Chwilę później wokół niego zrobiło się nagle jasno i w tym samym ułamku sekundy jego smutek pierzchnął jak nikły obłoczek porwany potężnym uderzeniem wiatru. Usłyszał stuknięcie zamykanych drzwi, po czym czyjeś ręce pozbawiły go nakrycia głowy.

- No tak, chłopiec - usłyszał tuż za sobą gruby głos. - Hm!... Zatem istotnie popełniliśmy drobną pomyłkę.

Irek doznał uczucia cudownej lekkości. Odetchnął głęboko. Wydało mu się, że czuje zapach rozgrzanej od słońca, ziemskiej łąki. Zawołał:

- O, jak fajnie!

- Hu, hu, hu! - odpowiedział tubalny śmiech. Chłopiec uniósł głowę i ujrzał pochyloną nad sobą o-kragłą twarz z małymi, rozradowanymi oczami. Nad tą twarzą widniało wypukłe, wysokie czoło przechodzące w łysą jak kolano czaszkę.

- Hu, hu, hu -- zadudnił? znowu. - Pomóc ci wstać? Ale Irek nie potrzebował żadnej pomocy. Wciąż lekki jak piórko zerwał się i powitał serdecznym uśmiechem nie tylko swojego łysego wybawcę, lecz także całe jego otoczenie: białe ściany pracowni, pulpity, ekrany oraz mnóstwo automatów o przedziwnych kształtach. Wypatrzywszy w wąskiej luce pomiędzy dwiema metalowymi skrzyniami wygodny fotel, podbiegł do niego tanecznym krokiem i rozwalił się jak długi, przedtem podskoczywszy z uciechy kilka razy na elastycznej poduszce.

- Hu,hu, hu!

Chłopiec zauważył, że nogi rechoczącego grubasa tkwią w niezgrabnych, blaszanych rurach. Natychmiast zrozumiał, że trafił do drugiego z uciekinierów, który przybył do sali balowej "Pięciu Księżyców" przebrany za robota. Jednak i to odkrycie nie popsukało Irkowi humoru.

- A ja pana widziałem! Widziałem! Widziałem! - zawołał radośnie.

- Pewnie, że widziałeś! A myślisz, że ja ciebie nie?! Bardzo ładnie rozsypałeś te idiotyczne pigułki, hu, hu, hu!

- Ładnie? - Irek spoważniał. Zastanowił się przez chwilę, po czym powiedział z wysiłkiem, jak człowiek, który usiłuje sobie przypomnieć zamierzchłe wydarzenia:



- Ale... ja ich wcale nie chciałem rozsypać.  
Łysy mężczyzna także przestał się śmiać.  
- Nie? - mruknął. - Myślałem, że wiesz, co robisz.  
- Wiem, że to były pigułki szczęścia! - wykrzyknął chłopiec. - I wiem także, w jaki sposób pan mnie widział! Oprócz zlewu, ma pan umywalkę, co? Ale z jej kranu nigdy nie popłynie woda!  
- Taaak? - podchwycił chytrze grubas. - Posłuchaj no, powalałeś się trochę, tam, przed służą. Nie chciałbyś się umyć?  
Irek zrozumiał naturalnie, o co chodzi, ale przyjął tę propozycję jako zaproszenie do zabawy. Ochoczo podbiegł do umywalki, wsadził głowę pod kurek, a potem odkręcił go jednym zamaszystym ruchem. W następnej chwili był skąpany do suchej nitki, jakby w odludnym ganimedzkim laboratorium nagle spadł tropikalny deszcz. Woda pociekła mu przez kryzę skafandra po plecach i piersi. Pod jego stopami zaczęły rosnać dwie wielkie kałuże. Odskoczył jak odrzucony sprężyną.  
- Hu, hu, hu! - grubas trzymał się za brzuch i zataczał ze śmiechu. - Hu, hu, hu!  
- Głupie żarty - burknął chłopiec, któremu w mgnieniu oka przestało być wesoło. - Jak ja teraz pójdę? Mam pełno wody w skafandrze!  
- Pierwszy raz widzę, żeby ktoś mył się w ten sposób, hu, hu, hu!  
- Ojciec mnie szuka - przypomniał sobie nagle Irek.  
- Muszę pójść do bazy, żeby mu dać znać. Grubas otarł załzawione oczy.  
- Nie martw się! Automaty w mig doprowadzą cię do porządku.  
Pomógł chłopcu ściągnąć biały próżniowy strój i wykonał ręką ruch w stronę najbliższej stojącej skrzyni. Natychmiast popłynął z niej silny prąd ciepłego powietrza.  
- O, widzisz? A teraz patrz!  
Pociągnął Irka do drzwiczek zamykających otwór, w który wrzucało się resztki jedzenia i śmieci. Przy drzwiczkach była zasuwka, a ta z kolei - zamiast gałki - miała małe szklane oczko. No i jak należało się spodziewać, zajrzawszy w to oczko, chłopiec zobaczył sąsiednią pracownię z urzędującym w niej siwowłosym pigularzem.  
- Czy on wie? - spytał odrywając twarz od niezbyt ładnie pachnących drzwiczek.  
- Oczywiście! - zawołał grubas. - Obaj wiemy! Nie rozmawiamy od lat, uważam, że nie ma z kim rozmawiać, czasem jednak muszę sprawdzić, czy ten szarlatan nie posuwa się za daleko!  
- Ale on także patrzy.  
- To co z tego?! Ja nie mam nic do ukrywania! - łysy wyprężył się z dumą. - Jestem poważnym uczonym, szczęśnikiem.  
Chłopiec jęknął przeciągle.  
- Pan też?  
- Też?! Co to znaczy: też?! Na Ganimedzie jest tylko jeden szczęśnik! Tamtemu się zdaje, że coś osiągnie, lepiąc swoje śmieszne pigułki! Pomyśl tylko, pigułki! Do tykania! Jak w średniowieczu! Ciemnota, ot co! A ja jestem nowoczesnym uczonym! Pamiętasz, co się z tobą działo, zanim cię tu wciągnęto?  
- Byłem tam, obok...  
- No, tak, tak, ale potem?! - gruby głos huczał natarczywie.  
- Chyba płakałem...  
- Płakałeś? Ryczałeś jak mały, bezradny bóbr, który zabłądził w puszczy! Bo j a tak chciałem! Wystarczy jeden automat emitujący pole s m u t k u! A potem poczułeś się inaczej, prawda? To był znowu automat zaprogramowany tak, żeby wzbudzał radość! Moje automaty stymulują stany emocjonalne. A szczęście to przecież właśnie emocje, uczucia! Z najczarniejszej rozpaczki przeskoczyłeś w stan euforii! Taką samą przysługę jestem w stanie wyświadczyć każdemu! Niebawem ogłoszę wyniki moich prac! Będziesz dumny, że miałeś zaszczyt poznać dobroczyńcę ludzkości!  
Irek pomyślał, że jeśli nawet automat poprawił mu humor, to nie na długo. Poza tym nie trzeba by było w ogóle poprawiać mu humoru, gdyby go przedtem sztucznie nie popsuto. Ponieważ jednak nie chciał drażnić „nowoczesnego” uczonego, powtórzył tylko zdanie, którym przedtem wprowadził w zakłopotanie swojego stryjecznego dziadka:  
- No tak, byłem wesoły. Wesoły, ale nie wiem, czy szczęśliwy... Grubas skrzywił się.  
- Bo widzisz, na razie umiem wywoływać tylko poszczególne uczucia: radość, smutek,

strach, gniew... Ale nie bój się! Już jestem na tropie wielkiej syntezy! Kiedy zakończę pracę, powstanie jeden uniwersalny automat szczęścia! Każdy będzie mógł mieć u siebie w domu niezawodny egzemplarz!

„Tamten także mówił, że dopiero pracuje nad tą jakąś syntezą - przeszło Irkowi przez głowę. - Oni obaj są siebie warci...”

Spytał jednak tylko uprzejmym tonem:

- Czemu pan mnie rozplakał... To znaczy, chciałem powiedzieć, zatrzymał? Szedłem do bazy, aby zawiadomić ojca, że nic mi się nie stało.

- Nie mogłem pozwolić, żebyś odszedł pod wrażeniem tego, co ci nagadał ten szarlatan z sąsiedztwa! Pomyślałbyś, że obaj jesteśmy tacy sami, i powiedziałabyś o tym profesorowi Bodrinowi. A on przecież przyleciał tutaj specjalnie, żeby nas skontrolować!

Chłopiec zdębiał. Czy ten człowiek naprawdę uważał, że profesor Bodrin przyleciał na Ganimeda tylko po to, aby skontrolować dwie małe, odludne pracownie wciśnięte w skały u podnóża górskiego pasma? I że właśnie jego, Irka, wysłał na zwiady, na przeszpiegi?!

Już chciał sprostować to, delikatnie mówiąc, nieporozumienie, ale zmienił nagle zamiar. Wpadł mu do głowy pewien pomysł, jak natychmiast ocenił - niezwykle sprytny. Ci dwaj tutaj żyją w stanie wojny, nie szczędzą sobie obelg, a jednak do „Pięciu Księżyców” poszli razem... ' Zmarszczył brwi i przybrał poważny wyraz twarzy.

- Oczywiście, uważam, że pana nikt nie będzie niepokoił. Ale tamtego pigularza chyba jednak stąd wyrzucą.

- Tak! Tak! - ucieszył się grubas. Jednak już w następnej chwili w jego oczach odmalowało się zakłopotanie. - Tak... tak... - powtórzył - chociaż hm... tego... - odwrócił głowę i zaczął pilnie wpatrywać się w sufit nad jednym z ekranów - właściwie... - bąknął - to znaczy... O, właśnie! - wykrzyknął nagle. - Niech go lepiej zostawią - orzekł chytrze. - Tutaj mam przynajmniej na niego oko. W każdej chwili mogę udaremnić jego knowania za pomocą moich niezawodnych automatów. A jeśli poleci nie wiadomo dokąd i zacznie uprawiać swoje praktyki bliżej Ziemi albo na niej samej, to może jeszcze spowodować jakąś groźną, pigułkową zarazę. Rozumiesz?

Irek zagryzł wargi, żeby się nie uśmiechnąć, i powiedział niewinnym tonem:

- Rozumiem. Tylko że mnie naprawdę nie przysłał tutaj ani profesor Bodrin, ani nikt inny. Goniłem panów, kiedy wybiegliście tak nagle z sali balowej, a potem przypadkiem wpadłem do skalnej studni i znalazłem się w jaskini. Jak tylko z niej wyszedłem, od razu zobaczyłem laboratoria i dlatego tu jestem,

Łysy szczęśnik przestał myśleć - chwilowo przynajmniej - o swoim sąsiedzie, szarlatanie i szkodniku, z którym wszakże nie chciał się jakoś rozstać.

- Prawda, prawda - mruknął. - Mówiłeś mi, jak się nazywasz, ale tak wtedy płakałeś, że nie zrozumiałem.

- Irek Skiba.

Grubas drgnął i utkwiał w swoim gościu badawcze spojrzenie okrągłych oczek.

- Skiba? Stroisz sobie ze mnie żarty?

- Skądże znowu! - zaprzeczył skwapliwie chłopiec. - Naprawdę nazywam się Skiba. Tak jak ten siwy pan obok. On jest bardzo podobny do mojego dziadka Wiktora, a ponieważ słyszałem, że brat dziadka wywędrował kiedyś na Ganimeda, więc gdy go zobaczyłem, pomyślałem sobie... - Zrobił krótką pauzę, po czym westchnął obłudnie: - Niestety! To nie on. Sam mi tak powiedział.

- Nie on - powtórzył półgłosem osobnik, zwany przez swego sąsiada puszkorobem. - Nie on... No, tak. Do dziadka Wiktora? No, tak. To nie przysłał cię tu profesor Bodrin?

Irek wyjaśnił, w jakich okolicznościach poznał słynnego uczonego. Następnie opowiedział swojemu gospodarzowi o locie na Ganimeda i o rozstaniu z profesorem.

Ta relacja bardzo poruszyła szczęśnika numer dwa.

- Jak to?! - zawołał załamując swoje pulchne ręce. -Więc Bodrina nie było na balu?!

- Nie.

- No, to po co myśmy tam poszli?! Bo widzisz, to było tak: podsłuchaliśmy przez radio, że profesor przylatuje, i

domyśliliśmy się od razu, że będzie nas chciał wyrzucić z tych laboratoriów. No, więc zdecydowaliśmy, że jeśli najpierw uczynimy Bodrina odważnym, a potem wprawimy go w

dobry humor, to nam nie odmówi, kiedy do niego podejmiemy i wytłumaczymy mu, jak doniosłe są nasze prace! Czasem trzeba kogoś odpowiednio nastawić, żeby nie bał się podjąć decyzji... a o nas różni durnie opowiadają idiotyczne, złośliwe plotki, które, przynajmniej jeśli chodzi o mnie, nie mają nic wspólnego z rzeczywistością. Ale tamten szarlatan musiał się, naturalnie, pomylić! Najpierw wrzucił pigułkę na odwagę do twojej szklanki, a potem tę drugą, różową, upuścił na podłogę! Co miałem zrobić? Nie mogłem czekać, aż uprzątnie ją pomocniczy robot, bo trafiłaby do segregatora odpadków i wtedy ktoś na pewno zacząłby coś podejrzewać. Miałem przy sobie mały, podręczny automat stymulujący strach i poraziłem nim tego robota. Ale wszystkie roboty mają sprzężenie z głównym komputerem, więc przestraszył się także komputer. A komputer, kiedy się przestraszy, to ogłasza alarm. Wtedy musieliśmy uciekać. Gdyby wyszło na jaw, że próbowaliśmy podejść profesora Bodrina za pomocą pigułek i automatów, to już na pewno nie mielibyśmy tu więcej czego szukać. Moje wspaniałe prace zostałyby udaremnione! Ludzkość na próżno czekałaby na cudowny, uniwersalny automat szczęścia! Żeby tego oszusta pokręciło! - Gruby szczęśnik, opowiadając Irkowi o nieudanej wizycie w gwiazdźcu, przypomniał sobie widać ze szczegółami całe niefortunne zajście i poczerwieniał ze złości. -Ooo!!! - zawył w przypiływie furii chwytając się obiema rękami za głowę, co chłopcu, obserwującemu go z mimowolnym lękiem, nasunęło podejrzenia dotyczące okoliczności, w jakich włosy jego gospodarza opuściły swoje naturalne siedlisko. Jeśli i przedtem miał zwyczaj tak właśnie demonstrować swoje niezadowolenie... - Ooo! - zwałiste ciało twórcy uszczęśliwiających maszyn śmignęło przez pracownię jak meteor. - Przeklęty kulkorobie! Ja ci pokażę! Ja ci!... Ja ci...

Grubas zatrzymał się obok zsypu na śmieci i zaczął coś majstrować przy stojącym tam pulpicie. W pewnym momencie zaśmiał się tak przeraźliwie, że przez plecy Irka przebiegł lodowaty dreszcz, chociaż w pracowni nadal działało urządzenie, z którego wiał prąd ciepłego powietrza. Odruchowo sięgnął po swój kostium kosmity i stwierdziwszy, że jest już suchy, wciągnął go na siebie. Następnie chciał włożyć również skafander, ale nie zdążył.

- Chodź tutaj! - huknął szczęśnik. - Mówię ci, warto popatrzeć!

Takiemu zaproszeniu Irek nie mógł się oprzeć. Grubas nie przesadził. Naprawdę było na co popatrzeć. Przez magiczne szkieleto w zasuwce szczęśnik numer jeden, vel siwy szarlatan, vel kulkorób, czyli mieszkaniec sąsiedniego laboratorium, był widoczny jak na dłoni. Stał właśnie pochylony nad swoim pulpitem, pochłonięty pracą. Jego długie, szczupłe palce pilnie biegały po klawiszach. Z otworów umieszczonych tuż nad nimi wypadały, jeden po drugim, białe jak śnieg paciorki, które następnie przyrządem przypominającym zasuszoną jaszczurkę spryskiwał farbą. Pigułki wypadające z pierwszego otworu otrzymywały barwę różową, z drugiego - błękitną, z następnych - czerwoną, brązową, fioletową i czarną.

Raptem Irek zauważył na podłodze znanego już sobie metalowego gada. Tym razem nie miał on palców, tylko kończył się czymś podobnym do miniaturowego pistoletu gazowego. Zniknął na parę sekund za podstawą pulpitu, po czym nagle wystrzelił w górę i, zanim siwy szczęśnik zdolał mu przeszkodzić, siknął szerokim strumyczkiem farby. Wszystkie pigułki, niezależnie od tego, z którego otworu pochodziły, przybrały piękną różową barwę i stały się nie do odróżnienia.

Waż nie poprzestał na tym. Cofnął się wprawdzie, by uniknąć ciosów rozszalałego z gniewu człowieka, któremu zepsuł partię jego cudownych wyrobów, ale nie była to ucieczka. Jeszcze nie. Wąziutka trąba gada ukazała się nagle nad urządzeniem, z którego wypadały białe kuleczki, uderzyła w nie z siłą pocisku i zaczęła wykonywać okrężne ruchy, jakby ucierała kogel-mogel.

- Hu, hu, hu! - zagrzmiało obok chłopca. - Niech teraz spróbuje dać komuś pigułkę na miły nastrój! A ten ktoś rzuci się na niego jak wściekły tygrys, bo będzie to akurat bombka na w ś c i e k ł o ś ć! Hu, hu, hu! Pomieszałem mu wszystkie kolory!

Waż spełniwszy swą okrutną misję wycofał się błyskawicznie i zniknął.

Grubas promieniał.

- Teraz przez jakiś czas nie mogę pić wody - powiedział tak radośnie, jakby obwieszczał światu o odkryciu niezawodnego środka na porost włosów. - Ja mam automat w kształcie

wąskiej elastycznej rurki, którą prze-prowadziłem przez podziemne komory, bo główne szyby energetyczne i aprowizacyjne są wspólne dla obu pracowni. Za to on podłączył się do przewodów dostarczających mi wodę. No - szczęśnik sapnął z ulgą - należała mu się mała niespodzianka za to, co zrobił w "Pięciu Księżycach"! W porządku. A teraz na razie dość zabawy.

Irek był dokładnie tego samego zdania. Uznał mianowicie, że przedstawienia urządzone przez obu rywalizujących ze sobą sąsiadów po pewnym czasie zaczynają się powtarzać. Skwapliwie odszedł od swojego punktu obserwacyjnego i włożył wreszcie skafander.

- Czy pan nie mógłby się połączyć z gwiazdźnicem albo przynajmniej z bazą i powiedzieć, że tutaj jestem? -poprosił.

Twarz grubasa zmierzchła.

- Nie - rzucił krótko. - Chcesz, aby profesor Bodrin od razu dowiedział się, że cię straszylem?

- Proszę pana - zawołał żałośnie chłopiec - ojciec na pewno mnie szuka już tak długo!

Wzrok szczęśnika złagodniał. Potężna pierś przyszłego dobroczyńcy ludzkości uniosła się jak fala na oceanie.

- Niestety - westchnął - tego naprawdę nie mogę zrobić. Moja praca wymaga absolutnego spokoju. Jest zbyt doniosła, bym miał ją opóźnić przez błahę, towarzyskie pogawędki. Dlatego zlikwidowałem anteny. Gdybym nawet chciał je ustawić z powrotem, potrwałoby to parę godzin. A ty dojdiesz do bazy w czterdzieści minut. Zresztą, kiedy tylko znajdziesz się na zewnątrz, będziesz mógł z nimi porozmawiać. Wystarczy ten nadajniczek, który masz w skafandrze. Tutaj ściany zatrzymują fale głosowe, ale na otwartej przestrzeni...

- Rzeczywiście! - wykrzyknął speszony chłopiec. -Że też nie przyszło mi to do głowy! Oczywiście, że. to zrobię! Dziękuję. Nie rozumiem tylko, jak podsłuchał pan rozmowę, w której profesor Bodrin zapowiadał swój przyjazd. Bez anten?

- Odbiorników nie demontowałem - odrzekł nie zmieszany grubas. - Tylko zespoły nadawcze. Muszę przecież wiedzieć, czy ktoś nie knuje czegoś przeciwko mnie. Nie uwierzyłbyś, jak wiele ludzi mi zazdrości. Nie chcą, żeby inni byli szczęśliwi. Zawiść, nic, tylko zawiść...

- No, to ja już pójdę - Irek zrezygnował z dalszych pytań.

- Idź. Ja nazywam się Angelus Ranghi. Nie przedstawiłem się przedtem, więc robię to przynajmniej na pożegnanie - wyjaśnił uczony, którego osiągnięcia były przedmiotem powszechnej zazdrości. - Chciałbym, żebyś mnie mile wspominał. A jeśli przypadkiem spotkasz profesora Bodrina, to tego... może na razie nic mu o mnie nie mów. Ja sam niebawem się z nim skomunikuję, a twoja relacja mogłaby nie być całkiem precyzyjna i on pomyślałby sobie...

Chłopiec nigdy się nie dowiedział, co, zdaniem szczęśnika, pomyślałby sobie profesor Bodrin, gdyby jego opowieść o mieszkańcach laboratoriów okazała się mało precyzyjna, bo w tym samym momencie wewnątrz jajowatego budyńeczku zalało ostre, czerwone światło.

- O! Wymyślił jakieś nowe diabelstwo! - zakrzyknął grubas. - Już ja go uspokoję... - rzucił się ponownie w stronę pulpitu.

Nagle jednak zahamował.

- Ogłaszam alarm - zabrzmiał płynący nie wiadomo skąd spokojny głos. - Nie zidentyfikowany obiekt latający zbliża się do sektora laboratorium. Za obiektem podąża załogowy statek kosmiczny. Szybkość obiektu...

- Kask! Wkładaj kask! - usłyszał Irek.

Ale zachęta była zbyt uczona. Chłopiec już mocował do kryzy skafandra przezroczystą osłonę głowy. Nie upłynęło piętnaście sekund, a i on, i gospodarz pracowni mieli na sobie kompletne próżniowe ubiory.

- Szybkość eskadry maleje - meldował komputer, który włączał się widać tylko w superwyjątkowych okolicznościach. - Statek podchodzi do lądowania. Nie zidentyfikowany obiekt kołuje nad nim..

Przez pancerne ściany kopuły przebił się przeciągły grzmot, od którego w laboratorium cichutko zabrzęczały wszystkie szczęśniackie automaty.

- Poczekaj tutaj! - wykrzyknął Ranghi. - Zobaczę, co się tam dzieje!

Otworzył drzwi śluzy, ale zanim zdążył je za sobą zamknąć, Irek stał już obok niego i, mrugając oczami, spoglądał na pustynię oraz ciemnorude niebo.

- Czy to ty; puszkorobie, narobiłeś bałaganu?! - wrzasnął znany chłopcu głos.

Na tle otwartego wejścia do drugiej pracowni stała wysoka postać. Skafander zwisał na niej żałośnie jak żagiel przy bezwietrznej pogodzie.

- Właśnie, właśnie - odpowiedział ironicznie grubas. - Zafundowałem sobie nawet w tym celu raketę.

Na tym rozmowa się urwała. Obaj specjaliści-szczęśni-cy byli zbyt zaabsorbowani tym, co działo się o jakieś dwieście metrów od ich laboratoriów, na ganimedzkiej pustyni.

Kosmiczny statek stał już pionowo, wsparty na przegubowych dźwigarach, które wysunęły się z obudowy jego rufy. Natomiast nad nim, zataczając małe kółka, latał niewielki przedmiot przypominający kometę ścigającą dla zabawy własny, płomienisty ogon.

Nagle ta wesoła kometa wzbiła się raptownie wysoko w niebo, wykonała ostatni, ostry skręt i w mgnieniu oka zniknęła, pozostawiając za sobą ślad, podobny do rozpalonej igły.

## **Nie strzelać**

Z przybyłej tak niespodziewanie rakiety wychynęły przewodnice windy. Przed zamkniętym jeszcze włazem zatrzymała się ogrodzona balustradą platformka. Chwilę później właz stanął otworem i wypuścił człowieka w próżniowym skafandrze. Nieznajomy pilot rozejrzał się po okolicy.

- Gdzie jesteśmy? - spytał.

- Jak to gdzie... - zaczął Ranghi, ale przerwał mu piskliwy głos jego sąsiada, rywala i wroga.

- Kiedy ktoś zjawia się nie proszony pod czyjś domem, to sam powinien się najpierw przedstawić! Chcę mieć spokój i nie życzę sobie, żeby mi ktoś bez uprzedzenia lądował pod moim nosem... W ogóle sobie nie życzę - poprawił się, w pośpiechu nie wymieniając już szczegółów. - Zrozumiano?!

- Nie zwracajcie na niego uwagi - rzekł szybko grubas stojący obok Irka. - Połknął nie tę pigułkę, którą chciał, i teraz cierpi na zaburzenia umysłowe. Jesteście na Ganimedzie...

- Ja na zaburzenia?!... Ja?... Ty... ty...

- O, widzicie! - ucieszył się Ranghi. - Nie potrafi nawet skończyć prostego zdania.

- Nazywam się Arthur Manners - pilot uznał widać, że żądanie chudego żołądka, choć wyrażone tak mało uprzejmie, jest jednak uzasadnione. - Przepraszam bardzo, z kim mam przyjemność?...

- Angelus Ranghi. Specjalista-szczęśnik.

- Nonsens! To ja jestem uczonym-szczęśnikiem - sprostował natychmiast pigularz. - August Skiba. A te raz, skoro już wiecie, z kim macie przyjemność, wracajcie tam, skąd przybywacie, i dajcie mi pracować.

Przez chwilę trwała głucha cisza. W słuchawkach odzywało się jedynie cichutkie tykanie stygnących dyszy napędowych rakiety.

- Niestety, a raczej na szczęście, nie możemy wrócić tam, skąd przybywamy - powiedział wreszcie pilot. - Siedzieliśmy przylepieni do jakiejś dziwnej malutkiej pla-netoidy i czekaliśmy nie wiadomo na co... Ale nie będziemy tu długo popasać, nie bójcie się. Halo, baza! - podniósł głos o pół tonu. - Halo, baza! Melduje się ekipa zwiadowczo-ratunkowa zero-dwa. Mówi Artur Manners. Halo! Wzywam bazę!

- Artur?! Człowieku, co się z wami dzieje?! - odpowiedział natychmiast profesor Bodrin. - Przez cały dzień tkwimy przy pulpitych komunikacyjnych, żeby nawiązać z wami łączność! Gdzie jesteście!

- Niedaleko białych budyneczków, u podnóża górskiego pasma. Statek chyba w porządku, trzeba to będzie jeszcze dokładnie sprawdzić, ale aparatura łączności nie działa nadal. Załoga zdrowa. A teraz uwaga. Ważne doniesienie. W rejonie Trojańczyków przyciągnęła nas niewielka planetoida. Jakby była zbudowana z magnezu. Uderzyliśmy w nią z rozpędu i straciliśmy anteny. Nigdy nie udałoby się nam oderwać od tego świństwa, a potem bez łączności i bez sygnału namiarowego bazy odnaleźć powrotnej drogi, gdyby nie interwencja nie zidentyfikowanego obiektu latającego. Był to przedmiot w kształcie stożka wyposażony w

silny napęd. Przeleciał tuż obok nas i wytworzył za sobą tak silne pole ssące, że wyciągnął statek. Lecieliśmy potem cały czas za nim jak po sznurku, aż ujrzeliśmy ład. Okazało się, że jesteśmy na Ganimedzie... w domu.

- Artur, Artur, jak to coś wyglądało?! Szybko, szybko! - profesor Bodrin zaczął nagle krzyżeć. - Mamy alarm! Coś nadlatuje!

W słuchawkach rozległo się dalekie, stłumione buczenie.

- Nie strzelajcie, jeśli to stożek! - zawołał Manners. - On nie zachowuje się wrogo! Mamy mu do zawdzięczenia życie!

- Oddała się! - odpowiedział Bodrin - Zatoczył koło nad bazą i uciekł w stronę gór! Powinniście go widzieć! Leci na wysokości tysiąca metrów!

Irek odruchowo zadarł głowę do góry, ale mrocznego nieba nie przecięła żadna złocista smuga.

- No! - sapnął Bodrin. - Stożek, nie stożek, mamy pilniejsze sprawy do załatwienia. Skoro byliście pozbawieni łączności, to wasz lot nie przyniósł nic nowego?... - zawiesił pytająco głos.

- Przeciwnie, profesorze - odrzekł pilot. - Ale o tym może porozmawiamy później?

- Tak?! Tak, oczywiście! Zaraz przylatujemy po was. Nastąpiła cisza. Obok Mannersa w otworze wjazdu pojawiła się sylwetka drugiego kosmonauty.

- Trafiliśmy nie najgorzej - stwierdził nowy, niski głos,

Nie najgorzej - zgodził się Manners. - Chociaż dano mi już do zrozumienia, że nie jesteśmy tu mile widziani...

- Nieprawda - zaprotestował Ranghi - W każdym razie ja bardzo się cieszę. Wkrótce przyleci profesor -Bodrin, prawda?

- Tak. Ale widzę, że jest was trójka. Zawsze słyszałem, że tutaj pracuje tylko dwóch badaczy? Czy coś się zmieniło?

- Nic się nie zmieniło - odrzekł kwaśno August Skiba. - Ten młody człowiek poszedł w góry, zablądził i wpadł do dziury... to jest, do jaskini. Teraz go szukają, a on tymczasem zawędrował aż do nas i właśnie chciał donieść swojemu ojcu, że żyje.

Irka aż zatkało z oburzenia. Nie zdążył jednak zaprotestować przeciw takiemu przedstawieniu jego przygód, bo w tej chwili niebo pojaśniało. Zupełnie jakby wschodziło małe słońce, ale w tempie nieprzystojnym żadnej szanującej się gwiazdzie. Budyneczki, nieruchoma rakieta i spory szmat otaczającej je pustyni stanęły w padającym z góry świetle reflektorów. Blask liznął również zbocza gór, odbijając się od skalnych ścian fioletowym cieniem. Zaraz potem, przy akompaniamencie łoskotu silników, obok statku Mannersa wylądowała druga rakieta. Jej załoga nie czekała nawet, aż platforma windy ustawi się w roboczym położeniu W uchylonym włazie zamajaczył kulisty kask.

- No, jesteśmy! - profesor Bodrin objął spojrzeniem szczęśników, którzy stali nadal wewnątrz strefy ochronnej otaczającej ich laboratorium. - To pewnie Ranghi i Skiba? - odgadł. - Znam was ze słyszenia. Dzień dobry. Cześć, Irek! Nie martw się, twój ojciec już wie, że jesteś cały i zdrowy i że schwyciłeś obu zbrodniarzy, którzy wtargnęli do „Pięciu Księżyców” - zachichotał znacząco. - Za chwilę sam przyleci złożyć ci gratulacje!

- Wszystko mu powiedzieli! - jęknął gruby konstruktor automatów.

Zdanie to nie odnosiło się, rzecz jasna, do ojca Irka, tylko do profesora. Angelus Ranghi miał zresztą powody do obaw i żalu. Jeśli Bodrin już wie, kto uciekał z sali balowej i wrzeszczał: "człowiek! człowiek! człowiek!", to znaczy, że za późno teraz marzyć o wprawieniu go przed decydującą rozmową w "miły nastrój"

Profesor wszedł na platformkę windy, która właśnie pojawiła się pod włazem. Za nim ustawiło się jeszcze dwóch ludzi.

- Widzisz, tato? - odezwał się jeden z nich głosem Dina Robinsona. - Mówiłem, że oni nie mają anten. Słyszałem ich tylko wtedy, kiedy przebywali na zewnątrz laboratoriów. Zresztą teraz i tak już wiemy, że to nie oni zakłócili łączność.

Irek nachmurzył się. Skąd Din wie, co mają, a czego nie mają w swoich pracowniach dwaj osobliwi uczeni?

- Powiedzcie mi tylko jeszcze - rzekł Bodrin - dlaczego ktoś tutaj płakał?

Chmura na twarzy Irka pociemniała. W dodatku jego najgorsze podejrzenia potwierdziły się bardzo szybko.

- Din odbył mały samotny spacer - wyjaśnił wszystkim nie zorientowanym przybyszom Olaf Robinson. - Profesor Bodrin zlecił mu bardzo odpowiedzialną misję - zaśmiał się krótko. - No i mój syn, przypadkiem przechodząc obok laboratoriów, usłyszał, że ktoś płacze. Odgadł nawet kto. Ucieszyliśmy się, bo ten ktoś uchodził za zaginionego.

- Ja płakałem - oświadczył niespodziewanie Ranghi, próbując ratować sytuację. Uznał widać, że profesor obejdzie się z nim łagodniej, jeśli nie dowie się, że to on wprawił chłopca w stan skrajnej rozpacz.

- Bzdury! - zaperzył się August Skiba. - To mnie nagle zebrało się na płacz, bo ten puszkorób, używając swoich tresowanych konserw, zniszczył mi całą partię pigułek!

- Mnie zrobiło się żal ojca - rzekł ponuro Irek, czując, że musi zabrać głos. - Pomyślałem, że mnie szuka i boi się o mnie...

- Więc płakaliście wszyscy trzej? - przerwał z pewnym zniecierpliwieniem Bodrin. - Powariowaliście już z kretesem czy co?!

- Płakał Irek. Przecież widziałem. A także słyszałem - przesądził sprawę Din. Zrobił to nie bez satysfakcji, co wyraźnie dało się odczuć w jego głosie. - Ryczał i szlochał tak, że trudno było zrozumieć, co mówi.

Wyobraźnia przyszłego zdobywcy ganimedzkich szczytów podsunęła mu w tym momencie wizerunek Dina z twarzą ozdobioną dwoma ogromnymi siniakami pod oczyma. Tę rozkoszną wizję rozproszył jednak cichy szum

silników. Chwilę później szum ucichł. Tym wyraźniej zabrzmiały słowa Geo Dutoura:

- RX-jeden, RX-trzy, RX-cztery, do lądowania! RX-dwa, ty siadaj obok granicy pola ochronnego laboratoriów i przygotuj się do przyjęcia na pokład człowieka.

- Tu RX-dwa - odezwał się w odpowiedzi pojedynczy, obojętny głos. - Niech człowiek się przygotowuje.

- Nie! - krzyknął w pierwszym odruchu Irek, pamiętając, że ten sam głos raz już kazał się „człowiekowi” przygotować i że ów „człowiek” zaraz potem wylądował w jaskini. - To znaczy, na razie nie! - poprawił się prędko, spoglądając na elastyczne wysięgniki walcowatej konstrukcji zastygłe w zapraszającym geście. Oczywiście! Tym powietrznym potworem, wtedy, na skalnej półce, kiedy już-już miał dopaść zbiegów, nie był ani napastnik z gwiazd, ani żaden okrutny szponiasty potwór, tylko automat ratowniczy! Wykonywał zapewne polecenia Dutoura i koniecznie chciał zrobić, co do niego należało. Chciał, ale nie mógł. Okazało się, że „człowiek” zbyt dziarsko wywijał rękami i nogami... akurat nad szczeliną wiodącą w głąb Ganimeda.

- Irku, dlaczego nie chcesz wsiąść do RX-dwa? - w słuchawkach odezwał się głos ojca, który jak to zapowiedział profesor Bodrin, przyleciał wraz z eskadrą gwiazdzińca. - I czy to prawda, że płakałeś?

- Nikt nie płakał! - wysyczał napadnięty. - To była tylko zabawa!

- Czemu się złościysz? - spytała z kolei Inia. - Martwiliśmy się o ciebie, a ty tak nas witasz? Profesor Bodrin uznał widać, że czas przejść do spraw najważniejszych, bo zawołał:

- Uwaga, statek ekipy zero-dwa! Arturze, chcieliście coś nam powiedzieć?

- Tak, profesorze - odrzekł Manners. - Otóż tkwiąc tam, przy tej planetoidzie, widzieliśmy wprawdzie tylko skrawek jej powierzchni, ale zauważyliśmy fragment konstrukcji, która na pewno nie była dziełem natury. Wyglądało to jak rufowa część rakiety, całkiem podobnej do...

W słuchawkach Irka coś krótko stuknęło, po czym nastąpiła głucha cisza.

Po dobrej chwili przerwał ją Din.

- Przeszli na pasmo zastrzeżone - stwierdził z goryczą. - Żebyśmy nie słyszeli, co mówią.

- Coś podobnego do rakiety? Gdzie to było?... - wyszeptwała Inia.

- Widzisz, co narobiłeś, ty bezmózga skrzynio z drucikami?! - August Skiba wrócił do kluczowej dla siebie sprawy. - Bodrin już wie o wszystkim! Jedno, co potrafisz, to straszyć dzieci...

- Nie jestem dzieckiem - obraził się Irek.

- Więc to wy dwaj przyszliście na bal? - domyślił się w końcu Dutour. - Ale dlaczego uciekaliście? I skąd ten alarm?

- Synu, proszę cię, wejdź do kabiny RX-dwa. Jest późna noc... Poza tym chciałbym, żebyś mi wreszcie wyjaśnił, skąd się właściwie wzięłeś po tej stronie gór?

- Sam jesteś bezmózga skrzynią, ty... ty... paciorkowcu!

- Oczywiście. Żadne dziecko nie potrafiłoby tak szlochać...

Głosy Irka, Geo Dutoura, doktora Skiby, szczęśników i Dina zabrzmiały równocześnie. Kiedy ucichły, znowu dał się słyszeć szept Ini:

- Czy oni rzeczywiście widzieli jakiś statek? Czemu Bodrin nie chce mi nic powiedzieć? Ja przecież naprawdę nikomu nie przeszkadzam...

Irek bezwiednie dotknął palcami kieszeni swojego skafandra, w której spoczywały cudowne pigułki. Znajdowały się tam nadal i z pewnością nie ucierpiały podczas przymusowej kąpieli, jakiej chłopiec został poddany w pracowni figlarnego grubasa. Skafander nie przepuszczał wilgoci.

Następnie dłoń Irka przesunęła się w miejsce, gdzie mogłoby spoczywać znajome, płaskie pudełeczko, gdyby, rzecz jasna, miał na sobie zwykły kombinezon lub bluzę. Ale kosmici, a przynajmniej ci z nich, którzy nosili obcisłe srebrzyste kostiumy, obywali się bez kieszeni.

Krystografy zostały w pięknym pokoju z widokiem na pielęgnowane przez Mammę kwiaty...

Chłopiec poczuł zamęt w głowie. Dlaczego akurat teraz, usłyszawszy pełen żalu szept Ini, pomyślał o pigułkach? I dlaczego te kuleczki sprowadzające strach, gniew, odwagę lub miłą nastrój skojarzyły mu się z kry-stografami zabranymi na wakacje dzięki panu Seynie? Czyżby podświadomie zapragnął pomóc siostrze, podsuwając jej sprytnie jedną z tych pigułek, które przypadkiem znalazły się w jego posiadaniu, a które były dziełem ich stryjecznego dziadka, nieszczęśliwego szczęśnika, nazywanego przez swojego jedyne go sąsiada szarlatanem?

Potrząsnął głową i rozejrzał się. Słuchawki milczały. Wszystkim przeszła jakoś ochota do mówienia. Obok niego stali dwaj mieszkańcy odludnych laboratoriów. Dalej widniała walcowata konstrukcja automatu ratow-niczego. Za nią mroczna równina z dwoma, słabo teraz oświetlonymi cygarami statków, w których członkowie ekipy zero-dwa konferują z profesorem Bodrinem na temat jakiegoś tajemniczego odkrycia w przestrzeni.

W górze niebo z zamglonymi gwiazdami. Te gwiazdy, choć tak blade, nie znikną za godzinę czy dwie, kiedy wzejdzie Słońce. Bo Słońce tutaj, w strefie Jowisza, jest pięć razy mniejsze niż na Ziemi, a świeci aż dwadzieścia siedem razy słabiej. To wie każde dziecko doby kolonizacji Układu Planetarnego. Gwiazdy będą lśnić nawet w samo południe. Gwiazdy... Ludzie myślą o nich już nie jak o niedostępnych dla nich światach, lecz jak o światł

kach orientacyjnych przy drodze, w którą wyruszają, jeśli nie jutro, to pojutrze. Przecież jego własny ojciec posyła już tam, gdzie one błyszczą, bezzałogowe rakiety dalekiego zwiadu, rakiety, które sam wymyślił, zbudował i które nieustannie doskonalili. A jak długą i kto wie, czy me trudniejszą drogę mieszkańcy Ziemi zostawili za sobą? Całe, pełne dramatów wieki, dziesiątki wieków zawarte w podręcznikach historii? Irek znał dzieje życia tych nielicznych, którzy - kosztem ogromnych wyrzeczeń i jeszcze większego trudu - w każdej epoce torowali przyszłym pokoleniom drogę do gwiazd. Weźmy choćby ów nieszczęsny album, który tak nie w porę przywiózł dziadek Wiktor. Ale przecież to "torowanie drogi do gwiazd" należy rozumieć symbolicznie. Niech nikt nie myśli, że piętnastoletni mężczyzna nie wie, co to znaczy, że jakiś przedmiot czy jakieś zdanie ma sens symboliczny. Starożytni mówili "przez cierpienie do gwiazd". W tym przysłowiu, które chętnie powtarzał przy różnych okazjach tenże dziadek Wiktor, także nie chodzi tylko o dalekie ciała niebieskie płonące wodorowym ogniem. Chodzi, krótko mówiąc, o szczęście...

Inia jest smutna, bo straciła Piotra. Piotr zginął na drodze do gwiazd. Czy on, Irek, będąc na miejscu swojej siostry, chciałby, aby odbierano mu jego smutek? Aby zapomniał o wszystkim i śmiał się wesoło po zażyciu różowej pigułki? Czy taki zabieg nie byłby czymś nieludzkim, uwłaczającym i Ini, i pamięci Piotra?... Tysiący takich Piotrów?...

Chłopiec westchnął. Usłyszał w słuchawkach to swoje westchnienie i, przestraszony, rozejrzał się szybko dokoła. Odniosł wrażenie, że wszyscy mu się przyglądają.

Zaraz jednak uspokoił się. Przecież ani ojciec, ani Dutour, ani ten nieznośny Din nie mogą stamtąd, gdzie stoją, dostrzec wyrazu jego twarzy. A obaj szczęśnicy są zbyt zajęci własnymi sprawami.



Inna rzecz, że to milczenie trwa już za długo. Nie powinno się tak zostawiać Inni na pastwę smutnych myśli... Trzeba odciągnąć jej uwagę od tego, co działo się i dzieje jeszcze teraz w przestrzeni, między planetoidami i Jowiszem. A zresztą... on przecież ma o czym opowiadać!

Tato! - zaczął od wydarzenia, które wydało mu się najwesejsze. - Wiesz, ja tutaj spadłem z góry i uderzyłem kaskiem o osłonę strefy chronionej! Ale pan Skiba zabrał mnie do siebie i dał mi taki środek, po którym nawet nie bolała mnie głowa!

Efekt tych słów okazał się niezupełnie zgodny z oczekiwaniami. Inna wprawdzie istotnie przestała patrzeć w niebo i poruszyła się niespokojnie, ale ojciec spytał tylko:

- Jak powiedziałaś? Kto cię ratował? Skiba? Czy dobrze usłyszałem? Jaki Skiba?

- Skiba to Skiba i już - odezwał się opryskliwym tonem pigularz. - Takie nazwisko. Na świecie są setki Skibów. Co, może nie?

"Bałwan" - rzekł sobie w duchu samokrytycznie Irek. Stanowczo nie czas teraz na dodatkowe komplikacje, i to natury rodzinnej.

Nie wdając się w żadne tłumaczenia, przystąpił do referowania ojcu i Inni głównych rewelacji.

- Wpadłem do okrągłej szczeliny - mówił - ale pochyłem, tak że zjechałem i nic sobie nie zrobiłem. Na dole była jaskinia. Tam usłyszałem głosy panów szczęśników...

- Czyje głosy? - spytała z niedowierzaniem Inna. Irek ucieszył się, że jego wysiłki nie poszły na marne, i fuknąwszy z udaną surowością: „nie przerywaj”, ciągnął:

- Więc poszedłem tą jaskinią i szedłem, szedłem, aż...

- Ale dlaczego właściwie wpadłeś do szczeliny? - wtrącił się tym razem Geo Dutour. -

Wysłałem przecież po ciebie automat ratowniczy.

Zasłużonemu przewodnikowi z „Pięciu Księżyców”, a zarazem ojcu Mai, Irek nie mógł odpowiedzieć tak krótko,

jak przed chwilą siostrze. Toteż odczekał tylko parę sekund, żeby zaznaczyć, jakim nietaktem jest przerywanie mu jego opowieści, po czym rzekł:

- Nie wiedziałem, że to automat ratowniczy. Coś mnie nagle porwało i uniosło do góry, więc szarpnąłem się i spadłem. A że trafiłem akurat do szczeliny, to już czysty przypadek.

- Wyrwałeś się automatowi? - spytał zdziwiony Dutour. - Naprawdę?

- Naprawdę.

Irek wołał przemilczeć, że nie jest pewny, czy swego zwycięstwa nad automatem nie zawdzięczał przypadkiem małej czerwonej kuleczce „na odwagę”, wrzuconej podczas balu do orzeźwiającego napoju przez jednego z późniejszych zbiegów. Wiadomo, że odwaga dodaje człowiekowi sił.

- Będę musiał pomyśleć o udoskonaleniu moich maszyn - mruknął ojciec Mai. -

Przepraszam was wszystkich. Gdyby RX-dwa należycie spełnił swoje zadanie, nie musielibyście tak długo niepokoić się o chłopca.

- Nie przepraszaj - powiedział doktor Skiba. - I daruj sobie te udoskonalenia. Mój syn potrafił kiedyś jednym kopnięciem przewrócić raketę stojącą na płycie startowej. Dzisiaj staranował Mammę, a sam przyznasz, że to także niemałe osiągnięcie.

Z tą raketą to była gruba przesada. Irek, którego ojciec, ulegając jego gorącym prośbom, zabrał raz na doświadczalne pole startowe, zaplątał się w linę podtrzymującą jeden z dźwigarów sondy i, chcąc się uwolnić, dał takiego susa, że dziób statku zatoczył w powietrzu łuk, po czym spoczął na piasku marsjańskiej pustyni. Jednak po pierwsze, w grę wchodziła nie prawdziwa, wielka rakietka, tylko mała sonda dalekiego zwiadu, a po drugie, sonda ta została dopiero co przywieziona na pole startowe i nie była jeszcze osadzona we właściwej wyrzutni.

Ale życie jest brutalne. Legenda o tym, jak to Irek wyrzucił jednym kopnięciem statek kosmiczny, weszła na trwałe do repertuaru domowych opowieści rodziny Skibów.

- Czy mogę mówić dalej? - spytał lodowatym tonem chłopiec. - Czy też mam słuchać, jak wy opowiadacie sobie bajeczki?

Usłyszał najpierw śmiech Dina, tym razem wcale nie złośliwy, a potem głos Dutoura:

- Przepraszam, przerwałem ci. Mów, mów. Więc wpadłeś do jaskini?... Irek zaczerpnął głęboko powietrza.

- Wpadłem do jaskini - potwierdził. - Jest bardzo wielka. Przechodziłem z jednej

podziemnej sali do drugiej, aż w pewnym momencie pomyliłem się i chciałem wejść do bocznego, ślepego korytarza. Wtedy coś pozbawiło mnie światła. Zgasły nawet czujniki. Równocześnie z korytarzyka posypały się kamienie i one odrzuciły mnie od tego przedmiotu, który pochłania światło. On tam leży, uwięziony w skałach. Jest chyba z metalu, bo błyszczy jak wypolerowany, i skacze, kiedy poświecić w jego stronę reflektorem. To było ciekawe, ale poszedłem dalej, bo pomyślałem sobie, że mnie szukacie - zaznaczył z naciskiem. - A w następnej sali zobaczyłem malowidła... Cała 'skalna ściana jest pokryta kolorowymi rysunkami brył geometrycznych. Wyglądają, jakby się ruszały, wiesz tato?! - Irek nagle zapomniał o uwagach Dutoura, wzmiankach Dina dotyczących czyjegoś rozpaczliwego szlochania, o rodzinnej legendzie związanej z kopaniem w rakietę. - Musisz tam ze mną pójść! Jak naj-szybciej! - zakończył z ogniem.

- Malowidła? - mruknął pogardliwie szczęśnik-pigu-larz. - Nie widziałem tam żadnych malowideł.

- Ani ja - zawtórował swojemu sąsiadowi grubas. - Ale to nic dziwnego. Kiedy idę, nie przestaję nigdy rozmyślać o mojej pracy i o tym, co ona da ludziom.

- Synu - odezwał się z udaną powagą doktor Skiba - powiedz no mi, czy ty uderzyłeś się w głowę p o obejrzeniu tych malowideł i po spotkaniu z owym dyskiem, czy też może przedtem?

- Tato!!!

Niestety, ani doktor Skiba, ani nikt z obecnych nie zdążył zareagować na ten okrzyk tchnący świętym oburzeniem i wyrażający bezmiar goryczy, bo w tej właśnie chwili odezwał się profesor Bodrin.

- Powiedz mi Geo, czy masz dosyć automatów ratowniczych, aby bezpiecznie przetransportować do „Pięciu Księżyców” doktora Skibę wraz z córką i synem oraz Dina?

- Tak.

- W takim razie odlatujcie - dopiero teraz ujrzeli postać profesora, który dotychczas stał za uchyloną klapą wlotu statku przybyłego z bazy. - Wy dwaj wracajcie do swoich laboratoriów - nie ulegało wątpliwości, że Bodrin zwraca się obecnie do szczęśników - i przez jakiś Czas nie odwiedzajcie po kryjomu gwiazdzińca. Domyślam się, że chcieliście ze mną porozmawiać. Dobrze. Wrócę tu do was, jak tylko będę mógł. Iniu, dla ciebie na razie nie mam żadnych wiadomości. Obiecałem ci, że zobaczysz bazę, i zobaczysz ją, chociaż może nieco później, niż myślałem. Na razie to wszystko. Manners?!

- Tak.

- Kurs na bazę. Statek ekipy zero-dwa zostaje tutaj. Dokładny przegląd zrobimy później.

- Załoga, na stanowiska - wszedł w swoją rolę Manners. - Odlot za dwie minuty.

Właz zaczął się powoli zamykać. Nie zamknął się jednak do końca. Start uległ nieoczekiwanemu opóźnieniu.

Zza szczytów gór wyskoczyła błyskawica. To znaczy coś, co mogłoby być błyskawicą, gdyby na Ganimedzie zdarzały się burze z piorunami. Ale i tak świetlista strzała biegła po zbyt regularnym torze, jak na zwiastuna zwykłej burzy.

Wewnątrz laboratoriów znowu wybuchł pożar. Komputery ogłosiły alarm, zapalając czerwone światła, które przez uchylone drzwi padły na pustynię i oblały krwistym rumieńcem postacie ludzi stojących pomiędzy budynkami.

- RX-jeden. RX-dwa, RX-trzy, RX-cztery, zmieniam zadanie - Geo Dutour mówił szybko, ale spokojnie. - Przyjąć na pokład ludzi i zamknąć włazy. Irku, wsiadaj!

„Jestem wewnątrz strefy chronionej” - chciał odpowiedzieć wezwany, ale nie zdążył. Wypadki potoczyły się zbyt szybko.

Błyskawica stała się podobna do małej, płonącej komety. Przemknęła nad rakietami, po czym - stale zwalniając - zaczęła zataczać koła. Najwyraźniej przygotowywała się do lądowania w pobliżu samotnych pracowni. Lądowania lub... ataku.

- Nie zidentyfikowany obiekt latający - usłyszał Irek zniekształcony głos Mannersa. - Miotacze gotowe.

- Poczekaj chwilę - odpowiedział z pewnym roztargnieniem głos innego członka ekipy, tego samego, który po wylądowaniu statku stwierdził, że „trafili nie najgorzej”.

- To jest bardzo podobne do meteoru, który przeleciał nad bazą - słaby pomruk profesora Bodrina zdradzał, że wielki uczonec nie bardzo wie, co myśleć o domniemanej błyskawicy.

- Ląduje! Ląduje! - krzyknął Geo Dutour. - Czemu nie strzelacie?!  
Rzekoma kometa przestała krążyć jak jastrząb wypatrujący ofiary i, nurkując, runęła prosto w dół.

- Blokuję miotacze! - zawołał niespodziewanie Manners. - To jest ten sam obiekt, który pojawił się przy tej przeklętej planetoidzie!

Tajemniczy przybysz już nie świecił. Na tle ciemnego nieba przesuwawała się teraz nieduża, smukła sylwetka, przypominająca trochę głębinową rybę o wielkiej głowie i zwężającym się symetrycznie tułowiu.

Obiekt minął rakiety i leciał prosto w stronę dwóch bliźniaczych laboratoriów. A nawet nie. Nie laboratoriów. On najwyraźniej celował w jedną ludzką postać czekającą nieruchomo w wąskim przejściu między białymi kopułkami. Nagle opadł na powierzchnię gruntu. Przejechał parę metrów jak lądujący samolot bez kół, po czym, zatrzymując się, od razu przybrał pozycję pionową.

Wtedy ocknął się Angelus Ranghi. Wydał jakiś zduszony okrzyk i pędem pobiegł do swojej pracowni. Po chwili wrócił niosąc niewielkie czarne pudło.

- Nie strzelać!-huknął. - Ja mam lepszy sposób!  
Zobaczcie, co potrafią moje automaty!

Wyciągnął ręce, w których trzymał przyniesioną z laboratorium puszkę, w stronę zagadkowego przybysza i zamarł w oczekiwaniu. Równocześnie jedna z rakiet zapaliła potężny reflektor. Ostre światło oślepiło Irka. A kiedy przejrzał, powietrzny intruz w ułamku sekundy przestał być dla niego nie zidentyfikowanym obiektem, błyskawicą, kometą bądź meteorem.

- Hu, hu, hu! - zadudnił zwycięski śmiech szczęśni-ka-konstruktora. - Popatrzcie! Czy to nie lepsze niż miotacze?! Tak samo mogę porazić każdego człowieka i każdy twór posiadający system nerwowy, choćby sztuczny, jak w wypadku komputerów. I tak samo mogę każdego uszczęśliwić!!! Przybysz z nieba już nie stał pionowo. Zwalił się na skalisty grunt ganimedzkiej pustyni.

- Niech pan to weźmie! - wrzasnął z wściekłością Irek. - Natychmiast! Słyszysz pan?! Proszę zabrać ten automat!

Z pewnością troszeczkę przesadził, krzycząc tak na bądź co bądź niemłodego dobroczyńcę ludzkości, ale doprawdy trudno mu się dziwić.

Parę kroków przed nim, porażony falami czy promieniami wysyłanymi przez automat strachu, leżał zacny... Truszek. Leżał i dygotał jak porcja owocowej galaretki podczas trzęsienia ziemi. Jego lampki wprawione w małą, okrągłą główkę migotały krótkimi, rozpaczliwymi błyskami.

## **Z gwiazd do podziemi**

Szczęśnicy stanowczo nie mieli dobrego dnia.

- To ja...ee...idę do siebie. Mam dużo pracy... - Angelus Ranghi wycofał się tyłem, przezornie ukrywając za plecami aparat, którym poraził Truszkę. Jego chudy rywal w ogóle się nie odezwał, tylko zrobił w tył zwrot i zniknął w sąsiednim budyńeczku.

Irek stał za granicą ochronnej strefy, tuż obok Truszkę, który zdążył się już podnieść. Na wprost nich widniał regularny wianuszek ludzi w kosmicznych skafandrach. Przyszli wszyscy, nawet Manners, chociaż w zasadzie powinien był pozostać w sterowni statku, oraz jego kolega Sven Svensson, drugi pilot bazy, ten sam, który wkrótce po wylądowaniu pozbawionej anten rakiety o-znajmił wszem i wobec, że mogli trafić w gorsze miejsce.

Truszek odpowiadał na pytania. A było tych pytań mnóstwo.

- Odebrałem wezwanie - mówił swoim spokojnym, metalicznym głosem - ale zamiar prowadził w przestrzeń, poza orbitę skrajnego księżycy Jowisza. Więc poleciałem.

- Przecież masz opiekować się Irkiem, a nie odbywać podróże w kosmos - profesor Bodrin nie potrafił ukryć zdumienia zmieszanego z podziwem. - Wygląda na to, że mógłbyś się przespacerować do sąsiedniej galaktyki,

- Musiałbym dostać polecenie i program lotu - odrzekł skromnie Truszek.

- Może troszeczkę przedobrzyłem - bąknął od niechcienia doktor Skiba, rozglądając się po

niebie, jakby z

wyrzutem, że to niebo jest tak łatwo dostępne dla budowanych przez niego automatów. -

Widzicie, po ostatnich doświadczeniach został mi akurat jeden unowocześniony silnik sondy dalekiego zwiadu. Wmontowałem go Truszkowi.

- Człowieku! - zawołał z zachwytem Manners. - To był genialny pomysł! Inaczej tkwilibyśmy przy tym przeklętym skalnym okruchu w grupie Trojańczyków!

- Genialny nie genialny - profesor Bodrin okazał nieco większy sceptycyzm. - Rozumiem, że silnik sondy może być pomocny w bardzo wysokich górach, nie rozumiem jednak, jakim cudem ten automat mógł ocalić ekipę zero-dwa? Przecież musiał od razu i bezbłędnie ocenić sytuację?

- Bo to jest tak... - doktor Skiba nadal patrzył w dalekie gwiazdy - tego... on ma nie tylko silnik, lecz także dość czułe analizatory, które są koordynowane przez taki mały, malutki komputer.

- Komputer! - prychnął sarkastycznie Bodrin. - Powiedz lepiej, że wyposażyleś go w supermózg pochodzący z dalekiej przyszłości! Pewnie udało ci się już zrobić to, nad czym tak pilnie pracuje Bob Long, to znaczy zastosować w praktyce moją teorię ujemnej ciężkości czasu! Komputer! Dobrze sobie!

- Zadanie nie było zbyt trudne - sprostował Truszek. - Wezwanie pochodziło ze ściśle określonego miejsca. A u celu znajdowała się unieruchomiona rakietka. Analizatory natychmiast poinformowały mnie, że na jej pokładzie przebywają żywi ludzie. Ponieważ rakietka nie uległa poważniejszej awarii, musiałem przyjąć tezę, że jej silniki oraz łączność zostały obojętnione przez kosmiczne ciało, do którego przywarł statek. Wobec tego nie mogłem zastosować zwykłego wariantu przewidzianego programem ratowniczym. Ja bowiem mam także napęd i łączność, gdybym się więc zatrzymał przy tej planetoidzie, podzieliłbym los rakiety. Należało więc działać tak

szybko, abym po uratowaniu statku wydostał się samym rozpędem z zagrożonej strefy. Tak też postąpiłem. Tuż przed celem odwróciłem się. Na skutek tego odrzut mojego silnika oderwał rakieta od planetoidy. A szybkość manewru sprawiła, że statek mógł podążać moim śladem. Powstał bowiem korytarz, wzbudzający fale grawitacyjne. Czas trwania tego korytarza obliczam na półteorej sekundy. To wystarczyło żywemu pilotowi dla ustawienia sterów. Uważam, że działałem logicznie - zakończył spokojnie.

- Ja też tak uważam - Manners pokręcił głową - ale potem prowadziłeś nas za sobą aż na Ganymeda. Skąd wiedziałeś, że nie mamy łączności i że bez ciebie nie trafilibyśmy z powrotem? Przecież silniki naszego statku już działały?

- Silniki działały, ale w czasie lotu nie odebrałem żadnego sygnału od podążającej za mną rakiety. Ponieważ analizatory w dalszym ciągu informowały mnie, że na pokładzie są żywi ludzie, więc ich milczenie mogło oznaczać tylko to, że są pozbawieni łączności. Wobec tego bez przewodnika nie zdołaliby powrócić na Ganymeda. Niestety, już na orbicie globu musiałem zmienić kierunek. Nowe wezwanie nadeszło z innego miejsca. Zresztą analizatory powiedziały mi, że statek i tak wyląduje bezpiecznie, ponieważ powierzchnia globu jest już blisko.

- Była blisko - potwierdził Manners. - A teraz zdradź nam wreszcie tajemnicę, co właściwie uwięziło nasz statek przy tej planetoidzie, tak że nie mogliśmy się od niej oderwać? Co pozbawiło nas napędu?

- Nie wiem - padła odpowiedź. - Mam luki w zapisie pamięciowym. W samym momencie uwolnienia statku moja łączność wewnętrzna także przestała funkcjonować. Wspomniałem już, że zdecydowałem się działać szybko, aby wykonać manewr jedynie rozpędem. Gdybym nie przewidział utraty własnej łączności i przerwy w działaniu własnego napędu, takie założenie byłoby przecież nonsensowne.

Milczenie, które zapadło po tym ostatnim oświadczeniu Truszka, przerwał dopiero dobrą minutę później doktor Skiba.

- Chyba wiem, jak to się stało - rzekł z namysłem. - Kiedy Irek wyrwał się automatowi ratownicemu RX-dwa, wezwałem na pomoc Truszka, który przebywał w naszym pokoju w „Pięciu Księżycach”. Wezwanie, które wysłałem za pośrednictwem jednego z aparatów ratowniczych Dutoura, musiało przejść przez dyspozytornię gwiazdźni. Ta dyspozytornia, a w każdym razie jej centrala łączności, była w tym czasie sprzężona z aparaturą bazy - zwrócił

się do Bodrina. - Wysyłałście sygnały i prowadziliście nasłuch w tym obszarze, z którego dobiegły ostatnie meldunki zaginionej ekipy zero-dwa. Tak więc Truszek odebrał wprawdzie wezwanie, ale dyspozytornia wskazała mu fałszywy kierunek. Jej anteny były przecież wycelowane właśnie w stronę planetoidy, która zagarnęła statek Mannersa. A Truszek musiał polecieć tam, skąd, jak zrozumiał, przyszedł sygnał. Widzieliśmy go... staliśmy wtedy z Geo na krawędzi szczeliny, do której wpadł Irek. Mignął nam tylko nad głowami, jak prawdziwa rakieta startująca ku gwiazdom. Zacząłem się domyślać, co zaszło. Sądziłem nawet, że Truszek zginie w przestrzeni, bo będzie do skutku szukał Irka. Po pewnym czasie wskazałem mu nowy cel, a mianowicie bazę. Na szczęście, zanim to zrobiłem, zastanawiałem się tak długo, że on przez ten czas uratował ekipę zero-dwa. Inaczej zawróciłby wcześniej... A do bazy mógł polecieć, bo chociaż byłby to kurs odwrotny w porównaniu z pierwszym, jaki mu wskazano, ale przecież nadal podążałby śladem sygnałów. A że nie doprowadził statku Mannersa do samej bazy, to także moja wina. Din, który „przypadkiem” przechodził koło tych tutaj laboratoriów, doniósł, że Irek się znalazł. Wtedy wezwałem Truszka do

siebie, więc porzucił was i przyleciał do mnie. Przedtem zdążył jeszcze pokazać się nad bazą.

Tak więc tajemnica dziwnych poczynań Truszka przestała być tajemnicą. Ale zagadek i tak pozostało aż nadto. Przede wszystkim - co to za jakaś planetoida, która jest pułapką dla ziemskich statków? Po drugie, rewelacje przywiezione z kosmosu przez ocalałą ekipę zero-dwa. Czy Manners i Svensson naprawdę widzieli fragment innej rakiety? W każdym razie uznali swoje obserwacje za zbyt ważne, by poinformować o nich kogoś spoza ścisłego grona pracowników bazy. Do tego wszystkiego ów tajemniczy dysk w podziemiach i malowidła...

Irek mógłby jeszcze dorzucić swoje wrażenia wyniesione z odwiedzin w dwóch samotnych laboratoriach. Jak na jeden dzień wystarczy.

Przejęty tym, co usłyszał od ojca, i relacją Truszka poczuł nagle, że jego usta otwierają się szeroko... coraz szerzej. Zanim zdążył temu zapobiec, usłyszał swoje ziewnięcie. Głośne, długie i, co się zowie, serdeczne.

- Nie wiem, jak kto - rzekł przytomnie doktor Skiba - ale ja idę spać. Jutro także jest dzień. Wy, oczywiście, wracacie do bazy, macie przecież pilne sprawy do załatwienia. Na szczęście są to sprawy tak tajemnicze, że obcy nie mogą wam pomóc. Mówię: na szczęście, bo dziwnie nie mam teraz ochoty do pracy.

Profesor Bodrin westchnął.

- Właśnie przyszło mi na myśl - powiedział - jak by to było dobrze, gdybyśmy i my, w bazie, mieli do dyspozycji takiego Truszka.

- Niestety, on jest zaprogramowany specjalnie dla Irka - odezwała się niespodziewanie Inia. - Przerobienie tak skomplikowanego automatu zajęłoby mnóstwo czasu. Musielibyście wziąć nas z sobą.

Przez twarz słynnego uczonego przebiegł nikły, niemal niedostrzegalny uśmiešek. Widać profesor docenił dyplomację dziewczyny, która tak bardzo chciała znaleźć się w bazie dalekiej łączności. Udał jednak, że nie rozumiał, o co chodzi.

- W takim razie trudno - rzekł. - Nie będziemy pozbawiać Irka opieki, która, jak się zdaje, jest mu tu rzeczywiście potrzebna. Szkoda. No, do widzenia - odwrócił się i ruszył w stronę rakiety.

- Chwileczkę - zatrzymał go doktor Skiba. - Właściwie nie jestem aż tak strasznie śpiący. Ostatecznie mogę pójść z wami. A nuż zechcecie skonstruować coś, co byłoby zarazem rakieta, automatem ratowniczym i kometą, a co poza tym umiałoby chodzić po skałach, malować i śpiewać. Nie twierdzą, że potrafię zrobić coś takiego, ale spróbować nigdy nie zawadzi. Tylko przedtem zajmę się przez chwilę Truszką. Gruntowne przerobienie tak skomplikowanego aparatu - uśmiechnął się znacząco do córki - rzeczywiście zajęłoby mi mnóstwo czasu. Ale ja wprowadzę jedynie drobną poprawkę do jego programu i już będę do waszej dyspozycji.

Bodrin nie zastanawiał się długo.

- Dobrze. Leć z nami.

- Iniu, Irku, wracajcie do gwiazdźni i poczekajcie tam na mnie. Postaram się, żeby mnie jak najprędzej wyrzucili - twórca znakomitego Truszka zakończył udoskonalanie swego dzieła, to znaczy wprowadzanie jakichś poprawek do programu automatu, i zaśmiał się niewesoło. - I

uważajcie na siebie.

- Din dotrzyma wam towarzystwa - rzekł Olaf Robinson. - Zna „Pięć Księżyców” i jego okolicę z poprzednich wakacji.

- O nie! - zaprotestował wymieniony. - Ja pojedę do bazy. Przecież miałem tam być z tobą.

- Sytuacja się zmieniła. Polecisz do gwiazdźni.

- Nie.

- Tak.

Din wracał w jednym pojeździe ratowniczym z Irkiem. Kabiny automatów Geo Dutoura były w zasadzie jednoosobowe, ale tą jedną osobą mogłaby być z powodzeniem na przykład Mamma trzymająca pod obiema pachami dorodne dynie. Mimo to Irek wparł się w kąt i usiłował przekształcić swoje ciało w dwuwymiarową wycinankę. Na szczęście przez całą drogę Din nie odezwał się ani jednym słowem. Może dlatego, że tuż nad kabiną RX-dwa sunął jak cień czujny Truszek.

Uniółszy powieki Irek spojrzął od razu w szerokie okno. Przez ciemnozłociste zasłony przebijało jasnożółte światło dnia.

- Dzień dobry - usłyszał charakterystyczny głos. Spojrzął w miejsce, z którego ten głos dochodził, i zobaczył Truszkę stojącego w kącie pokoju.

No, cóż, automaty nie potrzebują snu. Jednak chłopcu zrobiło się nagle żal wiernego opiekuna. Toteż powitał go szczególnie serdecznym uśmiechem, poczym od razu zeskokczył z leżanki. W tym momencie zasłony bezszelestnie zniknęły w ścianach, odkrywając widok na ogród otaczający kolorowy model Ziemi.

- Czy podać śniadanie do pokoju? - spytał ktoś nie wiadomo skąd. - Czy też...

W głośniku coś chrobotnęło. Po krótkiej pauzie odezwała się miejscowa opiekunka kwiatów. Flora Mamma-vita:

- Irek?

- Tak, słucham - bąknął chłopiec nie bardzo wiedząc, w którą stronę patrzeć, aby nie okazać się niegrzecznym wobec mówiącej.

- Właśnie zobaczyłam, że wstałeś. Dzień dobry. Jak ci się spało?

- Dziękuję, świetnie.

- Przed chwilą rozmawiałam z Jackiem, to znaczy, z twoim ojcem. Ścisza cię i prosi, żebyś był cierpliwy. Będą chyba zajęci trochę dłużej, niż początkowo myśleli. Ale poza tym w bazie wszystko w porządku. Inia także już wstała. Zaraz zjedzie na śniadanie. Potem popracujemy w ogrodzie. A ty? Chcesz zjeść u siebie? Czy przyjdiesz tu, do błękitnej sali?

Irek otrząsnął się z resztek snu. Wypadki wczorajszego dnia stanęły mu przed oczami z całą ostrością. Zaintrygo-wał go jednak, skąd Mamma wiedziała, że on już nie śpi.

- Przepraszam - bąknął, - Czy zawsze podglądacie gości? Może przez ekran albo jakiś zsyg na śmieci?

Mamma zamiast się rozgniewać wybuchnęła śmiechem.

- Oczywiście! - zawołała. - Ba! Wiemy nawet, co się komu śniło! Ty na przykład tratowałeś dziś w nocy niewinne kobiety zajęte pielęgnacją irysów. Poza tym biegałeś po górach i pod górami, gdzie mimochodem rozbijałeś kosmiczne dyski, chwytając zbrodniarzy, którzy zepsuli nam bał, malowałaś widoczki na ścianach i dokonywałaś jeszcze mnóstwa innych bohaterkich czynów!

Chłopiec nachmurzył się.

- Widzę, że rozmawiała pani z Dinem - rzekł zimno. - Pewnie opowiedział wszystko bardzo dokładnie...

„A zwłaszcza - dodał w myśli - jak to ja ryczałem i szlochałem...”

Mamma nie zrażona tonem bohatera wczorajszych przygód zaśmiała się znowu.

- Wprost przeciwnie - powiedziała. - Wiem bardzo niewiele i płonę z niecierpliwości, żeby od

ciebie samego usłyszeć, jak to było naprawdę. Dlatego chciałabym, żebyś zjadł śniadanie razem z nami. A jeśli chodzi o podglądanie gości... Nie, nie bawimy się tak nieładnie. Dysponujemy natomiast czujnikami, które informują nas między innymi o tym, kiedy turyści budzą się ze snu. Musimy ich przecież przywitać, życzyć dobrego dnia i spytać, gdzie raczą spożyć pierwszy posiłek. Nasz ośrodek szczeni się naprawdę serdeczną troską o gości. No więc jak? Schodzisz czy mam po ciebie pójść?! - groźba brzmiąca w ostatnim zdaniu stała w rażącej sprzeczności z tym, co przed sekundą zostało powiedziane o serdecznym traktowaniu turystów bawiących w „Pięciu Księżycach”.

- Schodzę, schodzę - zapewnił skwapliwie Irek. - A jak trafić do tej błękitnej sali?  
- Wyjdź tylko na korytarz, dalej zaprowadzą cię strażki. O tej porze dnia będą błękitne. Błękit to kolor śniadania. Obiad jest jasnobrażowy, a kolacja granatowa. Taki zwyczaj.

Szczupłe grono gości i gospodarzy gwiazdźniça siedziało przy białym stole w kształcie podkowy, ustawionym pod otwartą szklaną ścianą. Brakowało jedynie pana Kozuli.

- Dzień dobry - powiedział Irek.  
- Dzień dobry - odezwał się jak echo metaliczny głos za jego plecami.

Truszek zapamiętał nowe polecenie, które otrzymał od doktora Skiby, i nie odstępował jego syna ani na krok. Kiedy Irek usiadł na krześle wskazanym mu przez roześmianą Mamę, stożkowaty twór usadowił się tuż za nim, jak średniowieczny kamerdyner za rozkapryszonym baronem, i zastygł w bezruchu.

Po śniadaniu Irek zaspokoił wreszcie ciekawość Mammy. Zrelacjonował swoje wczorajsze przygody wiernie i dokładnie, choć niektóre szczegóły zostały subtelnie podkreślone, natomiast inne dodatkowo skomentowane. Mówiąc na przykład o swoich łzach przelewanych u stóp drugiego laboratorium, chłopiec nie omieszkął dodać z niewinnym uśmiechem:

- Gdyby ktoś mnie wtedy widział, od razu musiałby zauważyć, że taki płacz mógł być wywołany jedynie sztucznie. Oczywiście, gdyby to był ktoś posiadający nie tylko oczy i uszy, lecz także szczyptę rozumu... Wiecie, co chcę przez to powiedzieć.

Śluchacze nie wiedzieli. Lub też udawali, że nie wiedza. Dzięki temu Irek bez przeszkód zakończył swoją opowieść.

- Fantastyczne! Słuchajcie, co to może być?! Myślę o tym dysku?! - zawołała z przejęciem Maia.

Rumieniec na jej ślicznej twarzyczce oraz ciemna chmura, która natychmiast przestoniła oblicze Dina, z nawiązką wynagrodziły Irkowi wszystkie krzywdy doznane w pracowniach samotnych szczęśników.

- Zagadka! - stwierdził krótko Geo Dutour. - Tak samo te malowidła. Zresztą, jak już mówiłem, dla mnie osobiście jest zaskoczeniem sam fakt, że tu istnieją jaskinie. Choć skądinąd satelity Jowisza są w ogóle bardzo młode w porównaniu z Ziemią i jej Księżycem. A tutejsze góry to wyłącznie krater po dawnych wulkanach. W tego rodzaju masywach zwykle spotyka się groty. W każdym razie, dzięki Irkowi, na Ganimeda przyjadą teraz uczeni z całego świata. Poza tym „Pięć Księżyców” będzie mogło oferować gościom nową, kapitalną atrakcję turystyczną. A swoją drogą, że też ja przegapiłem te jaskinie! - zakończył, kręcąc głową.

- Bo one są otwarte tylko dla osób przybywających z góry - zauważył Din. - Irek wpadł tam, kiedy wyrwał się automatowi ratownicznemu unoszącemu go w powietrze... A propos - zwrócił się z zatroskanym wyrazem twarzy do Dutoura - czy ten aparat nie jest uszkodzony?

Ratownik zrobił dziwną minę, ale zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, Inia szybko odsunęła krzesło i wstała.

- Może pójdziemy już do ogrodu? - spytała cicho, patrząc jednak nie na Mamę, tylko na swojego brata.

Interwencja okazała się skuteczna. Irek zamknął usta i przestał mierzyć Dina miażdżącym wzrokiem.

- Wybierzmy się w góry! - wykrzyknęła nagle Maia.  
- Do tej jaskini jest przecież niedaleko! A Irek mówi, że tam można zjechać jak po lodzie! Co?! Proszę was! Taka jestem ciekawa!

Patrząc na nią, nikt nie mógłby wątpić, że jest na-prawdę ciekawa. Zerwała się i utkwiała błagalne spojrzenie w twarzy ojca.

Geo Dutour najpierw cofnął się wraz z krzesłem, a potem wstał także.

- Maiu! - rzekł z wyrzutem. - Przecież wiesz, że muszę być stale w kontakcie z dyspozytornią. Nie wiadomo także, czy aparaty ratunkowe nie będą potrzebne załodze przebywającej w bazie. Nie mogę się stąd ruszyć. Poza tym nie ma tutaj ani ojca Irka, ani Olafa Robinsona...

- To spytajmy ich! - Maia, wodząc po obecnych rozszerzonymi z podniecenia oczami, nie dawała za wygraną. - Wystarczy na moment połączyć się z bazą i poprosić ojca Dina, a także doktora Skibę!

- Szczerze mówiąc sama miałabym ochotę na mały spacer - poparła ją niespodziewanie Mamma. -Wszystko, o czym przed chwilą mówił ten młody człowiek, jest szalenie intrygujące. Mam prawo być ciekawa!

- zaperzyła się nagle, choć nikomu nie przyszło na myśl kwestionować jej żądzy wiedzy. - Jestem kobietą! -spojrzała groźnie na Dutoura. - Co, może nie?!

- Ależ... tak. Tylko...

- Czy przypadkiem nie chodzi ci o to, że jestem gruba?! A nie wiesz, że właśnie głównie z tłuszczu składają się tkanki mózgowe?! Pewnie, że nie wiesz! Co w ogóle może wiedzieć taka szczapa jak ty! Zresztą, jeśli nawet nie zmieszczę się do tego okrągłego otworu, to przecież jaskinia ma także drugie wejście! A przy okazji pogadałabym z tymi dwoma odludkami! Mam im to i owo do powiedzenia!

Irek uśmiechnął się na myśl o tym, jak Mamma zostanie przyjęta w małych laboratoriach po przeciwnej stronie

pasma Gór Rycerskich. Ciekawe, czy będzie to pigułka czarna, czy fioletowa? A może automat nakazujący człowiekowi łagodność? Chociaż skądinąd Mamma nie wygląda na kogoś, kto pozwoli się nakarmić obezwładniającą pigułką lub skapituje przed metalową skrzynką.

Ojciec Mai wpadł w autentyczny popłoch.

- Floro! - wyrzucił. - Przecież... ja naprawdę nie mogę zabierać chłopaków bez zgody ich ojców... I naprawdę powinienem czuć tu, na miejscu...

„Już nie: muszę, tylko: powinienem” - stwierdził w duchu Irek.

A więc mimo wszystko pójdą do jaskini...

I poszli. A raczej polecili. Oczywiście przedtem złożyli wizytę w dyspozytorni. Dyżurujący tam pan Kozula ostatecznie przesądził sprawę. Nie orientując się w sytuacji, oświadczył bowiem Dutourowi, który z nadzieją w głosie spytał, czy powinien pozostać w pobliżu, że to nie jest konieczne, bo uczeni w bazie opracowują właśnie jakieś zagadnienia teoretyczne i że ta praca zajmie im jeszcze parę godzin. RX-y też nie będą im teraz potrzebne.

Nie pozostało więc nic innego, jak tylko połączyć się z doktorem Skibą i Olafem Robinsonem.

Ojciec Dina wyraził zgodę pod warunkiem, że wyprawę poprowadzi Geo Dutour i że wszyscy będą go ślepo słuchać. Doktor Skiba złożył oświadczenie podobnej treści. Przy okazji spytał Inię, czy ona także ma zamiar wyruszyć.

- To zależy od ciebie, tato - odpowiedziała dziewczyna. - Jeśli przewidujesz, że wkrótce może przyjść jakaś wiadomość, to naturalnie poczekam tutaj.

- Nie, nie spodziewaj się w najbliższym czasie żadnej wiadomości - odrzekł ojciec. - A w każdym razie takiej wiadomości, która szczególnie dotyczyłaby ciebie - dodał znacząco. - Jeśli chcesz, to jedź z nimi.

Geo Dutour, jego córka, Mamma, Inia, Irek i Dina włożyli skafandry i wsiedli do czekających na granicy strefy 'automatów ratowniczych. Irek wrócił tylko jeszcze na moment do swojego pokoju po otrzymanym w prezencie urodzinowym aparat do zdjęć przestrzennych, który tym razem postanowił zabrać ze sobą.

Niedługo potem dolecieli do skalnej półki pod prostopadłą ścianą, gdzie znajdowała się okrągła szczelina prowadząca w głąb jaskini.



- RX-jeden, dwa, trzy, cztery! - wzywał swoją powietrzną flotyllę Dutour. - Uwaga, stop! Reflektory! Ułamek sekundy wcześniej niż automaty ratownicze przystąpił do akcji Truszek. Potężny snop światła padł na skały wokół wejścia do jaskini.

- Schodzimy! - wykrzyknęła Maia. - Tato, wysiadam!

- Zaczekaj - powstrzymał ją Dutour. - Najpierw wylądujemy. Proszę, żeby wszyscy zostali na swoich miejscach.

Powiedział to tak stanowczym tonem, że Maia od razu usiadła z powrotem i tylko przyglądała się, jak maszyny ratownicze, jedna po drugiej, powoli opadają otaczając wianuszkiem czarny wylot studni.

- Teraz możecie wyjść - rzekł przewodnik z „Pięciu Księżyców”, kiedy operacja została zakończona.

Obok automatów pojawiły się białe figurki. Ludzie podeszli ostrożnie do otworu szybu i stanęli. Nikt jakoś nie kwapił się do sprawdzenia, czy do jaskini można zjechać naprawdę tak bezpiecznie i łatwo, jak o tym zapewniał Irek. Wszyscy mimo woli czekali, aż on sam czynem potwierdzi swoją opowieść.

Bywalec ganimedzkich podziemi domyślał się, rzecz jasna, o co chodzi. Odwrócił twarz, żeby ukryć zwycięski uśmiezek, i milczał. Dopiero kiedy uznał, że minął już czas, w którym ktoś z obecnych mógł zadziwić innych swoją odwagą, powiedział:

- No, kto pierwszy? Din?...

Wezwany poruszył się niespokojnie, ale odrzekł bez zwłoki:

- Bardzo chętnie.

Przełożył nogę przez skalny próg i pochylił się.

- Poczekaj! - wkroczył znowu Dutour. - Nie będziecie zjeżdżali bez asekuracji. Może tam wewnątrz jest coś w rodzaju łagodnego języka skalnego, a obok niego, choćby tylko z jednej strony, ciągnie się przepaścista szczelina. Skąd wiesz, Irku, czy nie trafisz przypadkiem na jakiś jeden jedyny tor, po którym można ześliznąć się bezpiecznie? Zrobimy inaczej. RX-dwa! - podniósł głos.

- Tu RX-dwa.

- Zajmij stanowisko dwa metry nad otworem.

- Tak.

Jeden z aparatów wznosił się z cichutkim brzęczeniem silników i zawisł nad studnią.

- A teraz wypuść linę... poczekaj - ratownik zwrócił się ponownie do Irka: - Jaka tam głębokość?

Zapytany zastanowił się. Wczoraj wydawało mu się, że ten szyb nie ma końca. No tak, ale wczoraj nie wiedział, co czeka go na dole. Czy nie roztrzaska się o skały, czy kiedykolwiek ujrzy jeszcze światło dnia...

- Nie wiem - odrzekł z wahaniem. - Myślę, że przynajmniej ze dwadzieścia metrów.

- RX-dwa - Dutour pojął, że musi mu wystarczyć to, co usłyszał. - Wypuść pięćdziesiąt metrów liny asekuracyjnej, tak żeby wśliznęła się do otworu. Założymy sobie poręczówkę - wyjaśnił słuchaczom.

Przed oczami stojących przemknął czerwony kłęb. Rozwijając się w locie, liną zniknęła wewnątrz szybu. Po chwili znieruchomiała.

- RX-dwa pozostanie tutaj - powiedział ratownik - i będzie trzymał linę, na wypadek gdyby zdarzyło się coś, co zmusiłoby was do powrotu tą samą studnią. A my z Mammą polecimy do drugiego wejścia, koło laborato-

riów. Spotkamy się wewnątrz jaskini. Bądźcie tylko bardzo ostrożni. Iniu, obejmij kierownictwo wycieczki, jesteś najstarsza. A wy macie jej słuchać, tak jak każdy prawdziwy turysta słucha w górach swojego przewodnika. Zgoda?

- Postaram się - odpowiedziała Inia.

- Dobrze, tato - dodała poważnie Maia. „Ten Dutour stanowczo grubo przesadził, nazywając swoją córkę dziką” - pomyślał Irek, któremu nagle stanęła przed oczyma scena powitania Mai i Truszka oraz jego własne zderzenie z Mammą. To prawda, że słówko: „wół” wyszczała wtedy jak diablica... ale w końcu miała prawo się zirytować. Nie, wcale nie jest dzika. Przeciwnie. Jest bardzo miła.

Podbudowany tym stwierdzeniem Irek śmiało chwycił linę i powiedział:

- Jadę pierwszy. Znam już tę dziurę. Na dole przytrzymam poręczówkę. Będzie wam

wygodniej.

- Przed chwilą ktoś mnie chciał odstąpić ten zaszczyt - zauważył Din. On także złapał oburącz linę, i zaśmiał się wyzywająco.

- Pierwszy pójdzie Irek - zawyrokował Dutour. -Potem Din i Maia. Iniu, chciałbym, żebyś zjechała jako ostatnia. Także tam, na dole, Irek, jako znający teren, niech idzie pierwszy, uważając tylko, żeby zbyt nie wyprzedzić innych. A ty, Iniu, na końcu. Nikt nie może pozostać za bardzo w tyle.

- Aaaa... w takim razie, proszę, pan będzie łaskaw. Dłonie Dina uwolniły linę i Irek mógł się teraz po niej zsunąć już bez żadnych przeszkód.

- Dziękuję, dziękuję. A pan będzie łaskaw zaraz po mnie.

Z góry dobiegł krótki śmiech Mammy oraz jakiś stłumiony okrzyk, jakby zachęty. Ale Irek sunął już w dół. W chwilę później wylądował, tak jak się spodziewał -bezpiecznie i miękko. Odszedł dwa kroki, zapalił refle

ktor, skierował jego światło w górę i szarpnął dwa razy linę. Przeszło mu przez myśl, że byłoby nieźle nadstawić niby przypadkiem nogę, nadając szpicowi próżniowego buta właściwą pozycję, lub w ciemności szybko wcisnąć Dinowi w zawór jego butli z powietrzem pigułkę na strach.

Odruchowo dotknął kieszeni na piersi. Miał na sobie ten sam skafander, co wczoraj. Poprzez gładką tkaninę wyczuł wyraźnie obecność małych kuleczek.

Zanim zdążył oburzyć się na siebie i odrzucić ze wzdrgnął wszystkie niewczesne pokusy, usłyszał cichutki świst it obok niego wylądował... Truszek. Dutour, wyznaczając kolejność zjazdu, nie wymienił automatu, ale Irek powinien był się spodziewać, że jego nieodstępny opiekun nie pozwoli mu samotnie czekać w jaskini. „Gdybym rzeczywiście nadstawił nogę... brrrr...” - wzdrygnął się na samą myśl o zetknięciu palców swojej stopy z rozpędzonym, stalowym stożkiem.

Din pojawił się chwilę potem. Od razu także zapalił reflektor i zrobił kilka kroków w głąb pierwszej podziemnej sali.

- Najpierw Irek - powstrzymał go metaliczny głos. -Przepraszam.

A więc Truszek zapamiętał „regulamin” marszu ustalony przez ratownika i postanowił dopilnować, aby był przestrzegany.

Dziwna rzecz, Din przyjął upomnienie grzecznie i ze zrozumieniem. Od razu cofnął się i zatrzymał. Może pamiętał wczorajsze wyczyny Truszka w górach i w przestrzeni, a może, jak każdy chłopiec wychowany poza Ziemią, wiedział, że automaty, kiedy wykonują swój program, po prostu muszą mieć rację.

Dwie minuty później na dnie skalnej studni świeciły już cztery reflektorki przymocowane do kasków uczestników wycieczki.

- Tutaj nie ma nic szczególnego - rzekł Irek, wchodząc do pierwszej sali. - Szkoda czasu na rozglądanie się. Zwróćcie tylko uwagę na podłogę. Prawda, jaka gładka?

- Rzeczywiście, wygląda jak posadzka w starym zamku - szepnęła Maia.

- Mój ojciec zawsze mówi, że natura tworzy ciekawsze i dziwniejsze rzeczy niż człowiek - rzekł sentencjonalnie Din.

- Tego nie zrobił człowiek - odezwał się Truszek. -Jednak na jego polecenie mogły taką pracę wykonać automaty.

Na to nikt nie znalazł odpowiedzi.

Przeszli do następnej sali.

- Jaka wysoka! - Inia skierowała reflektor w górę, oświetlając sklepienie przypominające trochę strop głównej nawy ogromnej gotyckiej katedry.

- Wysoka - zgodził się Din. - Ale biorąc pod uwagę drogę, jaką przeszliśmy do tej pory, a także to, że wyjście z jaskini jest po przeciwnej stronie gór, znajdujemy się w tej chwili pod główną granią. A to oznacza, że nad tym sklepieniem i tak jest jeszcze parę kilometrów skały.

Wszystkim zrobiło się trochę nieswojo. Niby to obojętne, czy człowiekowi spadnie na głowę tona czy tysiąc ton kamieni, tak mówi rozsądek, jednak wyobraźnia podpowiada co innego. Każdy z idących ujrzał nagle zawieszony nad sobą poszarpane masywy ganimedzkich kraterów.

- Teraz uwaga - Irek zatrzymał się. Odruchowo przesunął pasek podtrzymujący aparat fotograficzny, tak żeby w każdej chwili mógł zrobić z niego użytek. - Tutaj -wskazał ręką - jest ten boczny, stromy korytarzyk. W nim właśnie siedzi ów dysk...

Jakby na potwierdzenie jego słów - w słuchawkach zabrzmiał charakterystyczny turkot. Z bocznej, ślepej odnogi wypadło kilka niewielkich odłamków skalnych i po toczyło się na rumowisko zaścielające w tym miejscu gładkie poza tym podłoże. W ułamku sekundy Truszek wysunął się do przodu i stanął pomiędzy uczestnikami wyprawy a tajemniczym, zasypianym tunelem.

- Zgaście reflektory! - zawołała prędko Inia. - O, tak. Dobrze. Irek mówił, że to coś reaguje na światło - wyjaśniła już spokojniej. - A nie życzylibyśmy sobie przecież, żeby ten dysk, czymkolwiek on w końcu jest, wyrwał się i przyleciał powiedzieć nam "dzień dobry" lub też żeby zwałił nam na głowę szczyty, o których wspominał przed chwilą Din.

- Nie kracz - odrzekł wesoło jej brat. - Ja zawarłem bliższą znajomość z tym błyszczącym rondlem i, jak widzisz, jestem cały i zdrowy.

- Głupi ma szczęście - usłyszał w odpowiedzi. - Ale tym razem nie jesteś sam, więc to przysłowie mogłoby się okazać nieaktualne.

Din zaśmiał się serdecznie.

- W każdym razie - ciągnęła Inia, nie zwracając uwagi ani na gniewny pomruk Irka, ani na radość, jaką sprawiła jego szkolnemu koledze - my pójdziemy spokojnie i na paluszkach pod przeciwległą ścianą. I to ze zgaszonymi reflektorami. Od czasu do czasu niech tylko Irek poświeci sobie pod nogi, żebyśmy trafili do przejścia. Każde z nas położy swojemu poprzednikowi rękę na ramieniu. W ten sposób nikt nie zabłądzi.

- No, a nie chcielibyście skorzystać z okazji i zajrzeć choć z daleka do korytarzyka z tym dyskiem? - spytał Irek. - Jeśli skierujemy w jego stronę tylko jeden reflektor, to nic nam się nie stanie. Najwyżej znowu polecą parę kamyczków. On wykonuje tylko takie ruchy, jakby miał czkawkę.

- Nie - ucięła zdecydowanie Inia. - Nie kłóć się ze mną. Pamiętaj, że reprezentuję tutaj ojca Mai. Irek wzruszył ramionami.

- Wcale się nie kłócę - burknął.

- Ojciec także na pewno chciałby ten dysk zobaczyć

- wtrąciła nieśmiało córka Geo Dutoura.

- I zobaczy - odpowiedziała Inia. - Wszyscy go zobaczymy. Kiedy profesor Bodrin skończy pracę w bazie, z pewnością przyjdzie tu i przyprowadzi cały swój zespół. My moglibyśmy tylko zrobić coś, co potem utrudniłoby dokładne, naukowe zbadanie tego dziwnego przedmiotu.

- Ja będę szedł z boku - Truszek uznał dyskusję za zamkniętą. - Od strony środka sali. Najpierw obok pierwszego człowieka w kolumnie, a potem, gdy ten dojdzie do przejścia, kolejno obok następnych.

To oświadczenie istotnie położyło kres rozmowom. Bez żadnych przeszkód cała grupa dotarła do następnej sali.

Kiedy zamykająca pochód Inia wyszła z wąskiego korytarzyka, Irek ponownie zapalił reflektor.

- Proszę - powiedział tonem wytrawnego kolekcjonera demonstrującego główną ozdobę swoich zbiorów

- oto ganimiedzka galeria malarstwa! Długą chwilę trwała idealna cisza.

- Och! - zawołała wreszcie Maia. Ten pełen bezbrzeżnego zachwytu okrzyk wyzwolił istną lawinę głosów.

- Jakie żywe barwy! Jakby jeszcze farba nie wyschła!

- Czy nie wydaje się wam, że te bryły krążą jak żywe?

- A co, nie mówiłem?!

- Kto to namalował?

- Cała ściana!

- Eee, kwiaty są znacznie ładniejsze! Po tym ostatnim zdaniu ponownie nastąpiła cisza. Tym razem jednak wędrowcy, którzy przybyli przez skalną studnię, stracili mowę nie z podziwu, lecz ze zdziwienia. Bo o tych kwiatkach powiedział ktoś z całą pewnością nie należący do ich grona... Pierwszy zorientował się, oczywiście, Truszek.

- Dzień dobry - rzekł spokojnie. - Uprzejmie informuję, że po drodze nie natrafiliśmy na

żadne przeszkody ani niebezpieczeństwa.

- Przynajmniej aż do tej pory! - zaśmiał się Geo Dutour, zapalając reflektor, który oświetlił stojącą przed nim potężną postać w skafandrze. - A mówiłem Mammie, że nie powinna straszyć miłośników sztuki... do tego w podziemiach. Raz, że to nieładnie, a poza tym - ryzykowałam życiem. Gdyby na przykład/co łatwo mogło się zdarzyć, Truszek wziął ją za groźnego smoka...

- Nie - przerwał wbrew swojemu zwyczajowi automat - to nie mogłoby się zdarzyć.

- Mammo! - zawołała z wyrzutem Maia, która teraz dopiero zdołała ochłonąć z wrażenia. - Nie wiedzieliśmy, że tu jesteś! Tak nagle się odezwałaś... Ale powiedz, czy to nie c u d o w n e?!

- Cudowne! - potwierdził z zapalem Din. Mamma zaśmiała się.

- Tworzycie idealną parę, moi drodzy - powiedziała. - Nawet artystyczne upodobania macie takie same. No i oboje lubicie Ganimeda, choć jeszcze tak mało na nim ogrodów!

- Na Ganimedzie pracuje tato - szepnęła Maia.

- Mój także. Wszystkie wakacje spędzam tutaj... i na przykład na Ziemi czuję się zawsze jak... - Din szukał przez chwilę odpowiedniego porównania - jak na wycieczce - znalazł w końcu. - Myślę, że każdy najbardziej lubi ten glob, który uważa za swój.

- Tak, tak - potwierdziła gorąco dziewczyna. Irek, sztywno wyprostowany, odszedł od „dobrej pary”. Czuł się tak, jakby dostał od razu dwie pigułki: na smutek i zazdrość. Chociaż uczucie, które nim owładnęło, było jeszcze inne... Nieokreślone i skomplikowane. W każdym razie z pewnością nie potrafiłby go sztucznie wzbudzić żaden ze szczęśników grasujących na planetach Układu Słonecznego.

- Przylecieliśmy już dawno - przeszła do wyjaśnień Mamma. Czekaliśmy na was i czekaliśmy, już zaczynałam się niepokoić. Wtedy usłyszałam wasze głosy. Postanowiłam was ukarać za to, że guzdraliście się tak długo. Zgasiliśmy reflektory i schowaliśmy się. Wprawdzie Geo nie chciał, ale, dziwna rzecz, jakoś zawsze udaje mi się przekonać każdego, kto początkowo nie ma ochoty zrobić tego, co mu proponuję - wtrąciła z pewnym zdziwieniem, jakby zaskoczona własnym odkryciem. - No, a potem - ciągnęła już normalnym tonem - ani nie krzyknęłam: „bum!”, ani nawet nie walnęłam nikogo głową w plecy, jak to mają w zwyczaju niektórzy młodzi ludzie, więc chyba tak bardzo znowu was nie przestraszyłam?

- Ja się nie przestraszyłem - zaznaczył z obrzydliwym uśmiechem Din.

Irek zrobił jeszcze parę kroków w stronę ściany pokrytej tajemniczymi rysunkami i zaczął im się przyglądać z taką uwagą, jakby ujrzał je właśnie po raz pierwszy.

Po chwili zamknął jednak na moment oczy i trzymał je zamknięte, dopóki chociaż trochę nie uciszył wzbierającej w nim burzy. Wtedy dopiero ponownie uniósł powieki. I nagle zapatrzył się na prawdę. Wówczas, gdy trafił tutaj ścigając zbiegów z „Pięciu Księżyców”, odczuwał jeszcze skutki kontuzji odniesionej przy spotkaniu z niebezpiecznym dyskiem. Prawda, że już wtedy zachwyciła go niesamowita gra tych figur i brył, jakby wnikających swymi delikatnie zaznaczonymi konturami daleko w głąb skały. Dopiero jednak teraz dostrzegł w pełni ich urzekające, harmonijne piękno.

W jego myśli odezwały się znowu pytania, które zadał sobie spoglądając po raz pierwszy na te obrazy. Pytania bez odpowiedzi. K t o był tutaj, w tej jaskini, kto porzucił w bocznym korytarzyku lśniący dysk, kto i po co stworzył tę czarodziejską galerię?

Wyobraźnia Irka podsunęła mu wizję jakiejś istoty o nieokreślonych kształtach, istoty obcej i niezwyklej, a

jednocześnie znającej ziemską geometrię tak doskonale, że nie tylko przedstawiła wszystkie możliwe bryły w ich przestrzennych rzutach, lecz także odkryła tajemnicę ich symetrii i potrafiła podkreślić ją soczystymi, delikatnymi barwami. Te barwy również były niesamowite. Nie tylko dlatego, że wyglądały tak świeżo. Nie. Ten stożek na przykład mógł być tylko purpurowy, tamten gra-niastostup tylko granatowy, a sześcian nad nim tylko żółty, choć takiego odcienia żółci chyba żaden z ludzi nie widział nigdy w życiu. Po prostu wszystkie barwy, jakich użył nieznanymi malarz, w sposób niezwykle naturalny i słuszny uzupełniały przestrzenną wizję, którą chciał przekazać widzom.

Kim mógł być ten malarz? Skąd przybył? Dlaczego akurat na pustego i pozbawionego powietrza Ganimeda, a nie na Ziemię czy choćby na Marsa?

A poza tym... Poza tym Maia miała rację. Te obrazy są cudowne...

Jak się okazało, nie on jeden doszedł akurat w tej chwili do takiego wniosku.

- Wiecie co? - dobiegł go przyciszony głos Mammy. - Ja tak sobie tylko powiedziałam o kwiatach. To jest rzeczywiście ładne. Teraz „Pięć Księżyców” będzie pękać od gości. Uчени zbadają wszystko jak należy, a potem otworzymy jaskinię dla zwiedzających. Nie potrzeba nam żadnych dysków, niech je sobie Bodrin co prędzej stąd zabiera... byle dalej. Wystarczą te piękne skibryty.

- Co? - zdziwił się Dutour.

- Jak? - spytał z nie ukrywanym niesmakiem Din. - Skibryty? - powtórzyła Maia. - Dlaczego skibryty?..

- Dlaczego?! - obruszyła się Mamma. - Jak to?! Przecież rysunki są wyrzeźbione w skale. Co, może nie?! A odkrył je Skiba. Więc chyba wszystko jasne. Geo! - rzuciła rozkazującym tonem. - Jak się nazywają te malowidła?

- Skibryty - odparł posłusznie ratownik.

- No, widzicie! - Mamma sapnęła z ulgą. - Że też nie możecie od razu pojąć najprostszych rzeczy.

Irek miał ochotę podbiec do potężnej niewiasty i uściskać ją serdecznie. Proszę! Po raz pierwszy przyjechał na Ganimeda, a już został słynnym odkrywcą! „Aaa, to ten Skiba, który odkrył skibryty!” - będą mówić ludzie na jego widok. Wystąpi w trivi i w reportażach filmowych...

Zamiar uściskania Mammy był jednak niewykonalny. Po pierwsze, należało wątpić, czy po wczorajszym doświadczeniu opiekunka ganimedzkich kwiatów pozwoliłaby mu zbliżyć się do siebie na niezbędną odległość, po drugie, wymiana uścisków pomiędzy osobami tkwiącymi w próżniowych skafandrach jest zawsze przedsięwzięciem z góry skazanym na niepowodzenie. Zresztą duma przepelniająca pierś odkrywcy zaraz w następnej chwili ulotniła się jak powietrze z przekłutego balonika.

- Skibryty... Tak, to dobrze brzmi - rzekła półgłosem Maia, po czym spytała z ożywieniem: - Czy mogę dotknąć tej skały? Nie bójcie się, nie uszkodzę farby.

- Nie chodzi o farbę - wkroczył szybko jej ojciec -ale wolałbym, żeby przed zbadaniem jaskini przez specjalistów n i k.f tutaj niczego nie dotykał.

- Och, to zupełnie bezpieczne! - zawołał lekceważąco Irek. - Ja już jeździłem po tych liniach palcami... i nic!

- Są wśród nas osoby bardziej i mniej wrażliwe - zauważył chłodno Din. - Nie wiem, jak kto, ja jednak nie chciałbym, żeby Maia musiała potem płakać pod jakimś laboratorium.

- Uabmmm... - powiedział bez zastanowienia odkrywca skibrytów.

- Cóż to było? - zdumiała się Mamma. Przez dłuższą chwilę panowała zupełna cisza.

- Nic - westchnął w końcu Irek. - Zamierzałem coś odpowiedzieć Dinowi, przypomniałem sobie jednak, że

są tutaj także osoby bardziej wrażliwe, i nie odpowiedziałem.

Wyjaśnienie zagadki dziwnego odgłosu, jaki wyrwał się wczorajszemu bohaterowi, przyjęto w milczeniu. Tylko Din zaśmiał się nieprzyjemnie.

- No, dobrze - mruknął Dutour. - Chyba będziemy już wracać, prawda?

- A zdjęcia? - przypomniała Maia. - Irku, twój aparat!

- Rzeczywiście na śmierć zapomniałem! Irek skwapliwie skorzystał z okazji, aby odwrócić uwagę obecnych od niedawnego zajścia. Odszedł od ściany, żeby objąć obiektywem wszystkie rysunki, i nacisnął migawkę. Zrobił całą serię zdjęć, oślepiając przy tym wszystkich ostrym światłem lampy błyskowej, po czym zbliżył się na powrót do ściany i zaczął fotografować poszczególne fragmenty malowideł.

- A ty dokąd? - usłyszał w pewnym momencie głos Geo Dutoura.

- Nic, nic - zamruczała uspokajająco Mamma. -Chcę zajrzeć do drugiej sali. Przecież oni tamtędy przechodzili i nic im się nie stało. A tam jest ten dysk.

Irek odwrócił się. Ratownik, chcąc nie chcąc, podążył za Mammą. Oboje minęli właśnie korytarzyk łączący „galerię sztuki” z „salą dysku” i rozplynęli się w ciemności. W ślad za nimi ruszyła i Maia.

- Poczekaj - mruknął Din. - Pójdę pierwszy. Ale Irek był szybszy. A najszybszy był,

naturalnie, Truszek. Tak więc Din musiał jednak przepuścić całą trójkę.

- Gdzie t o jest? - wyszeptala Mamma tak cicho, jakby się bała zbudzić kogoś śpiącego.

- W bocznym korytarzyku. O, tutaj - Irek podszedł do niej i wyciągnął rękę, wskazując kierunek. - Możemy zapalić jeden reflektor - dodał, wprowadzając od razu swój pomysł w czyn.

Snop światła prześliznął się po czarnym wylocie ślepego tunelu i zamigotał na powierzchni tkwiącego w nim tajemniczego dysku najczystszy srebrem.

- On tam jest - wykrztusiła Maia.

- Poruszył się! - rzekł nerwowo jej ojciec. - Najwyraźniej drgnął, kiedy padło na niego światło. Chodźcie stąd, proszę was. No, już, już.

Tym razem Mamma nie oponowała. Posłusznie wróciła do przejścia i stanęła, czekając na Maię, Dina i Irka. Ten ostatni jednak pomyślał, że nadarza mu się być może ostatnia okazja sfotografowania zagadkowego dysku w takim położeniu, w jakim został odkryty. Potem przyjdą tu uczeni, ustawią swoje skomplikowane automaty i, jak to uczeni, nie pozwolą nikomu się zbliżyć, zanim nie ukończą wszystkich badań oraz pomiarów. Bez zastanowienia wycelował obiektyw w wylot bocznego korytarza i zwolnił migawkę. Ciemność, panującą w sali, przeszło oślepiające światło lampy błyskowej.

- Co ro... - zaczął Dutour, lecz nie zdążył dokończyć zdania.

Rozległ się grzmot, początkowo stłumiony, głęboki, jakby we wnętrzu góry zamruczał zbudzony ze snu olbrzym. Ale ten pomruk narastał w przerażającym tempie. W dudnienie grzmotu wmiszało się głucho stękanie pękających bloków skalnych i łoskot kamiennej lawiny.

- Maia!!!

Irek usłyszał jeszcze ten rozpaczliwy okrzyk, po czym ujrzał wyłaniającą się z ciemności i sunącą wprost na niego czarną masę. Coś pchnęło go w pierś, odleciał do tyłu, uderzył kogoś plecami i razem z tym kimś potoczył się pod przeciwległą ścianę jaskini, daleko od miejsca, gdzie tak niebacznie sięgnął po aparat, zapominając, że lampa błyskowa daje więcej światła niż wszystkie reflektory i że robiąc zdjęcie może w końcu jednak wywabić ze skalnej kryjówki ów niebezpieczny dysk.

Raz jeszcze oślepił go błysk, tak silny, że przeniknął kurzawę wznieconą przez lawinę kamieni. Ów jaskrawy

ogień mignął i zgasł, a wraz z nim ucichł także ten dziwny, świdrujący odgłos. W następnym ułamku sekundy coś huknęło tuż nad jego głową, poczuł jeszcze jedno uderzenie i upadł bezwładnie na wznak, wyciągając w górę ramiona, jakby w ten sposób spodziewał się zatrzymać owe tysiące ton skały, o których niedawno mówił Din, a które teraz waliły mu się na głowę. Ostatnim wysiłkiem przewrócił się na bok, by uchronić przed ciosem o słonę kasku, i wtedy spostrzegł, że tuż obok niego leży Maia. Ich twarze znalazły się bardzo blisko, tak blisko, że pomimo ciemności wyraźnie widział zamknięte oczy dziewczyny. „Maia” - pomyślał z rozpaczą. Była to jego ostatnia myśl. Jakiś ciężar przygniół mu nogi i piersi, po czym zrobiło się zupełnie czarno.

## **Truszkę, co robisz na niebie?**

Dina porwał wicher, który wypadł z głębi jaskini, i przeniósł go jak piórko przez skalny korytarzyk z powrotem do sali skibrytów. Nie wiedział, że krzyczy, bo nie słyszał własnego głosu. Rozpaczliwie wymachując wokół siebie ramionami, szukał jakiegoś uchwytu lub oparcia, by zatrzymać się, zawrócić i pośpieszyć z pomocą Mai. Prąd powietrza rwał jednak jak rozszalała rzeka, która przerwała tamę. Kiedy w pewnej chwili udało mu się zapalić reflektor, ujrzał, że za falą wichury podąża druga - fala skalnej lawiny sunąca całą szerokością podziemia. Wtedy poczuł, że ktoś chwyta go za rękę i z całych sił ciągnie w kierunku wyjścia.

- Nie! Nie!!! - rzucił się nieprzytomnie do tyłu. -Maia! Maia!

To jedno słowo, jedno imię kołatało mu w głowie, głuszając wszystkie myśli, tak jak huk lawiny i wichru głużył wołanie, jego i tego kogoś, kto usiłował go powstrzymać.

Raptem z czoła lawiny wytrysnął ogień. Jaskrawa, płomienista smuga, za którą w przyćmionym świetle reflektora błysnęło coś srebrnego jak wielka ryba, na moment ukazująca

się w słońcu nad lustrem wody. W tej samej chwili ktoś ponownie uwięził w uścisku jego rękę.

- Puść!!! - wrzasnął chłopiec.

Jednak tym razem nie udało mu się wyrwać. Chmura, która go otaczała, znikła na ułamek sekundy i wtedy ujrzał tuż przed sobą światło. Był to reflektor tego właśnie człowieka, który ciągnął go przez ostatnią już podziemną salę w stronę wylotu jaskini nad samotnymi

laboratoria

mi. Dostrzegł też, że obok nich biegnie jeszcze jedna postać w skafandrze. Ale to na pewno nie była Maia.

- Puść!!! - powtórzył.

Jakimś cudem jego słuchawki wyłuskały ten okrzyk z huku goniącej ich lawiny i przstraszyły się brzmienia własnego głosu.

Niebawem jednak uciszyło się trochę. Usłyszał odpowiedź.

- Din! - Dutour dyszał ciężko. - Din!... Maia jest moją córką! Zrozum, teraz nie możemy jej pomóc. Wyjdziemy i zorganizujemy ratunek. Nie opieraj się!

Din przestał się opierać. A niespełna minutę później z najwyższym trudem zahamował na półeczce skalnej, już pod otwartym niebem. Zaraz po nim opuściła podziemia Mamma, a za nią ukazali się Inia i Dutour.

- Dalej, dalej! - wołał ratownik. - Nie stójcie! Nie wiadomo, czy lawina nie runie w dół, po zboczu! Tędy, o! - pokazywał ścieżkę zbiegającą zakosami do podnóża gór i dopiero na płaskim terenie zwracającą w stronę białych kopuł bliźniaczych pracowni.

Była to ta sama ścieżka, którą wczoraj wzgardził Irek, co pociągnęło za sobą brzemienne w skutki wizyty, najpierw u jednego, a potem u drugiego szczęśnika.

Ocalona z katastrofy czwórka skwapliwie skorzystała z bezpieczniejszej drogi. Byli w połowie ścieżki, kiedy za sobą usłyszeli ogłuszający grzmot. Obejrzeni się. Z jaskini buchnął pióropusz dymu. Następnie z otworu zaczęły wylatywać głązy, jakby wystrzeliwane z ogromną siłą.

- Chodźcie kawałek dalej - powiedział Dutour. - Schowamy się tam - wskazał miejsce, gdzie ścieżka omijała skalną grzędę, biegnąc przez kilka metrów pod wysokim masywnym okapem, nad którym sterczała prostopadła ściana.

Usłuchali bez słowa.

- Czy tym dwom tam, na dole, nic się nie stanie? - spytała Mamma, kiedy zatrzymali się już pod bezpiecznym, kamiennym "dachem".

- Nie - odrzekł ratownik. - Może ich zasypać, ale to nic groźnego. Na otwartej przestrzeni odkopimy ich w piętnaście minut. Lawina nie powinna przebić strefy ochronnej, a gdyby nawet, to kopuły laboratoriów wytrzymają z pewnością. Natomiast... - urwał.

Mamma, Inia i Din wiedzieli, co chciał powiedzieć. Szczęśnikom nie grozi niebezpieczeństwo. Ale Maia i Irek...

Głązy i kamienie, wyrzucane z jaskini, nadal toczyły się po zboczu niszczącą grmiącą rzeką. Nagle stało się coś niewiarygodnego. Czarna chmura w ułamku sekundy rozprzestrzeniła się, przesłaniając widnokrąg, a cały wielki szczyt nad otworem groty jakby ożył. Uniósł się, przez moment trwał w powietrzu niby startująca rakietą, aż wreszcie, opisawszy na niebie szeroki łuk, z potwornym grzmotem runął w dolinę.

Cztery maleńkie figurki skulone pod nawisem skalnym trwały bez ruchu, jak sparaliżowane. Widowisko zapało dech w piersiach nawet doświadczonemu ratownikowi.

Ale stopniowo burza cichła. Widać zawałenie się góry stanowiło ostatni akt tragedii. Ogłuszający łoskot przechodził powoli w niski, gasnący pomruk, chmura kurzawy zaczęła opadać. Ukazało się brudnofioletowe niebo, błysnęła jedna, druga gwiazda...

Dutour uniósł bezwiednie rękę, jakby chciał otrzeć sobie pot z czoła. Kiedy jego palce trafiły na osłonę kasku, znieruchomiał na moment. Zaraz potem ze świstem wciągnął do płuc powietrze i wyprostował się.

- Wzywam RX-jeden, trzy, cztery! Zarządzam alarm! Uwaga, dyspozytornia „Pięciu Księżyców”! Uwaga, baza! Jeśli mnie słyszycie, natychmiast przybywajcie z pomocą. Zmobilizujcie cały sprzęt. Nastąpiło obsunięcie się góry. Jaskinia jest zasypana. Fiora Mammavita, Inia Skiba, Din Robinson i ja, Dutour, zdołaliśmy uciec. W zasypanej jaskini pozostali Irek Skiba i moja córka, Maia... Uwaga, dyspozytornia! Uwaga, baza!

Ogłaszam alarm...

- Irek...

Szept, który odezwał się w słuchawkach chłopca, brzmiał tak smutnie, że mógł pochodzić jedynie z przykrego snu.

- Irku...

W snach widzi się dziwne rzeczy i słyszy niezwykle głosy. Ten, który go woła, należy na przykład do Mai. Mai tu nie ma. Gdyby była, on nie mógłby spać. A śpi. Jest ciemna noc...

Zaraz... chwileczkę. Skąd właściwie wie, że jest ciemno, a nie jasno? Jeżeli śpi?...

- Irku, żyjesz?...

Westchnął. Westchnął i w tym samym momencie uświadomił sobie, że jego oczy są szeroko otwarte. A więc ten smutny szept nie miał nic wspólnego z żadnym snem!

Maia! - chciał krzyknąć, wydał jednak tylko przeraźliwie zduszony głos, który zabrzmiał jak zgrzyt noża po szkłe. I właśnie ten dźwięk sprawił, że przypomniał sobie wszystko. Byli w jaskini, patrzyli w stronę korytarzyka, gdzie tkwił ów dysk, potem zrobił zdjęcie i...

- Maia! - wykrztusił. - Maia! Próbował się zerwać, ale nie zdołał. Nogi miał uwięzione i bezwładne.

Nagle dostrzegł światło. Błady promyk przemknął po leżących dokoła głazach i zatrzymał się na jego twarzy.

- Mogę się ruszać - powiedziała cicho Maia. - Chyba nic mi się nie stało. A tobie? Czy... - w tym momencie głos wypłatał dziewczynie psikus. Wzniósł się powyżej -wszystkich tonów gamy i umilkł.

- Czuję się bardzo dobrze - zapewnił natychmiast Irek. Coś, co tkwiło mu w gardle i przeszkadzało

mówić, nagle ustąpiło. - Tylko nie mogę wstać. Moje nogi...

Światło uciekło z jego twarzy. Chwilę później usłyszał chrzęst odgarnianych kamieni, a następnie głośnie westchnienie ulgi.

- Uff - sapnęła Maia.

Równocześnie chłopiec poczuł, że ciężar, który dotychczas przygniatał mu nogi, nagle zniknął. Głęboko wciągnął do płuc powietrze, po czym usiadł. Sięgnął do reflektora, ale znalazł tylko szczątki jego połamanej obsadki.

- Do licha! mruknął.

- Co się stało?

- Nic takiego - uspokoił pośpiesznie dziewczynę. -Rozbiło mi reflektor. Nie ma go...

- Nie szkodzi. Mój ocalał. Widzisz? - strumień światła ponownie przemknął mu przez twarz i pobiegł dalej, w stronę jego nóg.

Irek skorzystał z okazji, żeby przyjrzeć im się uważnie, Wyglądały nie najgorzej. Wokół nich leżały przyzmy kamieni odgarniętych przez Maię. Miał szczęście. Gdyby tak dostał się pod jakiś blok skalny lub choćby jeden większy głaz...

Napiął mięśnie i wstał. Postać chwilę, chwiejąc się, a następnie usiadł z powrotem, dość gwałtownie i nader boleśnie.

- Do licha! - syknął znowu.

- Jesteś osłabiony - stwierdziła rzeczowo Maia, która usiłowała go podtrzymać, ale bez powodzenia. - Nic dziwnego. Musieliśmy tu leżeć dość długo, nie wiedząc, co dzieje się na świecie.

- Nie dzieje się nic dobrego - odrzekł równie rzeczowo Irek.

Wstał znowu i po krótkiej walce z własnymi kolanami, w których ktoś wymienił mu uczciwie ścięgnię na słauiut-kie gumki, zdołał wreszcie utrzymać się w pozycji pionowej. Odsunął się o krok od rumowiska. Był to mały, malutki krok i jego plecy już oparły się o skałę.

- Popatrz - usłyszał obok siebie głos Mai - tylko przy samej ścianie pozostało trochę miejsca. Bo poza tym całą salę zasypało.

Irek obejrzał się. Dziewczyna zauważyła jego ruch i skierowała światło swojego reflektora w stronę, w którą spoglądał. To samo zrobiła w parę sekund później, kiedy chłopiec, obejrawszy już gładką skałę tworzącą skośny dach nad ich głowami, wpatrzył się w czarny,



trójkątny korytarzyk biegnący wzdłuż ściany jaskini. Korytarzyk ten przypominał trochę pochylnię w bardzo starej kopalni, zamkniętej od lat, ponieważ w każdej chwili groziła zawaleniem. Jednak była to jedyna droga...

Chłopiec odruchowo sprawdził czujniki wewnątrz swojego kasku.

Stwierdziwszy, że butle z powietrzem i cała aparatura skafandra, poza reflektorem, są w idealnym porządku, rzekł:

- Nie martw się, Maiu. Spróbujemy pójść tędy, pod ścianą. Może uda nam się wydostać. A jeśli nie, to przecież nie zostawia nas tutaj na pastwę losu. Twój ojciec na pewno coś wymyśli, a mój zrobi jeszcze jednego Truszka...

W tym momencie pomyślał, że jego pocziwy stożkowaty opiekun spoczywa być może gdzieś niedaleko, przywalony tonami skały, i umilkł. A w następnej chwili zrozumiał, że jeśli chodziło mu o podtrzymanie dziewczyny na duchu, powiedział akurat i dokładnie to, czego nie należało mówić. Maia, ciągle jeszcze wstrząśnięta i przerażona, teraz dopiero przypomniała sobie, że przecież podczas katastrofy nie byli w jaskini sami...

- Mój ojciec! - wykrzyknęła z rozpaczą. - Ojciec! Mamma! Din! Twoja siostra! Irku!...

Chłopiec zacisnął pięści. Miał ochotę rozpędzić się i z całej siły wyrzucić głowę w skałę.

Ponieważ jednak nie

sposób nabrać rozpędu na płacyku o powierzchni dwóch metrów kwadratowych, odchrząknął tylko i nienaturalnie spokojnie rzekł:

- Oni stali bardzo blisko wyjścia. Pamiętasz wiatr, jaki się zerwał, kiedy ruszyła lawina?

Nawet gdyby sami nie chcieli uciekać, ten podmuch odrzuciłby ich w bezpieczne miejsce. Nie bój się. Są już na zewnątrz i martwią się o nas.

- Ale ojciec i Din! Oni na pewno zostali, żeby mnie... to znaczy, żeby nas ratować!

Irek znowu musiał odczekać jakiś czas, zanim mógł się odezwać. Tym razem jednak przyczyną takiego stanu rzeczy nie była jego własna lekkomyślność. Miał prawo się zirytować. Co, u licha?! Din i Din!

- Pamiętaj - wycedził wreszcie przez zęby - że musieli ratować Mammę i Inię. Wyprowadzić je na zewnątrz. A wrócić już nie zdążyli, bo jaskinia była zasypana. Teraz .myślmy tylko o tym, jak się stąd wydostać - dodał już zwykłym tonem. - Jeśli nam się to uda, pomożemy także im. Przecież kiedy złączą nas odkopywać, i na nich mogą osunąć się skały. Powinniśmy wyjść przed rozpoczęciem akcji ratowniczej.

Jego pozorny spokój i logiczne argumenty odniosły w końcu skutek. Maia przestała myśleć o Dinie. A przynajmniej przestała o nim mówić.

- Tak! tak! - szepnęła gorączkowo. - Musimy wyjść. Tylko wiesz - wtrąciła mimochodem - ja mam uszkodzoną jedną butlę z powietrzem.

Irek zdrętwiał. Sam sprawdził, czy jego skafander jest cały, nie zatroszczył się jednak o swoją towarzyszkę. Pięknie, nie ma co!

- Pokaż!...

Po omacku zaczął badać aparaturę próżniowego skafandra dziewczyny. Jest! Przewód zasilający prawą butlę był rozpruty jak nożem, pewnie ostrym odpryskiem skały. Główny zawór automatycznie zamknął uszkodzoną butlę, a otworzył dopływ powietrza z drugiej. Ale na jak długo wystarczy zapas zmagazynowany w jednym pojemniku?

- Moje czujniki świecą normalnie - dziewczyna odwróciła się ponownie twarzą do Irka. - Tylko jedna mała lampeczka miga czerwienią. To nawet ładnie wygląda...

„Ładnie wygląda” - powtórzył w duchu z ironią chłopiec. Pewno, że ładnie. Jeszcze ładniej będzie wyglądało za parę godzin, kiedy złączą migać wszystkie czujniki... coraz słabiej, słabiej... aż wreszcie zgasną.

- Ta butla to głupstwo - powiedział na głos. - Moje są całe. Zawór ma specjalne urządzenie, dzięki któremu można przetoczyć powietrze z jednego zespołu pojemników do drugiego. Podzielimy się moimi zapasami... Ale trzeba poczekać, aż ciśnienie w twojej, nie uszkodzonej butli, jeszcze trochę opadnie. Musisz głęboko oddychać... Żeby szybko zużyć jak najwięcej powietrza. Najlepiej rób tak: aaa - huu, aaa - huu...

- Nie żartuj - zaprotestowała słabo Maia. Znowu skierowała światło reflektora w głąb

ciasnego korytarzyka, ciągnącego się pod ścianą,

- Chyba można przejść... - powiedziała niepewnie.

- Można i trzeba - dla podkreślenia pewności, z jaką . wymówił te słowa, chłopiec od razu ruszył w kierunku wskazanym przez światło.

Ostrożnie, żeby nie uszkodzić bezcennych zasobników na plecach, wsunął się do trójkątnej szczeliny. Reflektor natychmiast wymacał dalszą drogę. Maia szła tuż za nim i świeciła przed siebie. Korytarzyk przypominał pałac strachów w wesołym miasteczku. Wprawdzie nie było tu wyskakujących znienacka kościotrupów, potworów, piratów i smoków, ale na przykład rolę tych ostatnich z powodzeniem odgrywały zębate zwały głazów czekających tylko na najbliższe muśnięcie, by runąć i pogrzebać śmiałków, którzy odważyli się naruszyć spokój i majestat cmentarzyska ganimedzkich podziemi. A przy tym droga ta wiodła nie w stronę wejścia do „galerii”, tylko właśnie w przeciwną. Na to jednak nie było rady.

- Nie ma rady - rzekł cicho Irek, jakby się bał, że każde głośniejsze wypowiedziane słowo góry potraktują jako wyzwanie. - Idziemy dalej.

Dalej szczelina stała się nawet nieco szersza. Przebyli już kilkanaście metrów i w Irka zaczęła powoli wstępować nadzieja, że być może uda im się w końcu dotrzeć do przejścia po przeciwnej stronie „sali dysku” i że to przejście nie będzie zasypane. Wówczas już bez trudu wróciliby do studni, a nad jej wylotem czeka przecież RX-dwa z liną asekuracyjną.

Niestety. Parę sekund później biała plama światła rozplynęła się na skośnej, skalnej płycie zamykającej korytarzyk. Stanęli.

- Czy to koniec sali? - spytała dziewczyna. Widać myślała przed chwilą o tym samym, co Irek.

Chłopiec pokręcił głową. Nie. W momencie katastrofy znajdowali się przecież blisko wejścia do sali ze skibyra-mi. Przeszli najwyżej dwadzieścia metrów, a „sala dysku” miała co najmniej sto. A więc nie osiągnęli jeszcze nawet połowy jej długości.

Podszedł bliżej do głazu zagradzającego drogę i odkrył szczelinę, za którą czerniła się pusta przestrzeń. Był to nowy korytarzyk, odbiegający pod kątem prostym od tego, którym posuwali się do tej pory.

- Poświeć - powiedział wpełzając pod niską krawędź płyty. - Pójdziemy tędy... - wystękał.

Za skalną zaporą przejście było jeszcze węższe, jeszcze bliżej piętrzyły się zwały głazów. Ale najważniejsze, że w ogóle istniało jakieś przejście.

Niebawem korytarzyk stał się tak niski i stromy, że dalej mogli iść wyłącznie na czworakach. Słyszeli tylko własne oddechy, coraz krótsze, coraz bardziej świszczące.

Znowu zmienili kierunek, bo zmieniła go także skała, która zatrzymała lawinę, pozostawiając u swego podnóża pas wolnej przestrzeni.

Chwilę później poczuli jednak, że nie mają już pod sobą twardego podłoża, tylko ruchome, osuwające się pod ich ciężarem kamienie.

Irek zatrzymał się.

- Poświeć - poprosił znowu.

Maia podczołgała się bliżej i skierowała światło reflektora tam, gdzie powinna być dalsza droga. Ale drogi nie było.

- Nikt nie odpowiada - powtórzył z rozpaczą Geo Dutour. - Nie słyszą nas... Halo! RX-jeden, RX-trzy, RX-cztery! Halo, dyspozytornia! Halo, baza!!!

Cisza.

- Popatrzcie na rakiety - odezwała się nagle Inia. - Tam chyba ktoś jest...

Wszyscy spojrzeli na równinę, gdzie stał statek, którego załogę także długo i bezskutecznie wywoływano, zanim została ona cudownym sposobem wyrwana przez Truszkę z uścisku tajemniczej planetoidy. Wzniesiona przez lawinę chmura pyłu opadła już poniżej zadartego dzioba rakiety. Właśnie w tym momencie coś tam błysnęło. Ani chybi platforma windy.

- Rzeczywiście. Ktoś tam jest - stwierdziła Mamma, po czym zwracając się do Dutoura, spytała na pozór zupełnie od rzeczy: - Masz lustro? Nie masz - odpowiedziała sama sobie, zgodnie ze swoim zwyczajem. - Wobec tego ja się odwrócę, a ty sprawdź, czy mam anteny. Bo u ciebie nie zostało po nich nawet śladu...

Geo Dutour natychmiast uważnie zlustrował tył kasku Mammy, a następnie Ini i Dina.

Okazało się, że nikt z całej czwórki nie miał tych malutkich sprężystych pętelek umocowanych tuż nad zasobnikami z powietrzem, tak wiotkich i cienkich, że niemal niedostrzegalnych.

- A to pech! - wykrzyknął Din. - Ale żeby wszystkim nam równocześnie ta lawina porwała akurat anteny!

- Byliśmy odwróceny tyłem, kiedy uderzyła wichura, a anteny są zrobione z cienkich drucików i nie mają takiego pancerza, jak na przykład butle z powietrzem - tłumaczył Dutour. - Teraz przynajmniej wiemy, czemu nie odpowiadają ani moje automaty, ani baza i „Pięć Księżyców” - pokiwał melancholijnie głową.

- Wobec tego, jak to się dzieje, że my nawzajem się słyszemy? - spytała Inia.

- Bo cały czas stoimy lub idziemy tuż obok siebie. Ale już ten ktoś w rakiecie na pewno nas nie usłyszy. Musimy tam zejść. Chodźcie!

Odwrócił się i ruszył dalej tą samą ścieżką, która przyprowadziła ich pod nawis skalny, skąd obserwowali runięcie góry.

Przez chwilę szli w milczeniu. W pewnym momencie Mamma odchrząknęła i powiedziała cicho, jakby do siebie:

- Co to właściwie mogło być?

- Co to mogło być? - powtórzył Dutour wzruszając ramionami. - Po prostu Irek błysnął lampą, robiąc zdjęcie, a wtedy ten dysk wyrwał się ze swojego korytarzyka. Po drodze naruszył równowagę skał. Rzeczywiście reagował na światło... ale co do mnie, wołałbym się o tym, przekonać w mniej dosadny sposób.

- Nie o tym myślałam - mruknęła Mamma. - Kiedy uciekaliśmy przed lawiną, jeszcze wewnątrz jaskini, w pewnej chwili coś przeleciało koło mnie... jakby wypadło z tyłu. Mignął mi jakiś płomień...

- Ja też widziałem! - zawołał Din. - Tylko mnie wydawało się, że to były dwa przedmioty, nie jeden.

- Owszem, ja także zauważyłam, że coś błysnęło - rzekła z namysłem Inia. - Ale to mogło być złudzenie.

- To nie było złudzenie. Ja też widziałem - Dutour przystanął na moment. Jego wzrok padł na Dina. - A ty skąd to masz? - spytał zdumiony.

- Co mam? - nie zrozumiał Din.

- Aparat. Aparat Irka. Skąd go wzięłeś?

- Aparat? - chłopiec spojrzął na swoje dłonie zaciśnięte na małym pudełeczku z miniaturowym obiektywem i jeszcze mniejszym guziczkiem lampy błyskowej, zdolnej, jak się okazało, rozsadać góry. - W ogóle nie wiedziałem, że go mam... - przyjrzał się nieufnie feralnemu przedmiotowi, jakby podejrzewał, że ten znalazł się w je-go dłoniach za sprawą kosmicznych czarnoksiężników, grasujących po Ganimedzie w wypolerowanych dyskach. i że zaraz rozplynie się w powietrzu, pozostawiając woń spalonej siarki.

- Pewnie chwyciłeś odruchowo, kiedy wypadł Irkowi - próbowała rozwiązać zagadkę Inia.

- W końcu mniejsza o to, skąd go masz. - Dutour podjął przerwany marsz. - Na wszelki wypadek dobrze go tylko schowaj. Jeśli coś wyjdzie z tych zdjęć, które robił Irek, to będziemy mieli przynajmniej dokumentację fotograficzną ściennych malowideł...

- Skibrytów - wtrąciła z naciskiem Mamma.

- ... skibrytów - powtórzył potulnie Dutour. - Skibrytów i dysku. To drugie może się okazać ważniejsze, przynajmniej dla profesora Bodrina i pracowników bazy. Ale nie wyłącznie dla nich...

Din schował aparat do kieszeni skafandra. Zapiął ją starannie, po czym jeszcze raz przyjrzał się swoim rękawicom, jakby oczekiwał od nich wyjaśnień, kiedy i w jaki sposób pochwyciły przedmiot, który mógł zainteresować samego profesora Bodrina. Ponieważ jednak rękawice odmówiły wszelkich wyjaśnień, pokręcił tylko głową i przyśpieszył, bo Dutour, a za nim Mamma i Inia wysforowali się już dość znacznie do przodu.

Ścieżka zakręciła pod ostrym kątem i skierowała się wprost ku laboratorium. Chmura kurzawy opadła już bar-

dzo nisko, ale białych kopuł bliźniaczych budyneczków nadal nie było widać. Za to nagle usłyszeli w słuchawkach daleki, zniekształcony głos.

- Nie - mówił jakiś mężczyzna - nie było ich na zewnątrz. Sądzę, że nic im się nie stało. Ale nie mam ciężkiego sprzętu. A zanim odwalę to rumowisko gołymi rękami, może minąć

tydzień. Nie masz pojęcia, co tu się działo. Sven, mówię ci, myślałem, że cała ta skorupa wybucha jak wulkan! Ostatecznie runął tylko jeden szczyt.

Zapadła cisza. Widać Sven, z którym rozmawiał mężczyzna bawiący w rakiemie, coś mu teraz odpowiadał. Ale jego głos pozostawał, rzecz jasna, niesłyszalny dla czwórki pozbawionej anten.

- Pięć minut temu? - powiedział po pauzie ten sam mężczyzna. - Czemu nie dałeś mi znać od razu? A profesor mówił, że będą przeprowadzać obliczenia teoretyczne i że to potrwa co najmniej dobę...

Znowu przez chwilę było cicho.

- Tak czy owak, poinformuj ich o tym, co się stało. Schodzący z góry poznali wreszcie głos Roberta Lon-ga, tykowanego asystenta Bodrina.

- Co? Rozumiem, rozumiem. Oczywiście, że musisz być stale na nasłuchu. Nie wiem, dlaczego mnie wysłali tutaj, a ciebie zostawili samego w bazie. Ten wrak mógł spokojnie poczekać choćby i miesiąc. Wyłączam się.

- Halo, Bob! - pisał nagle inny głos, który w przeciwieństwie do tamtego, przytłumionego odległością, zabrzmiał tak ostro, że Inia i Din odruchowo objęli dłońmi swoje kaski, w okolicy, gdzie pod pancerną osłoną znajdowały się ich uszy. - Bob!!! - wrzasnęła Mamma jeszcze głośniej. - Booob!!!

- Halo?! Czy ktoś coś mówił? Sven? Alarm? Wypadek? Odpowiadać! - gorączkował się młody naukowiec.

- Tuuuutaj! W górach!!!

- Co?! W murach?! Co to znaczy?!

- Poczekaj, aż będziemy niżej - poradził Dutour.

- Nie w murach, tylko w górach! - ryknęła Mamma, ignorując rozsądną propozycję ratownika. - Otwórz wreszcie oczy!!!

Czarna chmura wzniecona przez lawinę zmieniła się już w półprzeźroczystą mgiełkę. Zupełnie wyraźnie widzieli teraz człowieka, którego tak uparcie wzywała Mamma, a któremu wreszcie także udało się ich zauważyć.

- Kto idzie? - jego głos brzmiał coraz wyraźniej. - Co tam robicie? Nic wam się nie stało? - Long zjechał windą na dół i zaczął biec w ich stronę.

Nikt mu nie odpowiedział. Ocaleni z katastrofy wędrowcy w tym właśnie momencie zrozumieli, o czym to Bob rozmawiał z czuwającym w bazie Svenssonem. Tam gdzie zwykle biegały kopuły małych laboratoriów, teraz wznosiła się szeroka piramida głazów. Lawina pokryła grubą warstwą oba budyneczki. To dlatego Bob żałował, że nie ma ciężkiego sprzętu.

Ale nie wiedział jeszcze najgorszego. A mianowicie, że wewnątrz góry, która zawała się jak domek z kart, pozostali Maia i Irek. Pozostali odcięci od świata lub... martwi.

Maia opadła na kamienie i leżała bez ruchu. Irek przymknął oczy. Próbował sobie wyobrazić, że siedzi w pokoju i że kiedy tylko uniesie powieki, ujrzy słoneczny park. A w parku, na tle kolorowej kuli przedstawiającej Ziemię, sylwetki ojca, Inia, Mammy, Dutoura. Nawet Diana...

Westchnął i otworzył oczy. Każdemu, kto znajdzie się w trudnej sytuacji, wolno pomarzyć... byle te marzenia nie przesłoniły mu rzeczywistości i nie odebrały woli działania.

Westchnął ponownie i oparł się na łokciach. W tym samym momencie Maia podniosła się także. Ten ruch sprawił, że światło reflektora przymocowanego do jej kasku pomknęło w górę.

- Czekaaj!!! - krzyknął Irek, zapominając, że nie ma zbyt wielkiego sensu zachęcać do czekania kogoś, kto znajduje się w pułapce bez wyjścia. Ale w tym rzecz, że wyjście było! A przynajmniej mogło być. - Czekaaj - powtórzył. - poświęć w górę... Nie, bardziej na lewo...

Ujął kask dziewczyny w dłoń i delikatnie skierował reflektor w tę stronę, gdzie wysoko nad osypiskiem głazów dostrzegł czarną szczelinę. Tak jest! Tam właśnie był dalszy ciąg korytarzyka prowadzącego pod ocalałą skalną ścianą!

- Chodźmy - powiedział.

Mijały minuty. Minęło ich już wiele, a każda następna była gorsza od poprzedniej. Do zauważonego przez Irka otworu musieli wspinać się, czołgając po sypkich kamieniach. Co chwila to jedno, to drugie zjeżdżało w dół, tracąc zdobywane z takim trudem metry. Mimo to powoli, ale uparcie posuwali się w górę. Skalny strop wisiał teraz tuż nad ich głowami, a piarżysty prześwit pod nim wznosił się coraz bardziej stromo.

- Nie mogę już... - wydyszała w pewnej chwili Maia. . Irek zatrzymał się.

- Słuchaj, myślę, że wiem, gdzie jesteśmy - nadal starał się, jak mógł, dodawać dziewczynie otuchy. - Najpierw szliśmy pod starą ścianą w kierunku studni. Potem zagroziła nam drogę zawalona skała i musieliśmy skręcić. Następnie skręciliśmy jeszcze raz, a więc zaczęliśmy wracać z powrotem, tylko po przeciwnej stronie jaskini. Teraz powinniśmy być znowu niedaleko przejścia, obok którego staliśmy, kiedy zdarzył się ten wypadek... to znaczy, kiedy tak głupio błysnąłem aparatem - rzekł z samozaparciem. - Ale do przejścia nie dojdziemy, bo po tej stronie, przed nim znajdował się wylot bocznego korytarza, gdzie siedział dysk. Przecież to właśnie z tego korytarza poszła pierwsza fala lawiny. A jednak znaleźliśmy drogę, czyli że teraz idziemy właśnie tą niby ślepą odnogą, gdzie wszystko się zaczęło. Rozumiesz? Ale nie mamy się czego bać. Dysk na pewno zupełnie zasypało... a zresztą musieliśmy już dawno minąć to miejsce, gdzie się znajdował. Chodzi o coś ważniejszego. Pomyśl sama, skąd w ogóle mógł się wziąć tutaj, w jaskini, taki wielki przedmiot, czymkolwiek w końcu był i skądkolwiek pochodził? Przecież nie wędrował podziemiem, tylko przybył z góry. A skoro tak, to korytarzyk, w którym tkwił, a którym my teraz właśnie idziemy, nie może być ślepy! Musi prowadzić na powierzchnię! I my się nim wydostaniemy. No, Maiu...

- Tak, tak, wyjdziemy - usłyszał słaby szept. - Wyjdziemy... - powtórzyła dziewczyna, nie ruszając się z miejsca.

Irek nabrał do płuc powietrza i zatrzymał oddech. Inaczej musiałby głośno jęknąć. Biedna Maia! Na otwartej przestrzeni wzięłby ją po prostu „na barana” i niósł, póki starczyłoby mu sił, ale tutaj było to zupełnie niemożliwe. Ciągnąć ją za sobą? Po ostrych kamieniach?

Nagle wydało mu się, że wpadł na pomysł, jak tchnąć nowe siły w swoją zmęczoną i osłabłą towarzyszkę. Pomysł ten składał się z trzech części.

- Pewnie nie masz już czym oddychać - powiedział zjeżdżając po piargu, żeby znaleźć się obok niej. - Zrobimy teraz to, o czym mówiłem przedtem. Przetoczę połowę mojej butli do twojego pojemnika z powietrzem. Odwróć się.

Maia z trudem wykonała to, o co ją prosił. Wtedy chłopiec przystąpił do realizacji pierwszej części swojego planu. A właściwie pierwszej i drugiej, ponieważ obie musiały być wykonane równocześnie. Odpiął kieszonkę skafandra i wyjął jedną z pigułek wyprodukowanych przez uczonego-szczęśnika. Już trzymając w palcach małą kulę leczkę, zawahał się. W ciemności nie mógł określić jej barwy. Pamiętał jednak, że tam, gdzie leżała rękawica, potoczyły się prawie wyłącznie pigułki różowe. Różowe, a więc wprowadzające człowieka w dobry nastrój. Szybko, jakby się bał rozmyślić, wrzucił kuleczkę do otwartego zaworu pojemnika Mai, do którego zaraz potem podłączył powietrzny przewód własnej butli. Następnie przez chwilę obserwował czujnik wewnątrz swojego kasku. Kiedy ciśnienie wyrównało się, zamknął awaryjny przewód i doprowadził całą aparaturę do jej pierwotnego stanu. Teraz należało tylko poczekać, aż Maia zechce głęboko odetchnąć. Wtedy pigułka wpadnie jej do ust.

Pozostała do wykonania rzecz najtrudniejsza. A w każdym razie najmniej miła. Irek znowu zmagął się z sobą przez parę sekund, ale wreszcie zacisnął pięści i powiedział:

Maia, już.

Dziewczyna przewróciła się z powrotem na wznak. Patrząc pod światło reflektora, chłopiec nie widział teraz jej twarzy. Właściwie była to okoliczność sprzyjająca.

- Maia rzekł nieswoim głosem. - Trzeba iść dalej. Tam czekają twój ojciec i Mamma, i... musiał przełknąć ślinę. Din. Din powtórzył głośno i z naciskiem, jakby chciał specjalnie

podkreślić zwycięstwo odniesione nad sobą samym. Bo niech kto mówi, co chce, to było zwycięstwo. Chyba nawet większe niż okazanie męstwa w obliczu groźnych dysków, tajemnic Ganimeda i walących się gór.

Plan powiódł się ponad wszelkie spodziewanie. Irek z sercem pełnym żalu i mimowolnego buntu obserwował, jak Maia podnosi się i z zaskakującą energią na nowo podejmuje przerwana wspinaczkę. Chłopiec byłby pewnie dumny z siebie, gdyby nie uczucie, które nim owładnęło, a które nie miało absolutnie nic wspólnego już nie tylko z dumą, ale choćby zwykłym zadowoleniem. Uczucie to stało się wkrótce nie do zniesienia. Odruchowo, nie myśląc, co robi, znów odpiął kieszeń skafandra, wyjął jeszcze jedną pigułkę, otworzył zawór swoich pojemników z powietrzem i umieścił w nim czarodziejską kuleczkę. Następnie zrobił głęboki wdech. Pigułka od razu znalazła się w jego ustach. Połknął ją szybko i ruszył w ślad za dziewczyną. Musi ją wyprzedzić, iść pierwszy. Zdecydowanie podciągnął kolana, wyprostował ręce, szukając przed sobą uchwytu, i... zastygł w tej pozycji.

Niestety. Kulka - przynajmniej ta, którą on sam sobie zaaplikował - wcale nie była różowa.

Światelko reflektora Mai oddaliło się już o parę metrów. Dokoła było czarno. Czarna skała z boku i nad głową, czarne osypisko czekające na jeden nieostrożny ruch. By na zawsze pogrzebać zagubionego przybysza z Marsa w czeluściach Ganimeda.

- Maia! - zawołał przeraźliwie i boleśnie. - Maia!... Ja nie mogę... boję się... boję...

- Ubierajcie się prędzej - Bob Long popędzał Dutoura, Mammę i Dina. - Musimy jak najszybciej wyjść i nawiązać łączność ze Svenem. Myślę, że profesor Bodrin zawróci natychmiast, gdy tylko dowie się, co zaszło. Na pokładzie jest przecież także ojciec Irka. Cóż za pech, że zdecydowali się tak nagle wystartować i odlecieć nie wiadomo dokąd, mimo że mieli przecież zamiar dłuższy czas pracować w bazie. Widocznie odkryli coś nowego, co ich tak poruszyło, że nie poczekali nawet na mnie. Zostawili w bazie samotnego Svena. Od niego nie możemy oczekiwać pomocy. Musi bez przerwy czuwać przy centralce łączności.

Uratowani z katastrofy uczestnicy wycieczki do jaskini nie potrzebowali zachęty. Przystąpili do roboty od razu, jak tylko zamknął się za nimi właz rakiety, do której wpro wadził ich Robert, by zmienili swoje pozbawione anten kaski na inne.

Pierwsza była gotowa Inia. Nie akurat dlatego, że ruszała się szybciej niż inni. Po prostu prawie wszystko robił za nią Bob. Nie ulegało wątpliwości, że rudy asystent profesora Bodrina nie otrząsnął się jeszcze z wrażenia, jakie wywarła na nim uroda córki państwa Skibów. Sam zdjął jej kask, a potem pomógł włożyć inny i uważnie przymocował do kryzy skafandra. Wyraz jego twarzy świadczył dobitnie, że choć jest jak wszyscy przejęty losem Mai i Irka, to jednak doznaje także uczuć zupełnie innego rodzaju. W jego oczach jaśniała delikatna, szklista mgiełka, jaka pojawia się niekiedy w stadium krańcowego rozanielenia:

- Wychodzimy!

Geo Dutour pierwszy wszedł na czekającą przed włazem platformę windy. Bob, prowadząc za rękę Inię, zdążył tuż za nim. Po chwili wszyscy byli już na zewnątrz statku. Teraz mogli wreszcie nawiązać łączność z bazą.

- Sven, wołam cię! - zaczął Bob. - Sven, uwaga! Musisz natychmiast zawrócić ekipę zero-trzy. Zrozumiałeś? Odbiór.

- Co się stało?! Dlaczego?...

- Zawałiła się jaskinia, w której byli ludzie - rzekł zwięźle młody naukowiec. - Odcięci zostali Maia Dutour i Irek Skiba. Zawiadom natychmiast Bodrina. Nawiasem mówiąc, dlaczego oni tak nagle i niespodziewanie wystartowali?

- Profesor sprawdził obliczenia i doszedł do wniosku, że wie, gdzie jest zero-jeden. Krzyczał, że nie ma chwili do stracenia. Że oni potrzebują pomocy.

- Rozumiem. Ale teraz my także potrzebujemy pomocy. Poza tym trzeba będzie odkopać laboratoria tych dwóch staruszków. Nie mogą zbyt długo siedzieć zasypani skałami.

Chwilę trwała cisza. Nagle rozległ się przerażony głos Svena Svenssona:

- Bob! Bob! Bodrin nie odpowiada! Nie ma łączności!

- Żartujesz... - Long urwał. Zrozumiał, że odebrał przed chwilą wiadomość o zaginięciu

Mai i Irka, Svens-son z całą pewnością nie stroiłby sobie żartów.

- Cóż za przeklęty glob! - wykrzyknął z rozpaczą. - Czy ktoś lub coś uwzięło się na tę naszą łączność?!

- To samo, co z pierwszą ekipą - rzekł głucho Dutour. - No, trudno. Uwaga, RX-jeden, RX-trzy, RX-cztery! Alarm!

- Czemu nie wzywasz RX-dwa?! - spytała gorączkowo Mamma.

- On został z linią asekuracyjną nad wylotem studni. Nie chciałbym go stamtąd zabierać, póki istnieje choćby cień szansy, że Maia i Irek zdołają wrócić tą drogą.

- Może ja tam pobiegnę? - zaproponował Din. - Zjechałbym po tej linii i sprawdził, czy nie ma ich gdzieś w pobliżu? A nuż usłyszę ich głosy?

- Zostań - rzekł Dutour. - Jeżeli na wezwanie przybędzie choć jeden automat, najpierw polecę ja sam. Trzeba będzie dokładnie zbadać zbocza i wszystkie szczeliny... RX-jeden, RX-trzy, RX-cztery!

Żaden z wymienionych aparatów ratowniczych nie odpowiadał. Co więcej, ani jeden z nich - o czym Dutour jeszcze nie wiedział, chociaż zaczął się domyślać - nie miał już nigdy przybyć na żadne wezwanie. Wszystkie spoczywały teraz pod gigantyczną piramidą pokruszonych skał. Pozostały przecież obok wejścia do groty, czekając na swoich pasażerów, i w czasie katastrofy nie było koło nich nikogo, kto by im polecił oddalić się w bezpieczne miejsce.

- Co teraz zrobimy? - szepnęła po długiej chwili milczenia Inia.

- Nic. Musimy czekać - głos Dutoura drżał lekko. - Może Sven nawiąże jednak kontakt z ekipą.

- Na pewno, Iniu - podchwycił skwapliwie Bob. - Tam z nimi jest przecież twój ojciec. Z pewnością zbuduje coś, co ich uwolni... jeśli przypadkiem znowu utknęli przy tej samej planetoidzie... albo wymyśli sposób przywrócenia łączności.

- Siedziałbyś lepiej cicho ze swoimi planetoidami! - ofuknęła go ni stąd, ni zowąd Mamma. - Gdybyście pracowali, jak przystało poważnym ludziom, a nie fruwali od księżycy do księżycy niby jakieś kosmiczne motylki, to teraz nie musielibyście tu tkwić z założonymi rękami! A ty czemu właściwie nie jesteś w bazie? Przyjechałeś sobie na wycieczkę?!

Pocziwa Mamma pragnęła oszczędzić Ini nowego zmartwienia i oderwać jej myśli od obrazu doktora Skiby uwięzionego w rakiecie, pozbawionej łączności i napędu, przy jakiejś zdradzieckiej kosmicznej łupinie. Pamiętała, że dziewczyna przyleciała na Ganimeda już smutna i pełna żalu, bo nie mogła zapomnieć o Piotrze zaginionym wśród gwiazd, teraz bała się także o Irka. Czy to nie dość? Czy ten młody dryblas koniecznie musi jeszcze mówić o jej ojcu?

Zacny plan Mammy powiódł się nad wszelkie spodziewanie. Inia aż krzyknęła z wrażenia, natomiast „kosmiczny motylek” wykonał rozpaczliwy skok do tyłu i byłby niechybnie spadł z platformki windy, gdyby w ostatniej chwili Dutour nie złapał go za ramię.

- Ja? Nie w bazie? Na wycieczkę?... - bełkotał przerażony rudzielec. - Wcale nie na wycieczkę! - zaprzeczył wreszcie nieco przytomniej. - Bodrin przysłał mnie tutaj, żebym naprawił anteny. Pracowałem...

- Anteny? - Geo Dutour odruchowo obrzucił spojrzeniem dziób statku. - Dziwne. Wcale nie wygląda na to, żeby ktoś tutaj zajmował się antenami.

- Bo ja... Ostatecznie, z tym można było poczekać... przynajmniej tak sądziłem... - tłumaczył się zmieszany Long. - Więc najpierw zająłem się komputerem. Chciałem sprawdzić pewną aparaturę, której prototyp dzisiaj zainstalowałem. To urządzenie wiąże się z teorią profesora. Postanowiłem spróbować, czy poza czasem nie uda mi się odnaleźć w pamięci komputera danych wniesionych przez czujniki w okresie przymusowego postoju rakiety przy tej przeklętej planetoidzie, od której oderwał ją dopiero Truszek. Gdybyśmy choć coś o niej wiedzieli, potrafilibyśmy może lepiej wyposażyć ekipy, które polecą tam w przyszłości, dać im odpowiednie zabezpieczenie...

- A po co tam się w ogóle pchacie? Co takiego cudownego jest akurat na tej jednej planetoidzie?! Że przyciąga statki?! To może być kawał zwykłego magnesu! - nie dawała za wygraną Mamma.

- Musimy - tym razem głos Roberta brzmiał pewnie. - Musimy. Tam właśnie prawdopodobnie utknął... - tu asystent profesora Bodrina nagle znowu się zmieszał i umilkł.

Inia błyskawicznie zrobiła krok w jego stronę i spojrzała mu prosto w twarz.

- Kto tam utknął? - spytała cicho, ale tak, że nawet Din, który myślał tylko o Mai, poczuł, jak coś ściska go za gardło. - Bob, proszę cię...

Młody naukowiec zamknął na moment oczy. Jego twarz, widoczna za osłoną kasku, stała się blada jak kreda.

- Nie wiem nic... nic pewnego... - wykrztusił wreszcie, unosząc powieki. - Ekipa zero-jeden wystartowała w stronę tej planetoidy jakieś dwa miesiące temu... Zauważono wtedy, że coś w tamtym rejonie zniekształca świetlne linie przesyłowe energii płynącej z automatycznych agregatów na orbicie Jowisza do stacji badawczych na Amorze, Dembowskiej i innych asteroidach. W tym samym miejscu zaczęły - z nieznanymi powodami - zmieniać kurs bezzałogowe transportowce. Wtedy baza wysłała pierwszy statek badawczy. Polecieł nim Filip Gomera i jego syn. Piotr...

Robert znowu przymknął powieki, ale tylko na moment, w następnej chwili otworzył oczy tak szeroko, jak chyba jeszcze nigdy w życiu. Zresztą nie on jeden.

- Widzisz, gamoni!!! - słuchawki na uszach ludzi zgromadzonych przy włączaniu statku omal nie popękały od wrzasku, który przeszył ciszę panującą na ganimedzkiej pustyni. - Hu, hu, hu! - podobny do grzmotu śmiech zmieszał się z łoskotem roztrzącanych kamieni. - Jak cię dobrze pogonić, to nawet mur przebijesz! - ryczał dalej nieznajomy. - Hu, hu, hu! Ale i tak cię dopadnę! Dopadnę cię, a wtedy!...

Ratuuuuunku! Ratuuuuunku! - zapiszczał inny głos. - Zbir! Morderca! Na pomoc! Na pomoc!!!

Znowu zahurkotały kamienie i nagle z piramidy wznoszącej się nad laboratoriami szczęśników wypadł ktoś z takim impetem, jakiego nie powstydziliby się specjalny automat do przebijania skał. Nie był to jednak automat. Nie był automatem również osobnik, który wydostał się z gruzów w ślad za pierwszym. Za to trzymał on przed sobą coś, co od biedy mogłoby uchodzić za automat, chociaż

w braku innych materiałów - sporządzony naprędce ze zużytych opakowań.

- Ratuuuuunku! Ratuuuuunku! - nie przestawał wrzeszczeć rozpaczliwie pierwszy osobnik. - Zaraz cię dogonię! Hu, hu, hu!

- Zjeżdżamy! - zakomenderował Dutour. Parę sekund później platforma windy zatrzymała się na powierzchni gruntu.

- Stój! Stój!

Uciekający oraz jego prześladowca zatoczyli szeroki łuk i zaczęli wracać w stronę gór. W tym momencie piszczący ze strachu zbieg zauważył nadciągającą odsiecz. Rzucił się w stronę Dutoura, ukrył za jego plecami, po

czym wycelowawszy palec w stronę nadbiegającego, zawołał:

- Potwór! Morderca!

- Stój - powtórzył groźnie ratownik, bo potwór i morderca w jednej osobie, nie zrażony tym, że jego ofiara znalazła się pod opieką gromadki ludzi, biegł w ich stronę, nie zwalniając i nie przestając okrutnie sapać oraz rechotać.

Wtedy do akcji niespodziewanie wkroczył Din. Błyskawicznie wyciągnął z kieszeni cudem uratowany aparat Irka, przyklęknął na jedno kolano i zawołał:

- Jeszcze krok, a strzelę! Mam miotacz! Zbir stanął. Ale Din mimo to strzelił. Strzelił i trafił. Zdjęcie, które wtedy powstało, krążyło potem po bazach i osiedlach planetarnych, dostarczając wszystkim niezrównanej uciechy. Trzeba przyznać, że sam zainteresowany śmiał się zazwyczaj najgłośniej... Ale nie uprzedzajmy wypadków.

Bieganina nagle ustała. Za osłoną kasku ściganego rozpoznano zzieleniałą ze strachu twarz uczonego-goszczęśnika, Augusta Skiby. Ścigającym był sąsiad Chudego pigularza, Angelus Ranghi, który wpatrywał się teraz ze zgrozą w Dina, a raczej w jego aparat.

- Co to ma znaczyć? - przerwał ciszę gromki głos Mammy. - Oszałeliście z kretešem, kiedy góra zwałała wam się na głowy czy co?

- On chciał mnie... - zaczął piskliwie pigularz i na tym poprzestał.

- Wcale nie chciałem go - grubas wypuścił powietrze ze swojej potężnej piersi, dzięki czemu jego nie dokończone zdanie zabrzmiało jak pożegnalny jęk pękniętego muzealnego parowozu. - Zamierzałem jedynie wyjść z zasypanej strefy ochronnej. Zacząłem rozgarniać



kamienie, zmęczyłem się... więc wypłem kubek wody... A on, ten szarlatan, wrzucił mi do wodociągu pigułkę! Pigułkę na złość! Rozumiecie?! Bestia! Kanalia!

- Bo on wczoraj oblał mi surową partię moich cudownych środków fałszywymi farbami!...

- Cicho! - Mamma tupnęła nogą. - Niech mówi jeden!

- Myślał pewnie, że wpadnę we wściekłość i porzbijam własne laboratorium - podjął po chwili Angelus Ranghi. - Ale się przeliczył! Napilem się i znowu wyszedłem na zewnątrz.

Wtedy ta jego trucizna zaczęła działać. Rzeczywiście zirykowałem się... Troszeczkę -dodał szybko.

- Poczekaj - przerwała mu Mamma. - A twoje automaty nie działają?

- Moje automaty działają zawsze! Są niezawodne!

- To czemu nie uruchomiłeś któregoś z nich, żeby udobruchać samego siebie? Czy to tak przyjemnie biegać po pustyni i ryczeć jak wściekły słoń?

Zapytany poruszył głową i wydał nieartykułowany pomruk.

- No?!

- Nie pomyślałem o tym...

- Nie pomyślałeś?! A właśnie! Bo ty w ogóle nie myślisz! On zresztą także! - Mamma tupnęła złowrogo w stronę chudzielca. - Już dawno chciałam z wami porozmawiać! Ty przyleciałeś tutaj - zwróciła się znowu do Ranghiego - ponieważ nie chciałeś opuszczać przyjaciela, którego spotkało nieszczęście. Nieszczęście - powtórzyła z naciskiem. - Nie odzywaj się! - huknęła widząc, że grubas otwiera usta, aby coś powiedzieć. -Postanowiłeś dla pocieszenia swojego towarzysza budować idiotyczne automaty, które wysyłają jakieś fale czy promienie, grzebią w mózgach ludzi i zmieniają ich nastroje. A potem powstała z tego teoria uszczęśliwienia całej ludzkości! Teraz nawet swojemu jedynemu sąsiadowi zatruwasz życie i ganiasz za nim z głupimi pogroźkami! A ty - szybkim ruchem chwyciła za ramię drugiego szczęśnika i, wywłókszy go zza pleców Dutoura, pchnęła w stronę Ranghiego, tak że obaj uczeni rywale stanęli twarzą w twarz. - Ty - ciągnęła - po stracie żony i dziecka załamałeś się i zacząłeś szukać pociechy w biochemii. Wymyśliłeś pigułki. A potem, aby usprawiedliwić przed sobą samym własne postępowanie, także zacząłeś głosić, że twoim posłannictwem jest uszczęśliwianie wszystkich... podczas gdy nie umiałeś się dogadać nawet z człowiekiem, który przyleciał do tych zakazanych laboratoriów na końcu świata wyłącznie po to, żeby ci pomóc!

- Tylko skończony idiota może uważać, że ludzie staną się szczęśliwi dzięki jakimś tam pigułkom - bronił się, choć już bez przekonania, grubas. - Jedyną szansą są moje automaty.

- Trzeba być ostatnim baranem, żeby wierzyć w dobroczynne działanie blaszanych pudeł! - August Skiba wzniosł oczy w górę. - Pigułki! Tylko pigułki... - zakończył jednak niespodziewanie cicho.

- Historia uczy, że najbardziej zacięte boje toczyły między sobą te ugrupowania i ci ludzie, którzy chcieli osiągnąć to samo, ale różnymi metodami - zauważył sentencjonalnie Dutour. - Albo ci, którzy wierzyli w podobne prawdy, tylko inaczej. Weźmy na przykład dzieje wojen religijnych...

- Ale to było setki lat temu! - ucięła Mamma. - A ci tutaj żyją w erze kosmicznej! Dość tego - zawyrokowała z mocą. - Podajcie sobie ręce!

- Co?

- Co?

Obaj szczęśnicy odruchowo zrobili krok do tyłu. Następnie równocześnie, jak na komendę, przestąpili z nogi na nogę i na powrót zbliżyli się do siebie. Obecni wstrzymali oddech.

- Patrzcie! Patrzcie! - wykrzyknął nagle Din. Podniosły nastrój prysnął w ułamku sekundy. Wszyscy

unieśli głowy i spojrzeli w niebo, tam gdzie celował wskazujący palec chłopca.

Wysoko, w zenicie, błyszczał latający obiekt. Przesuwał się pod gwiazdami jak meteor lub jak mała kometa ciągnąca za sobą cienki, płomienisty warkocz.

- Przecież to Truszek! - zawołał Geo Dutour.

- Truszek! - powtórzyła z uniesieniem Mamma. -Ale co on robi na niebie?! Przecież został w jaskini?!

- Widać nie został! Patrzcie, leci w stronę gór! Rzeczywiście, Truszek przemknął nad ich głowami i zaczął pikować w dół, zmierzając ku pobliskim szczytom.

- Co on robi?! Rozbije się! - jęknęła Mamma. Ale Truszek się nie rozbił. Schodząc coraz niżej, zaczął także wytracać szybkość. Wreszcie zatoczył łuk, ominął sterczącą basztę skalną i zniknął poza nią. Owa baszta wznosiła się na lewo od zasypanego wejścia do jaskini. Odległość między nią a gromadką ludzi stojących pod ogołoconą z anten rakieta nie przekraczała dwóch kilometrów.

- Musimy się tam dostać! - zawołał Dutour. - Kto wie, czy on nie szuka Mai i Irka! Może odebrał jakieś sygnały!...

- Biegnijmy! - podchwyciła Mamma, ruszając z miejsca w takim tempie, o jakie nikt, kto nie znał jej bliżej, nie mógłby nawet podejrzewać tej statecznej kobiety, która sama swoją postacią przypominała skalną basztę.

Przebyli pierwszych dwieście metrów. Din wysorował się do przodu. Tuż za nim biegł lekko Geo Dutour. Dalej, w nieco większej odległości, Inia oraz nie odstępujący jej ani na krok Robert Long. Zamykali orszak - kłusując obok siebie - Mamma i szczęśnicy.

W pewnym momencie Bob pochylił się w stronę siostry Irka i nie zwalniając wydyszał:

- Iniu... profesor Bodrin zabronił mi mówić... a ja sam też nie chciałem ci robić przedwcześnie nadziei... Ale teraz, kiedy w niebezpieczeństwie znaleźli się także twój ojciec... i brat, nie mogę dłużej milczeć... Nie mogę... -powtórzył.

Inia potknęła się i zmyliła krok. Natychmiast jednak odzyskała równowagę, a nawet jeszcze przyśpieszyła. Biegła teraz tak, że zaczęła doganiać Dina i Dutoura.

- No, więc... - Bob znalazł się znowu obok niej -Bodrin uważa, że konstrukcja, zauważona przez drugą ekipę przy owej planetoidzie, jest właśnie ta rakietą, którą leciał Piotr. Niestety - jego oddech stawał się coraz bardziej krótki i urywany - to jeszcze nic nie znaczy. Na razie to są tylko domysły. A poza tym... minęły dwa miesiące. Na ratunek może być za późno. Właśnie dlatego Bodrin nie pozwolił ci o tym wspominać. W tej planetoidzie jest coś bardzo dziwnego. Nie spotkaliśmy się dotąd z niczym podobnym. Ale jeśli oni tam rzeczywiście są, to może istnieć szansa...'.. jedna na tysiąc. Mają zapasy powietrza, wody i jedzenia. Musieliby tylko od razu włożyć skafandry i przejść na ręczną obsługę pojemników, bo tam nie działają automaty. Tak wynika z relacji ekipy ze-ro-dwa... A ja tutaj nie naprawiałem anten, bo chciałem najpierw wypróbować urządzenie zbudowane według teorii Bodrina, które umożliwiłoby nawiązanie łączności poza czasem... Och, gdyby tak można było porozmawiać z nimi, zanim przyłgnęli do tej planetoidy;

kiedy jeszcze lecieli! Zdobylibyśmy bezcenne informacje! To urządzenie jest zupełnie realne, ale zasada, na podstawie której ono działa, to dość skomplikowana sprawa i nie potrafię jej tak pokrótce wyjaśnić...

Okoliczności istotnie nie sprzyjały zgłębianiu ani teorii Bodrina, o której nie darmo mówiono, że rozumie ją wyłącznie jej twórca, a i to nie zawsze, ani też tajemniczych machin wykorzystujących praktycznie hipotezę ujemnej ciężkości czasu. Zważywszy owe wspomniane okoliczności, należy się raczej dziwić, że Bob w ogóle zdołał cokolwiek powiedzieć. Tym bardziej że jeszcze nie skończył.

- Iniu - podjął, jak tylko udało mu się znowu złapać oddech - Bodrin będzie na mnie zły... Ale ja, od kiedy cię zobaczyłem, myślę tylko o tobie. Nie mogłem milczeć. Nie mogłem pogodzić się z tym, że jesteś taka smutna. Nadzieja jest niewielka, ale jest... I wiem, że zrobię wszystko, co w ludzkiej mocy, aby Piotra uratować. Zresztą, nie chodzi tylko o mnie...

Przez dłuższą chwilę biegli obok siebie w milczeniu. Wreszcie Bob westchnął chrapliwie i jeszcze raz szepnął:

- Nie chodzi o mnie...

Zostawiając Inię, popędził jak szalony w stronę skały, za którą zniknął Truszek.

### **Człowieku, proszę o wezwanie...**

- Nie chcę...

Irkowi wydało się, że krzyczy, ale w rzeczywistości z jego ust wypłynął ledwie słyszalny szep, któremu towarzyszył dźwięk, jaki wydaje szczególnie gadatliwe stado bocianów.

Upłynęło kilka sekund, zanim chłopiec zdał sobie sprawę, że to klekocą jego własne zęby. Ale

nie był w stanie przejąć się tym odkryciem. Opadł bezwładnie na kamienie, głowę wtulił w ramiona i umierał ze strachu.

- Irku! - Maia zsunęła się i zatrzymała obok niego. -Irku! Co ci się stało?!

- Sta-a-a-ło się-ę-ę...

Chłopiec poczuł, że coś chwyta go za kołnierz skafandra i ciągnie do góry.

- Nie! Nie! - wrzasnął.

- Irek!

Milczenie. Maia ponowiła próbę podźwignięcia swojego towarzysza, ale zadanie przekraczało jej siły. Zawołała więc z rozpaczą jeszcze raz:

- Irek!

- Bo-o-o-ję się-ę-ę... - wyszczeł wczorajszy, a także i dzisiejszy bohater. - Nie-e-e chcę...

Dziewczyna gorączkowo obmacała jego skafander. Był cały. Coś jednak musiało się stać! Tylko co?!

- Irku - zaczęła ponownie - przecież sam mówiłeś, że musimy iść. Tam czeka mój ojciec... i Inia... i Din...

- Nie-e-e mo-o-o-gę...

- Ojciec, Inia, Din. Boją się o nas. Boją się? To on się boi! Zaraz, kto się boi? Din? Irek zaczął intensywnie myśleć. Din się boi... Din się boi...Din

się boi... - dźwięczało mu w uszach. Potrząsnął głową. Nie, to nie Din. Chwileczkę, kto się tak bardzo bał? Oczywiście, Truszek. Jasne, że Truszek. Wtedy, gdy ten gruby szczęśnik poraził go automatem. A przedtem,.. co wydarzyło się przedtem?

- Przedtem płakałem - powiedział na głos. Jego zęby przestały nagie naśladować zepsutą pozytywkę. -Przedtem płakałem - powtórzył - a teraz się boję. Już wiem! Pigułki!

- Co? - teraz z kolei Maia przestraszyła się, że jej towarzysz z wysiłku i twogi postradał zmysły. - Jakie pigułki?! O czym ty mówisz?

Zęby Irka znowu podjęły przerwana piosenkę, więc dziewczyna musiała poczekać chwilę na odpowiedź.

- Wiem, o czym mówię - rzekł wreszcie ponuro Irek. - To nic.

Uklęknał. Jego kolana drżały leciutko, ale to była już drobnostka w porównaniu z harcami, jakich dopuszczali się jeszcze minutę temu.

- Zachowałem się jak idiota - stwierdził z najgłębszym przekonaniem. - Skończony dureń. Pigułki!

- Irku, proszę cię...

- Dobrze, dobrze. Maia, idziemy! Podniósł się, wyminął ją i szybko, jakby pragnąc nadrobić stracony czas, popęznął w górę.

- Tak, tak, idziemy! - ucieszyła się dziewczyna na widok cudownego przeobrażenia, jakiemu uległ odkrywca skibrytów.

Droga, jeśli wąski prześwit między skałą nad głowami a kamiennym osypiskiem można nazwać drogą, stawała się coraz bardziej stroma i niebezpieczna. Gdyby teraz głązy wypełniające korytarz ruszyły nagle w dół, nic nie byłoby w stanie uratować wędrowców, tak uparcie pokonujących metr za metrem. Ale jakoś pokonywali te metry. Oboje przekroczyli dawno próg, poza którym człowiek nie wie już, jak bardzo jest zmęczony. Irek czuł tylko narastający szum w skroniach. Jego oddech stawał się coraz płytszy i krótszy.

Maia także łapała powietrze z największym trudem. Ale trzymała się dzielnie. Nie tylko cały czas posuwała się tuż-tuż za Irkiem, lecz nawet co chwila wygłaszała po parę zdań. Wszystkie te zdania dotyczyły Dina.

- Wiesz - mówiła na przykład słabym, przerywanym głosem - ojciec Dina, pan Robinson, jest zastępcą kierownika bazy. Na pewno postawił już wszystkich na nogi. Żeby tylko nie próbowali nas szukać za dawnym wejściem do jaskini. Jeszcze mogłoby kogoś zasypać...

Albo:

- Din stracił matkę, kiedy miał dwa lata. Zaraziła się bakteriami wyhodowanymi z cząsteczek, alkoholu pochodzącego z przestrzeni kosmicznej. Pracowała w laboratorium orbitalnym. Umarła, zanim lekarze zrobili odpowiednią szczepionkę. A jego ojciec od tego czasu pracuje stale na Ganimedzie. Din spędza tutaj wszystkie ferie. Zna te góry jak własną kieszeń. Zobaczysz, on odnajdzie wejście do tego korytarza, którym teraz idziemy. On jest d i

a b ę l n i e sprytny.

A kończyła niezmiennie tak:

- Ach, jak bardzo chciałabym już ich zobaczyć! Ojca i Mammę, i...

Wygłaszała te nie dokończone zdania głosem pełnym rzewnego rozmarzenia. Irek zaciskał wtedy zęby i starał się pełznąć jeszcze szybciej niż dotąd. „Ja ją ratuję, j a niedawno dałem jej swoje powietrze, ja potrafiłem podtrzymać ją na duchu, kiedy opadła z sił. A tu tylko Din i Din, i Din... No, tak, ale ja dałem jej nie tylko powietrze - stwierdził w duchu. - Także i pigułkę, I nie była to wcale pigułka na odwagę czy na dobry humor. Pewnie na tęsknotę. Przecież ten stary Skiba robi i takie. Też się popisałem!! Jej zaaplikowałem pigułkę na tęsknotę, a sam uraczyłem się czymś na strach...”

Bieg myśli chłopca został nagle przerwany. Od pewnej chwili wydawało mu się, że reflektor idącej za nim dziewczyny świeci jakby słabiej. Teraz raptem spostrzegł, że się mylił. To nie reflektor przygasał, tylko wokół nich robiło się jaśniej. Mrok nie był już tak gęsty i nieprzenikniony jak dotychczas.

Zatrzymał się, popatrzył przed siebie i zobaczył wysoko nad głową coś, co przypominało poszarpany fragment starego obrazu. Na rudawym tle jaśniały dwa złotawe punkciki...

- Maiu! - krzyknął, zapominając w ułamku sekundy o strachu, tęsknocie i Dinie. - Maiu! Wyjdźcie!!! Dziewczyna podpełzła do niego.

- Gdzie?! Gdzie?!

- Tam! Patrz! Gwiazdy! Niebo! Dłuższą chwilę w podziemiach panowała idealna cisza.

Wreszcie Maia westchnęła i powiedziała:

- Wiesz, nigdy w życiu nie widziałam nic piękniejszego.

Irek poderwał się i popędził do góry. Jego stopy coraz głębiej grzęzły w sypkich kamieniach, co parę kroków piarg osuwał się pod nim i znosił go z powrotem o metr lub dwa, ale chłopiec nie zważał na to. Nie zważał na nic. Myślał tylko o tym, by jak najprędzej dopaść tego obrazka ze złotawymi kropkami i wydostać się na szeroką, otwartą przestrzeń. Na świat.

Wylot korytarza był coraz bliżej, z każdą chwilą odsłaniały się nowe obszary nieba, gwiazd było już dziesięć, piętnaście...

W słuchawkach odezwał się cichy, złowieszczy pomruk. Irek stanął. Skąta nad ich głowami, na którą padało już nikłe światło Ganimeda, wyraźnie drgnęła. Grzmot powtórzył się. „Teraz? - przebiegło chłopcu przez myśl. - Teraz?...”

W tym „teraz” było więcej zdumienia i buntu aniżeli przestrachu. I trudno się dziwić. Mieliby zginać akurat w chwili, gdy od ocalenia dzieliło ich dosłownie dziesięć metrów? Po wszystkich przygodach i morderczym trudzie wędrówki przez zasypaną jaskinię?

Skąta drżała coraz wyraźniej. Sklepienie pękało. Ogromny kamienny blok wiszący nad wyjściem przechylił się...

Wtedy Irek zaczął krzyżeć. Z podziemi ich głosy nie mogły dotrzeć ani do laboratoriów szczętników, ani do ekip ratunkowych, jeśli takie już pracowały, ani tym bardziej do bazy czy dyspozytorni „Pięciu Księżyców”. Ale Stąd, gdzie widzieli gwiazdy?...

- Halo, tu Maia i Irek! Jesteśmy u wylotu korytarza, w którym był dysk... - urwał.

Jak ma wskazać ludziom miejsce, gdzie powinni ich szukać? Gdyby wraz z tymi ludźmi był Truszek... Ale Truszek z pewnością już podczas katastrofy robił, co mógł, żeby ich ocalić. Teraz leży, przywalony tonami skały.

Pułap nad wejściem obsunął się parę centymetrów ł zatrzymał. Teraz się jeszcze zatrzymał. Jednak za sekundę, dwie, trzy...

- XXB-czterysta siedem! - zawołał rozpaczliwie chłopiec. - Wezwanie alarmowe!!!

XXB-czterysta siedem to była, jak wiadomo, oficjalna nazwa Truszka. Właśnie ta nazwa w połączeniu z hasłem „alarm” stanowiła wezwanie zastrzeżone dla Irka.

W głębi góry znowu zbudził się głuchy, narastający dźwięk. Rysy w sklepieniu powoli, ale nieubłaganie poszerzały się. Głuchy dźwięk przeszedł w przenikliwy, dudniący grzmot dochodzący ze wszystkich stron naraz.

Nagle w otworze, który stawał się coraz mniejszy, bo przesłaniała go wałca się jak na zwolnionym filmie skała, błysnęło ostre światło. Irek odruchowo rzucił się do tyłu i własnym

ciałem osłonił Maię. Tak jakby ciało piętnastoletniego mężczyzny istotnie mogło stanowić skuteczną tarczę, zapewniającą osłonę przed spadającą górą. W następnym ułamku sekundy całe przejście, którym pięli się tak mozolnie ku wolności, przesłoniła chmura czarnego dymu.

- No i co dalej?... - mruknął Dutour.

Cała szóstka stała u stóp pionowej skały z głowami zadartymi do góry. Stosunkowo łatwo wdrapali się na zbocze poprzedzające ścianę dawnego krateru i tutaj utknęli. O dalszej wspinaczce, nie mając wysokogórskiego sprzętu ani automatów ratowniczych, nie mogli nawet myśleć.

- Może rozdzielimy się i poszukamy jakiegoś żlebu albo przełęczy - zaproponował niepewnie Long.

- Poszukamy żlebu, ale nie będziemy się rozchodzić

- burknął Dutour. - Pójdziemy razem, cały czas wzdłuż ściany. W końcu znajdziemy przecież drogę. Poczekajcie

- odwrócił się i rzucił oficjalnym tonem: - Halo, baza! Halo, Sven!

- Słucham?

- Jest coś nowego?

- Nie - w głosie człowieka czuwającego przy aparaturze łączności brzmiało przygnębienie. - Cisza... Dutour przełknął ślinę.

- Zawiadom nas, gdyby coś się zmieniło.

- Oczywiście. Wywołuję ich bez przerwy.

- Hej! - zawołał w tym momencie Din. - Posłuchajcie! Gromadka ludzi wstrzymała oddech.

- Rzeczywiście - mruknął po chwili Bob. - Chyba znowu coś się tam wali...

Usłyszeli daleki, przytłumiony łoskot spadających gła-zów.

- Żeby to coś nie zleciało nam tylko na głowy - wyraziła życzenie Mamma. - Nie wiem, jak czyja, ale moja na pewno jeszcze się przyda...

Dźwięk w słuchawkach cichł. Po chwili umilkł zupełnie.

- Fałszywy alarm - zawyrokował Din.

Nagle gruby szczęśnik podskoczył jak oparzony. -Leci! Leci! - krzyknął przeraźliwie. - Lawina! Uciekajmy!!!

Wszyscy odruchowo zrobili krok do tyłu... i na tym poprzestali. Jak się okazało, zupełnie słusznie. Nie spadły im na głowy ani całe szczyty, ani ogromne głazy, ani nawet pokruszone kamyczki. To, co leciało z góry, przypominało raczej lekkie ziarnka jakiejś nieznannej rośliny. Padały z cichutkim szmerem i toczyły się po zboczu. Błyskawicznym ruchem Inia wyciągnęła rękę i pochwyciła jedno takie ziarnko. Zaciśnęła rękawicę, a po chwili bardzo powoli rozwarła palce. Na jej otwartej dłoni leżała malutka, śnieżnobiała kuleczka. Din też zamachnął się, jakby chciał złapać muchę, ale na próżno. Już było po „lawinie”.

Ludzie przez chwilę spoglądali jeszcze z obawą w górę, po czym uspokojeni zgromadzili się wokół Ini.

- Co to jest? Grad? Tutaj? - spytała Mamma. - Głupie żarty!

- Rzeczywiście wygląda jak grad - przyznał ze zdziwieniem Dutour.

- Pigułka! - zawołał strasznym głosem Ranghi. - To jest pigułka! On je porozrzucał po górach! - wskazał oskarżycielskim gestem Augusta Skibę. - Zaraził cały glob!

- Przestałyś wreszcie wrzeszczeć - burknęła Mamma.

Mimo woli jednak i ona, i wszyscy pozostali spojrzeli ciekawie na chudego szczęśnika. Ten przewrócił oczami, mruknął coś obraźliwie pod adresem swojego byłego sąsiada, po czym niespodziewanie spokorniał.

- Rzeczywiście - bąknął. - To mogłaby być jedna, z moich pigułek. Tylko że ona jest całkiem biała...

- Biały kolor zawsze symbolizował cnotę - zauważył Ranghi. - Już wiem. W nim wreszcie obudziło się sumienie. Białe pigułki robił specjalnie dla siebie...

- No, to czemu miałyby je potem porozrzucać w górach? - spytała rzeczowo Mamma.

- Bo nie mógł znieść ich smaku! Diabeł także ponoć dostawał mdłości na sam widok święconej wody! Hu, hu, hu!

- Już choćby tylko za taki śmiech powinni go zamknąć w pancernym pudle i wystrzelić na koniec galaktyki!

Obiecujący dialog i tym razem został raptownie przerwany. Wysoko nad głowami stojących rozległ się przytłumiony świst. Wszyscy natychmiast znowu spojrzeli w górę. Zza skalnej baszty wyłonił się dziwny kształt. A nawet trzy kształty. Trzy niewyraźne sylwetki powoli przesuwające się po niebie i przesłaniające kolejne gwiazdy.

- To oni! Oni! - pierwszy ocknął się Din. - Maia!!!
- Oni! - powtórzyła Mamma.
- Oni! - zawołali chórem Inia, Bob i Geo Dutour.

Chmura była tak gęsta i ciężka, że Irek niemal czuł na sobie jej ciężar. Nie próbował się ruszać. Skulił się, ciągle osłaniając sobą dziewczynę, i czekał na ten jeden, ostatni cios spadającej skały.

Ale skała jakoś nie spadała. Tylko w słuchawkach obojga wędrowców, których droga, jak sądzili, dobiegła tragicznego kresu, nadal odzywało się ni to trzeszczenie, ni bełkotanie, jakby kamieni niesionych przez rwący potok.

Nagle te dźwięki zagłuszył wyraźny głos o lekko metalicznym brzmieniu:

- XXB-czteryście siedem odebrał wezwanie alarmowe. Chwilowo jestem unieruchomiony. Podtrzymuję osuwającą się skałę. Człowiek może wyjść na zewnątrz.

Irek z niedowierzaniem wyprostował się i, mrugając oczyma, próbował przebić wzrokiem panujące ciemności. Na próżno.

- Człowiek może wyjść na zewnątrz. Doradzałbym pośpiech.

- Irku - zawtórował pierwszemu drugi, słaby, głos. -Kto to mówi?

- Nie mam poję... - zaczął ponuro chłopiec i urwał. -Mam pojęcie! - wrzasnął na całe gardło.

- To jest Truszek! Truszek! Maiu, rozumiesz?! Możemy iść! Skoro on twierdzi, że możemy...

Chwycił dziewczynę za rękę i zaczął ją ciągnąć w tę stronę, gdzie - jak pamiętał - znajdowało się wyjście. Był już tak pewny ocalenia, że przestał się interesować odgłosami rozbrzmiewającymi w słuchawkach. Wołał wesoło:

- Truszkule, jak to cudownie, że jesteś! Skąd się tu wzięłeś?! A czemu zwracasz się do mnie per: „człowieku”?! Przecież wiesz, jak mam na imię! Czy ty nie lubisz, kiedy ja mówię do ciebie „Truszek”? Wolisz swoją oficjalną nazwę?

- Owszem, jest mi przyjemnie, kiedy zwracasz się do mnie: „Truszkule” - padła odpowiedź. - Ale sam dziewięćdziesiąt osiem sekund temu - automat, jak każdy automat, był czasem przesadnie dokładny - użyłeś mojego symbolu. Hasło: „XXB-czteryście siedem, wezwanie alarmowe” zostało specjalnie wprowadzone w mój program. Tylko ono uruchamia wszystkie moje rezerwy energetyczne i jest zastrzeżone dla człowieka, którego mam chronić. Kiedy to hasło padnie, muszę o tobie myśleć i mówić tylko jako o człowieku.

Chłopiec postanowił poprosić ojca o nieco bardziej przystępne wyjaśnienie różnicy między nim, Irkiem, a nim, człowiekiem, ale nic już nie powiedział, bo właśnie zobaczył tuż przed sobą Truszkę. Stożkowaty twór tkwił pośrodku szczeliny i rzeczywiście, jak sam się wyraził, był „chwilowo unieruchomiony”. Naprawdę podtrzymywał skałę. Po prostu pozwolił osunąć się na siebie ogromnemu głazowi, który oderwał się od sklepienia i byłby niechybnie zmiotł „człowieka” oraz jego towarzyszkę. Widać automat dokładnie obliczył wytrzymałość własnej konstrukcji. Tyle że nie całej. Jego niegdyś okrągła główka przypominała gumową piłkę, której ktoś bardzo ciężki użył jako fotela.

- Truszkule! - zawołał ze zgrozą chłopiec. - Twoja głowa!

- Moja aparatura informatyczna mieści się wewnątrz korpusu - rzekł automat. - Głowa, jako część wystająca i niezbyt mocno opancerzona, nie stanowiłaby dostatecznej osłony najważniejszych organów służących do analizy sytuacji i podejmowania decyzji. Nie zamierzam jednak ukrywać, że wolałbym, aby pozostała okrągła. Prosiłbym więc o umożliwienie mi opuszczenia tego miejsca. Przemawiają za tym także względy bezpieczeństwa.

- Ależ idziemy, idziemy...

Irek pociągnął za sobą Maię i oboje przebiegli obok trwającego na swym szczególnym

posterunku Truszka.

- Za wyjściem jest skalna półeczka - usłyszeli jeszcze. - Należy pójść nią w lewo. Za pierwszym załomem skalnym proszę na mnie poczekać.

Irek zwolnił, a następnie stanął, bo właśnie oboje z Maią ujrzeni przed sobą niezmierną ganimedzką równinę.

- Nareszcie! - zawołał chłopiec.

Odetchnął pełną piersią i rozpostarł ramiona, jakby miał zamiar wzlecieć w powietrze. Przypadkiem spojrzawszy jednak w dół i szybko przykucając. Przepaść zaczynająca się ćwierć metra przed jego stopami była niezgłębiona i bezdena. Tu na nic by się nie zdały nawet cudowne zdolności i lekkość Danki. Śmiałek, który próbowałby popisać się kocią akrobatyką, skacząc z tej wysokości, skoczyłby niechybnie prosto do grobu.

- Mieliśmy pójść w lewo - przypomniała Maia. Irek wyprostował się, spojrzawszy jeszcze raz w dół, po czym wszedł na półeczkę, o której mówił Truszek. Kroczył odważnie, nie oglądając się, i tylko cały czas trzymał rękę wyciągniętą do tyłu, na wszelki wypadek mocno ściskając dłoń swojej towarzyszkę. W ten sposób dotarli oboje do miejsca, w którym półka omijała wystający skalny garb przypominający trochę pionową rurę. Za tym garbem półka rozszerzała się w mały, półokrągły plac. Mogli wreszcie stanąć obok siebie.

- Wiesz - powiedziała dziewczyna - coś chyba wpadło mi do kasku. Pewnie jakiś kamyczek. Ale jak on się tam dostał?

Chłopiec pochylił się i z bliska zajrzał za przezroczystą osłonę głowy Mai. „Jak to dobrze, że człowiek nie jest automatem - przebiegło mu przez myśl. - Gdyby głowa kogoś z nas wyglądała tak, jak głowa Truszka, nie moglibyśmy zbyć tego faktu słowami, że najważniejszą organa i tak mamy dobrze ukryte »wewnątrz korpusu«".

Natychmiast jednak porzucił wszelkie anatomiczno-fi-lozoficzne refleksje. Maia miała rację. Coś rzeczywiście wpadło jej do kasku. Tylko że nie był to kamyczek, lecz niewielka ciemnofioletowa kulka.

Irek wybuchnął głośnym niepowstrzymanym śmiechem.

- To jest pigułka, cha, cha, cha!... Pigułka! Masz w kasku pigułkę, wiesz?! - wykrzykiwał trzęsąc się i podrygując jak szalony. - Cha, cha, cha!

- Przestań! Przestań w tej chwili! - zaprotestowała przerażona Maia. - Jeszcze zlecisz!

Po dobrej chwili chłopiec wreszcie zdołał się opanować. Przestał chichotać i nagle, tak samo niespodziewanie jak przedtem parsknął śmiechem, spoważniał. Spoważniał, a nawet posmutniał. Od kiedy wrzucił tę pigułkę

do zaworu powietrznego Mai, ona bez przerwy mówiła tylko o tym, jak bardzo chciałyby zobaczyć ojca i... Dina. Myślał, że zamiast różowej kuleczki na pogodny nastrój, połknęła pigułkę na tęsknotę. A teraz okazuje się, że nie połknęła żadnej. Po prostu nie zrobiła takiego szybkiego głębokiego wdechu, jak Irek. Czyli że nie potrzebowała żadnych sztucznych środków, aby tęsknić za Dinem...

Odkrycie było bolesne. Chłopiec zacisnął zęby i wpatrywał się tępo przed siebie, w ponure niebo Ganimedy. „Maia... - myślał. - Maia i Din... Teraz znów powinienem łyknąć jakąś pigułkę...” - zdobył się na gorzką autoironię.

Nie ma sensu zaprzeczać. Maia podobała mu się bardzo.

Westchnął. Nagle przyszło mu do głowy, że on jednak połknął czarodziejską kuleczkę. Kuleczkę na strach, i ta myśl nieco go pocieszyła. Przecież widział na własne oczy, jak sam wspaniał, nieomylny Truszek leżał porażony sztucznym strachem. A on, zwykły ziemski, chłopiec, potrafił się przemóc. Przewyciężył ten strach.

- Wiesz - spojrzawszy na Maię i nawet udało mu się uśmiechnąć - to naprawdę jest pigułka. Wrzuciłem ci ją, kiedy uzupełniałem zapas powietrza w twoim zasobniku. Myślałem, że to środek na dobry humor albo na odwagę. Widziałem, jak ten stary Skiba je robi. Ale ty na szczęście jej nie zjadłaś. Na szczęście, bo okazuje się, że to jest pastylka na strach. Ja połknąłem właśnie taką samą. Dlatego wtedy, pamiętasz - mimo woli odwróciłem głowę - tak się zachowywałem... Ale to trwało krótko, prawda? Krótko - uciał zdecydowanie. - Przewyciężyłem strach. A Truszek nie mógł!

Maia podczas tej, zdaniem Irka, jasnej i przejrzystej oracji przyglądała się swojemu towarzyszowi nieufnie, a nawet z obawą. Wyraz jej oczu nie uległ zmianie nawet

wtedy, kiedy koło nich pojawił się jak duch ów Truszek, który czegoś nie mógł, bo się bał.

- Zaraz polecimy.

Automat XXB-czterysta siedem po tej zapowiedzi otworzył jakiś schowek w swoim korpusie i wysunął z niego coś w rodzaju dwóch wielkich pajęczyn. Obie były zakończone jakby koszykami uplecionymi z mocnych elastycznych włókien.

- Mamy lecieć w tych workach? - spytał chłopiec.

- Tak.

- To wsiadaj, Maiu - wyciągnął rękę do dziewczyny, aby jej pomóc.

Ale Maia, na wszelki wypadek, o własnych siłach włąła do nadstawionej przez Truszka sieci.

- Proszę teraz człowieka - rzekł automat. Maia natychmiast zapomniała o swoich niejasnych podejrzeniach dotyczących władz umysłowych Irka.

- Co to ma znaczyć?! - prychnęła. - Więc ja nie jestem człowiekiem?! Automat zwlekał chwilę z odpowiedzią.

- Oczywiście jesteście... dla Truszka - odrzekł wreszcie. - Ale nie dla XXB-czterysta siedem. Ten ostatni ma tylko jednego człowieka.

- Nie rozumiem - oczy dziewczyny wciąż jeszcze lśniły z gniewu.

- Och, nie złość się! - zawołał Irek. - Każde z nas także ma tylko jednego człowieka! - Nagle zrozumiał, co powiedział, zająknął się i umilkł. - No dobrze, dobrze, już wsiadam - odezwał się po krótkiej przerwie zmienionym tonem. - Ach, ta twoja biedna głowa! Ale wiesz co? - ciągnął gorączkowo, skacząc z tematu na temat. - Ja połknąłem pigułkę na strach! Naprawdę ją połknąłem, a potem przemogłem się. Natomiast ty wczoraj...

Nastała chwila ciszy.

- To znaczy, ty dzisiaj przyleciałeś w samą porę - usłyszał swoje własne słowa Irek i zdziwił się.

Chciał przecież powiedzieć coś zupełnie innego. Chciał mianowicie pochwalić się przed Truszką, o ile to on, normalny, żywy chłopiec, jest silniejszy i mądrzejszy. Wszak XXB-czterysta siedem leżał tylko plackiem i trząsł się jak osika, kiedy Ranghi wypróbował na nim jedną ze swoich cudownych puszek. Natomiast Irek potrafił przezwyciężyć strach. Nie zmoęła go ciemnofioletowa pigułka.

Dziwna rzecz. Chłopiec zapamiętał tę scenę, te słowa, które pozostały nie wymówione. Zapamiętał je doskonale. I zawsze ilekroć wracał myślami do tej chwili, czuł, że stało się wtedy coś ważnego. Więcej. Był bardziej zadowolony z tego, że nie wygłosił peanu na własną cześć, aniżeli z faktu, że istotnie udało mu się opanować lęk wywołany przez pigułkę Augusta Skiby.

Maiu spoczywała już w ażurowym koszu, jak mały wieloryb, który przypadkiem zaplątał się w sieć ichtiologów. Irek już miał zamiar zająć miejsce w drugiej gondoli, ale coś sobie jeszcze przypomniał.

- Chwileczkę! - zawołał.

Otworzył kieszeń skafandra, wydłubał z niej „czarodziejskie” kuleczki, które tam jeszcze pozostały, ułożył je na otwartej dłoni, po czym podrzucił wysoko w górę, a kiedy spadały, jednym celnym kopnięciem posłał je w przepaść. Oczywiście, nie mógł przewidzieć, że stojący kilometr niżej szczęśnik na widok tych paru małych pigułek wrzaśnie: „lawina”! Ale wiele przemawia za tym, że nawet gdyby wiedział, jaki osiągnie efekt, postąpiłby dokładnie tak samo. Ba! Może kopnąłby te fioletowe i białe kuleczki z tym większą uciechą?

Pozbywszy się tak zdecydowanie swojego skarbu, Irek wskoczył do ratowniczej sieci, która natychmiast zacisnęła się nad jego głową. Parę sekund później bujał w przestworzach. Rozkołysany, zderzył się lekko z Maią. Ta powitała ten incydent wesołym śmiechem.

- Jeszcze! Jeszcze! Całkiem jak na huśtawce!

I w tym właśnie momencie usłyszeli w słuchawkach bliski, wyraźny okrzyk:

- To oni! Oni!!!

Truszek zatoczył łuk i zawisł nieruchomo - dziesięć metrów nad powierzchnią równiny. Następnie powolutku zaczął opuszczać obie sieci wraz z ich żywą zawartością. Wkrótce Maia i Irek wpadli w objęcia wzruszonych, śmiejących się, wołających jeden przez drugiego ludzi.

- Tato... tato... tato... - powtarzała dziewczyna schowana w ramionach ojca.



Din stał obok i nerwowo przestępował z nogi na nogę. Irek uściskany serdecznie najpierw przez Inię.. potem -ku swojemu lekkiemu zaskoczeniu - przez Boba Longa, który jednak, wyrażając swą radość z ocalenia chłopca, równocześnie cały czas patrzył na jego siostrę, dostał się następnie w objęcia Mammy i pozostał w nich dostatecznie długo, by kompletnie stracić oddech. Wreszcie. kiedy przybrał już barwę świeżo obranego buraka, zacna kobieta puściła go i typnęła groźnie na chudego szczęśnika.

- Co, nie przywitasz się ze swoim wnukiem?! August Skiba wykonał szereg nie skoordynowanych ruchów imitujących ucieczkę gazeli przed głodnym lwem, ale w wyniku tych zabiegów cofnął się zaledwie o pół kroku. Mamma spojrzała na niego i huknęła:

- Słuchaj, ty dziwaczysko! Ten chłopiec to rodzony wnuk twojego brata! O mały włos nie zginął w górach! Jego siostra stoi obok i jest smutna, bo... no, bo ma po temu powody! - urwała.

Wtedy stał się cud. Do Irka podszedł Angelus Ranghi.

- Nie masz pojęcia, jak się cieszę ze względu na ciebie samego, a także na twoją siostrę, ojca i... Augusta. Jeśli jeszcze nie rozumiesz, czemu on nie chciał się przyznać, że jest waszym krewnym, to posłuchaj - spojrzał pytająco na pigularza, który spuścił głowę i milczał. - Ze wstydu - powiedział dobitnie łysy szczęśnik. - Tak, ze wstydu. Mogę to wyznać, ponieważ czuję się nie mniej winny niż on. Ale nie mówmy teraz o przeszłości. Zobaczysz, Irku, że go pokochasz.

- No, przynajmniej jeden przemówił ludzkim głosem - mruknęła dziwnie cicho Mamma.

Ale Irek i tak by jej nie usłyszał, nawet gdyby krzyczała. Patrzył jak zahipnotyzowany na chudą, wysoką postać. która zbliżała się do niego tak powoli, jakby niosła na plecach stukilowy ciężar. August Skiba zatrzymał się wreszcie.

- Uhm... tak. No, to tego... - jego głos brzmiał słabo i cienko. - Bo widzisz, ja...

Stryjeczny dziadek skończył. Chwilę stał bez ruchu, nagle chwycił chłopca, przycisnął go do piersi, a potem odwrócił się i, zanim Irek zdążył cokolwiek powiedzieć czy zrobić, pognął przed siebie. Biegł długo. W końcu dopadł dźwigarów sterczącej daleko na tle nieba rakiety i skrył się w mroku panującym pod dyszami smukłego kolosa.

Ze stanu osłupienia wyrwał Irka głos Geo Dutoura. Ratownik, wciąż obejmując ramieniem Maię, mówił do Truszka:

- Skąd ty się tam wzięłeś? Jakim cudem wydostałeś się z podziemi? Jak trafiłeś do dzieci? Jak udało ci się je wydostać? I dlaczego masz taką dziwną głowę?

- Na które pytanie odpowiedzieć najpierw? - spytał uprzejmie Truszek.

- Wszystko jedno! Wszystko jedno! - wtrąciła szybko Mamma. - Zacznij może od jaskini.

- Z przeprowadzonej przeze mnie analizy wynikało, że sprawcą zamieszania jest przedmiot w kształcie dysku, który spoczywał w bocznym korytarzu - rozpoczął Truszek. - Zareagował na światło w ten sposób, że skoczył w kierunku jego źródła. Ponieważ źródło światła znajdowało się tam, gdzie byli ludzie, musiałem go zatrzymać. Zapaliłem najsilniejszy reflektor i wykonałem zwrot. Na skutek tego dysk także zmienił kierunek. Poleciał w ślad za mną. Wyprowadziłem go z jaskini i skierowałem się w przestrzeń, wchodząc w orbitę. Tam zgasilem reflektor. Dysk jednak podążył dalej. Świeciło Słońce, a Jowisz był akurat zasłonięty przez Ganimeda. Dysk zszedł więc z orbity i pomknął ku Słońcu, bo ono było wtedy najsilniejszym źródłem światła. Niestety, wypadając z bocznego korytarzyka, ten dysk naruszył skałę i runęło sklepienie jaskini. O tym jednak ja nie wiedziałem...

- Poczekaj - przerwał automatowi Long. - Czy dowiedziałeś się czegoś o tym dysku?

- Był zbudowany z metalu. Wewnątrz nie znajdowała się żadna żywa istota. Moje analizatory wykrywają życie bez względu na jego charakter i okoliczności. Więcej danych nie mam.

- Skąd tak od razu wiedziałeś, co zrobić? - spytał z niekłamany podziwem Dutour.

- Nic innego zrobić nie mogłem - padła zwięzła odpowiedź.

- No, a jak wróciłeś? Jak trafiłeś akurat tam, gdzie byli Maia i Irek?

- Człowiek przesłał mi wezwanie alarmowe. O-kreśliłem kierunek. Po przybyciu na miejsce zauważyłem, że skała nad człowiekiem grozi zawaleniem, więc ją podparłem. Właśnie wtedy ucierpiał górny fragment mojej konstrukcji. Następnie, kiedy człowiek wyszedł, przygotowałem sprzęt i przybyłem tutaj, ponieważ słyszałem głosy ludzi, a zachodziło prawdopodobieństwo,

że uratowani będą potrzebowali opieki medycznej. Postępowałem zgodnie z programem.

Przez minutę, a może i dłużej panowała zupełna cisza. Przerwał ją wreszcie Geo Dutour.

- Truszku - rzekł z melancholią - wobec ciebie ja jestem zaledwie lichym cieniem ratownika.

Truszek skromnie milczał.

- No, to jeden kłopot mamy z głowy - „cień ratownika” odetchnął głęboko. - Pozostał drugi.

Irku, mamy dla was niezbyt dobre wiadomości. Z bazy wystartowała rakieta. Polecili między innymi profesor Bodrin i twój ojciec. Otóż niedawno baza utraciła łączność z tym statkiem. Ale nie ma powodu do obaw - dorzucił szybko. - To samo było przedtem z ekipa zero-dwa. A kiedy Truszek sprowadził ją z powrotem, okazało się, że wszyscy są zdrowi. Musimy tytko od razu przystąpić do pracy. No, idziemy! - zakomenderował ruszając przez równinę ku opuszczonej rakiecie.

- Nie mamy anten. Jak polecimy bez zamiaru? - rzekł z powątpiewaniem Bob Long.

- Naprawimy je - powiedział Dutour. - Pokażemy, że jesteśmy zdolni do czegoś więcej niż przyglądania się, jak automaty za nas ratują ludzi. A jeśli chodzi o to, czy odnajdziemy drogę, zapomniałeś o jednym drobiazgu.

- Ja? O czym?

- O tym, że teraz mamy Truszka.

Dwie godziny później rakieta była gotowa do startu. Nad jej zadartym w niebo dziobem błyszcząły wielkie lustra anten. Sporządzono je wprawdzie naprędce i z zastępczych materiałów, ale działały znakomicie. Bez trudu pozwalały nawiązać kontakt ze wszystkimi stacjami w rejonie planetoidów. Zbiorniki energetyczne rakiety dysponowały zapasem paliwa wystarczającym na parokrotne okrążenie całego Układu Planetarnego.

Bob Long usadowił się przed głównym pulpitem sterowniczym. Obok niego zajął miejsce ojciec Mai.

- No, Truszku, kolej na ciebie - powiedziała Mamma. - Prowadź.

- Dokąd?

- Jak to: dokąd? Tam, gdzie byłeś wczoraj! Do tej planety, gdzie znalazłeś statek, w którym teraz siedzimy. Uwolniłeś go przecież. Tak samo uwolnisz ekipę ze-ro-trzy, bo i ona na pewno tam właśnie utknęła. Musisz mieć swoją wczorajszą drogę zapisaną w przystawce pamięciowej.

- I tak nie mógłbym tej drogi odtworzyć z pamięci, przebywając wewnątrz rakiety - odpowiedział automat. - Moje receptory dalekiego zasięgu tutaj nie funkcjonują.

- Jego re... co? - wyszeptła Maia, siedząca wraz z pozostałymi pasażerami w kabinie za sterownią.

- Receptory - rzekł równie cicho Din. - Wiesz, to, co pozwala automatom, a także istotom żywym odbierać informacje z zewnątrz. U ludzi to są na przykład oczy, uszy, nos.

- Więc co robimy? - spytał stropiony Dutour. - Czy on ma lecieć na zewnątrz?

- Nie widzę przeszkód - odpowiedział po namyśle Long. - Przecież dowiódł, że świetnie radzi sobie w przestrzeni.

- Nie widzę przeszkód - powtórzył spokojnie Truszek.

- A zatem idź do śluzy - zdecydował Dutour. - Tylko nie zapomnij zamknąć za sobą włazu. A potem znajdź w swojej pamięci dane dotyczące kursu na tę planetoidę i porozum się z nami. Wystartujesz pierwszy. My będziemy podążać za twoim sygnałem namiarowym.

Truszek opuścił sterownię, przeszedł przez drugą kabinę i zniknął w przejściu prowadzącym do śluzy.

Po chwili jednak pojawił się z powrotem.

- Nie mogę opuścić statku - powiedział. - Na jego pokładzie znajduje się człowiek.

- No to co? - zniecierpliwiał się Long. - Nawet nie jeden. Powiedziałbym, że na pokładzie jest więcej ludzi, niż być powinno. Dlaczegoż by miało ci to przeszkadzać?

- Nie mogę opuścić człowieka.

- Nie może oddalić się ode mnie - wyjaśnił Irek.

- Nie możesz opuścić Irka - zrozumiał wreszcie Dutour. - Ale przecież wczoraj...

- Wczoraj - wpadł mu w słowo Truszek - otrzymałem właściwe wezwanie. A w kosmos polecałem dlatego, że zmyliły mnie sygnały emitowane przez dyspozytornię. Dzisiaj nie ma

takich sygnałów.

- Poczekajcie - Long pomyślał chwilę, po czym spytał: - Jak to właściwie było?

- Kiedy Irek wpadł do jaskini i nie wiedzieliśmy, gdzie go szukać, doktor Skiba przestał Truszkowi wezwanie alarmowe. Przekazał je za pośrednictwem mojego automatu ratowniczego - tłumaczył cierpliwie Dutour. - Tylko że wszystkie odbiorniki i nadajniki „Pięciu Księżyców” były akurat wycelowane w miejsce, z którego dobiegły ostatnie sygnały zaginionego statku ekipy ze-ro-dwa. No i Truszek zamiast do nas, czekających nad otworem skalnej studni, poleciał w kosmos. Po uratowaniu rakiety wrócił i zaczął krążyć między bazą a gwiazdźniem, bo Irek się znalazł i doktor Skiba zmienił polecenie. Wreszcie trafił do laboratoriów pod górami. To wszystko.

- Wszystko - powtórzyła jak echo Mamma. - Wszystko?! - ożywiła się nagle. - Skoro tak, to przecież możemy i dzisiaj nastawić anteny bazy oraz dyspozytorni w tym samym kierunku. Ich sygnały wskazywały drogę, tak samo jak wczoraj. Prawda, Geo?

- Nie - uprzedził odpowiedź ratownika sam Truszek. - Przed powrotem do „Pięciu Księżyców” zostałem przeprogramowany. Teraz nie mógłbym już polecieć fałszywym tropem. Dla pewności nie wolno mi także oddalać się od człowieka, chyba że w grę wchodzi odsunięcie od niego bezpośredniego niebezpieczeństwa.

- Prawda - Dutour wzruszył ramionami. - On teraz nie odstępuje Irka.

- No, dobrze - odezwał się Bob. - Ale jeśli Irek wyda mu polecenie, to chyba go posłucha?

- Nie - rzekł znowu Truszek. - Przecież wiem, o co chodzi. Mówiono tutaj o utracie łączności ze statkiem kosmicznym i że ten statek ugrzązł, tam gdzie poprzedni. A zatem powinienem polecieć i powtórzyć wczorajszą operację. Oczywiście, byłbym w stanie to zrobić, ale brakuje mi bodźców do rozwinięcia pełnej sprawności. Jedynym takim bodźcem jest teraz wezwanie alarmowe człowieka.

- Ale ja właśnie wzywam cię, byś uratował ekipę ze-ro-trzy - zawołał Irek. - Leć i zrób to, co wczoraj.

- Nie mogę. Człowiek jest tutaj i nie potrzebuje pomocy. To oczywiste. Mój program nie przewiduje uruchamiania pełnej mocy na polecenie, tylko na wezwanie.

Zapanowała konsternacja.

- Truszkule - szepnęła wreszcie błagalnie Inia. - Przecież widzę jasno, że rozumiesz, jakie znaczenie ma to, abyś tam poleciał. Zależy od tego ocalenie wielu ludzi... między innymi ojca Irka i mojego. Naprawdę nie chcesz nam pomóc?

- Nie „nie chcę”, tylko nie mogę. Moje zespoły informatyczne pozwalają mi określić rangę zadania, jakie zamierzaliście mi powierzyć, a także sposób jego wykonania. Ale...

- Chwileczkę - przerwał Dutour. - Posłuchaj mnie uważnie, Truszkule. Zgoda. Nie możesz zrobić tego, czego od ciebie oczekiwaliśmy, bo nie pozwala ci na to zmiana wprowadzona przez doktora Skibę do twojego programu. Więc poradź nam przynajmniej, co powinniśmy uczynić, żeby się dostać do ekipy zero-trzy. Gdybyś nas poprowadził tym kursem, którym leciałeś wczoraj, rzecz byłaby stosunkowo prosta. Ale nas nie poprowadzisz. Mamy zatem beczynnie czekać, aż ojciec Irka, profesor Bodrin, Manners i inni zginą?

Truszek tym razem nie odpowiedział od razu. Dłuższą chwilę stał bez ruchu. Wreszcie odwrócił się w stronę Irka i podszedł tak blisko niego, że niemal dotknął go swoim wypukłym korpusem.

- Człowieku - rzekł uroczyście - proszę o wezwanie. Irek jęknął.

- Przecież powiedziałem, że wzywam cię na planetoidę, gdzie jest mój ojciec!

- Proszę o wezwanie stamtąd.

- Ode mnie?

- Tak. Od człowieka.

- Jak mam ci przesłać wezwanie stamtąd, skoro jestem tutaj?!

- Proponuję, żeby ta rakietka wystartowała i weszła na orbitę skrajnego księżyca Jowisza. W ten sposób znajdzie się w stosunkowo niewielkiej odległości od rejonu planetoid. A Trojańczycy, do których należy ciało niebieskie przetrzymujące statki, są bliżej Jowisza niż inne planetoidy.

- No, dobrze - podchwycił Dutour - a kiedy już się tam znajdziemy? Czy nadal będziesz potrzebował wezwania z miejsca, do którego miałbyś nas zaprowadzić?

- Tak.

- Błędne, koło! - jęknął Bob Long.  
- Nie. Znalazłby się sposób - oznajmił ze zwykłym spokojem Truszek.  
- Jaki?!  
- Niestety nie mogę powiedzieć. Nie mogę, ponieważ ten sposób wiąże się z narażeniem człowieka na poważne niebezpieczeństwo. Mój program zabrania mi udzielania tego rodzaju porad i informacji.

- Czekajcie... - bąknął z zastanowieniem Dutour. - Zdaje się, że zaczynam rozumieć...  
- Sądzisz?... - Bob odwrócił się powoli i zmierzył Irka zagadkowym spojrzeniem.  
Ratownik skinął głową, jakby chciał powiedzieć, że tak, że Bob odgadł, co przyszło mu na myśl.

- On nie może nam tego doradzić - powiedział cicho. - Ale nie mógłby chyba także przeszkodzić chłopcu, gdyby ten postanowił opuścić pokład. Co więcej, musiałyby wtedy polecieć razem z nim.

Irek ze zmarszczonymi brwiami i wyrazem napięcia na twarzy słuchał przez chwilę tej rozmowy, aż nagle zrozumiał. Zrozumiał i mimo woli zerknął na Inię. Ujrzał bladą, nieruchomą twarzyczkę z martwymi, zapatrzonymi oczami i przestał się wahać. Zrobi to przede wszystkim dla ojca. Ale jeśli tam naprawdę jest także Piotr Gomera...

- Wiecie co - powiedział niemal wesoło - w każdym razie trzeba od razu zrealizować pierwszą część planu Truszka. Lećmy na ten najdalszy księżyc. A potem zobaczymy...

Gdyby teraz przyjrzał się słuchającym go ludziom, odkryłby, że Dutour, Bob i Din patrzą na niego z uznaniem, a nawet z szacunkiem. We wzroku Mammy malowało się najczystsze rozrzewnienie. Szeroko otwarte, ciemne oczy Mai stały się odrobinę bardziej ciemne. Tylko szczęśnicy najwidoczniej wciąż nic nie rozumieli, choć obaj sprawiali wrażenie głęboko zatroskanych.

Ale Irek wołał nie spoglądać na boki. Wiedział, że to, co go czeka, będzie jeszcze trudniejsze niż przedzieranie się na oślep przez zasypaną jaskinię. Jaskinie, nawet najgroźniejsze, znajdują się na lądach, gdzie siła przyciągania sprawia, że zmysły i mięśnie człowieka funkcjonują tak, jak w jego ojczyźnie - na Ziemi. A tam, gdzie on, Irek, ma ruszyć, zostaną mu tylko oczy błędzące po nieskończonej przestrzeni wszechświata. Ogarnie go poczucie straszliwego osamotnienia. Znał to uczucie. Przechodził przecież przeszkolenie i zdobył kartę pilotażu piątego stopnia. Tylko że czym innym jest swobodne pływanie na orbicie, pod okiem instruktora i w sąsiedztwie szkolnych pojazdów ratunkowych, a czymś zupełnie innym...

W tym momencie poczuł, że jakaś niewidoczna dłoń wpycha go głęboko w oparcie fotela. Przeciężenie. Zamyślony, nie zauważył momentu, kiedy statek oderwał się od powierzchni Ganimeda. Szybko spojrzął w ekran. Ujrzał, jak gwiazdy przestają filować i stają się czyste, jasnozłote. Byli już ponad górnymi warstwami atmosfery.

Dwadzieścia minut później dysze napędowe rakiety niosącej ekipę zero-cztery przestały wyrzucać w przestrzeń strumienie płonącej plazmy. Statek wszedł na orbitę najdalszego księżycyca Jowisza i zastopował.

- Chodźcie tutaj, wszyscy - powiedział Dutour. Przeszli do sterowni.

Ojciec Mai wskazał kilka świecących punkcików pośrodku wielkiego ekranu.

- To są Trojanie. W tej grupie albo w jej najbliższym sąsiedztwie znajduje się skalny okruch, planetoida, która więzi statek... a może dwa statki - dodał zniżając głos. - Wciąż nie mamy ani łączności, ani sygnału namiarowego od załogi zero-trzy. Taki sygnał oznacza tyle, co na planetach droga. Nie widzimy tej drogi. Nie znamy jej. Nie polecimy dalej, jeżeli Truszek... - zająknął się - no, jeżeli nic się nie zmieni...

- Przepraszam - mruknął niespodziewanie rudy asystent Bodrina.

Wstał i, nie patrząc na nikogo, wyszedł, a raczej wybiegł z kabiny. „Dziwne - pomyślał mimo woli Irek. - W takiej chwili?...”

- Co to znaczy: Trojanie? - przerwał ciszę szept Mai. Dutour zachnął się niecierpliwie, ale doszedłszy widać

do wniosku, że jego córka zasługuje dzisiaj, po tym, co przeszła, na szczególne względy, rzekł:

- Trojanie albo Trojańczycy. To takie dwie zwarte grupy planetoid. Ich orbita pokrywa się

niemal z orbitą Jowisza, dlatego ten ostatni nie ma stałej liczby księżyców. Bo czasami któraś z małych bryłek należących do Trojańczyków staje się na pewien czas jego nowym satelitą. Astronomowie i matematycy interesowali się nimi od dawna, tworząc one bowiem ze Słońcem i Jowiszem dwa trójkąty równoboczne... A także bardzo ciekawe rozwiązanie problemu trzech ciał...

- Byli również Trojanie w starożytności - zauważył Din.

- Powinniście oboje wiedzieć wszystko i o jednych, i o drugich - zamknął sprawę ratownik. - A teraz dosyć lekcji. Każda sekunda jest na wagę złota. Więc... o czym to ja mówiłem?... Aha, o drodze, o drodze, której nie znamy...

Irek wyprostował się.

- Cóż - zaczął lekko stłumionym głosem, któremu jednak nie bez powodzenia starał się nadać obojętne brzmienie - myślę, że powinienem polecieć w kosmos w samym skafandrze. Będę się trzymał Truszka i razem z nim szybko oblecę wszystkie planetoidy należące do tych Trojańczyków. No, a potem... - wykonał nieokreślony ruch głową i umilkł.

Zapadła cisza. Za ścianą kabiny coś zaszeleściło. Tak szeleszczą pierwsze krople deszczu spadające na dach letniskowego domku nad ziemskim jeziorem. Deszcz... Ziemia... Jezioro... Każde z tych słów zdaje się krzyczeć Irkowi wprost do ucha, żeby nie opuszczał bezpiecznej rakiety, żeby nie wychodził w pustkę wiecznej nocy, wiecznego mrozu i okrutnej obojętności dalekich gwiazd przyglądających się niewyobrażalnie drobnej kruszynie, jaką jest człowiek wobec wszechświata.

Przymknął na moment oczy i ujrzał pod powiekami twarz ojca.

- No, Truszku, idziemy! - rzucił głośniejszym głosem, niż było trzeba, i nie oglądając się ruszył w stronę śluzy.

Ale wtedy stało się coś nieprzewidzianego. Truszek zabiegł mu drogę i stanął zagradzając sobą wejście.

- Nie pozwolę na to, aby c z ł o w i e k opuścił statek - powiedział.

Irek przez moment doznał olbrzymiej ulgi. Ale to uczucie natychmiast ustąpiło miejsca najczystszaemu oburzeniu.

- Co to ma znaczyć?! Odmawiasz posłuszeństwa?! Mnie?!

- Nie odmawiam posłuszeństwa. Nie mogę odmówić posłuszeństwa i właśnie dlatego nie dopuszczę do wyjścia człowieka w przestrzeń. Zespoły informatyczne donoszą mi, że wykonanie planu człowieka wiązałoby się z przekroczeniem dopuszczalnego stopnia ryzyka. Poza tym pozwolę sobie stwierdzić, że ten plan jest nierealny. Po dotarciu do zaginionego statku, aby go uwolnić, musiałbym uderzyć pełnym ciągiem z głównych dyszy napędowych. A przecież nie mógłbym tego zrobić, gdyby w pobliżu znajdował się człowiek nie osłonięty panczerem rakiety.

- To prawda - rzekł głucho Dutour. - Prawda.

- Nie pomyślałeś o tym? - Mamma spojrzała na niego z wyrzutem. - Chciałeś postać chłopca na pewną zgubę? Ratownik drgnął.

- Chłopca?... Ja?... Bzdury! - zezłościł się nagle. - Nie pomyślałem, to nie pomyślałem, i już! Każdemu się zdarzy... ale teraz myślę, I proszę mi nie przeszkadzać.

- - Najlepiej od razu wysadź nas wszystkich, i to bez skafandrów - poradziła Mamma. - Przynajmniej nie będziemy się męczyć.

- Ty wylecisz na miotle... - mruknął z rozżalaniem Dutour. - Cicho bądźcie! Wszyscy! Truszku - powiedział po chwili zmienionym głosem - moglibyśmy cię zniszczyć. Człowiek niemal zawsze jest w stanie zniszczyć to, co sam zrobił. Tylko że w ten sposób nie osiągnęlibyśmy niczego.

- Tak - potwierdził ze spokojem automat, - Moglibyście mnie zniszczyć i wówczas, naturalnie, nie mógł

bym przeszkodzić człowiekowi w opuszczeniu rakiety. Jednak zważywszy, że to nie człowiek, lecz jedynie ja mogę was poprowadzić przez przestrzeń do tej planetoidy... Dutour milczał chwilę, po czym powiedział z rozpaczą:

- Odkąd prowadzę akcje ratunkowe, nigdy nie byłem tak bezradny.

- Hej! Hej! - rozległ się w tym momencie stłumiony okrzyk. Na korytarzu załomotały szybko

kroki. - Hej! -zawołał jeszcze raz Bob Long, wpadając jak bomba do kabiny. - Chodźcie szybko! Wszyscy!

- Co się stało?
- Oszalałeś?
- Wrzeszczy jak August... Były pigularz nie podjął wyzwania.
- Już nie wrzeszczę - sprostował łagodnie.
- Może dacie mu jednak dojść do słowa - zaproponowała Inia.

Bob spojrział na nią przelotnie, był jednak zbyt poruszony tym, co miał do zakomunikowania, by złożyć jej należne podziękowanie.

- Słuchajcie, teorię Bodrina można zastosować w praktyce - oznajmił z ogniem w oczach. - Wiecie już, że kiedy mnie przysłano do tego statku, nie zabrałem się od razu do reperacji anten, bo przedtem chciałem przeprowadzić pewną próbę. Wówczas pracę przerwała mi katastrofa w górach, ale teraz zakończyłem prowizoryczny montaż mojego urządzenia. Mój aparat działa! Działa! Iniu, Bodrin miał rację! Przy tej planetoidzie znajduje się także statek ekipy zero-jeden... z Piotrem i jego ojcem na pokładzie! Nie wiem, czy teraz jeszcze żyją, ale słyszałem ich głosy...

- Och! - wykrzyknęła cicho Inia. - Bob!... - nie mogła powiedzieć nic więcej.

- Głosy! Jakie głosy? Kiedyś grasowali na Ziemi szaleńcy, którym wydawało się, że słyszą głosy pochodzące

z innego świata - Mamma po swoim bronila się przed ogarniającym ją wzruszeniem. Ale Bob potraktował jej słowa jak najbardziej serio.

- Owszem - rzekł. - Te głosy naprawdę pochodzą z innego świata, w każdym razie nie z tego, do którego przyzwyczaiły nas dotychczasowe życie i dotychczasowa nauka. Wszyscy uczyliśmy się o wszechświecie jako o jednorodnym czterowymiarowym kontinuum... To szkolna matematyka - wtrącił patrząc porozumiewawczo na Maię i Irka, zapewne w przekonaniu, że kto jak kto, ale oni od razu i dokładnie pojmą różnicę między jedną matematyką szkolną a mnogością matematyk istniejących w kosmosie. - Tymczasem - ciągnął - to kontinuum nie musi być ani jednorodne, ani czterowymiarowe. Tak zresztą brzmi istotna przesłanka teorii Bodrina. Chodzi o nowe pojmowanie geometrii czasoprzestrzeni, a nawet...

- Bob... - Inia przygryzła wargi. Przez chwilę wydawało się, że wybuchnie płaczem.

Opanowała się jednak. - Bob - powtórzyła cicho.

To wystarczyło.

- Tak, tak! - zawołał natychmiast rudy dryblas. - Zostawmy teraz teoretyczne roztrząsania! Grunt, że już pierwsza próba okazała się szczęśliwa! Chodźcie! -chwycił Inię za rękę i pociągnął w stronę korytarza.

Wszyscy pobiegli za nimi.

Bob rozstawił swoją aparaturę w pomieszczeniu, gdzie zwykle przewozi się małe pojazdy pomocnicze. Ponieważ w czasie ostatniego lotu rakieta nie zamierzała lądować, ładownia była pusta. Teraz stała tutaj ażurowa, kulista konstrukcja, przypominająca szkielet globusa, w otoczeniu małych cylindrycznych stojaków podobnych do trójwymiarowych projektorów. Pod globusem znajdował się niewielki, zaimprovizowany pulpit sterowniczy.

- To jest model przestrzeni sferycznej czasu - wyjaśnił Long. W tej kuli załamują się fale grawitacyjne... i nie tylko one. Zresztą mniejsza z tym. Zatrzymałem aparaturę, w momencie kiedy... Ale posłuchajcie sami - wcisnął jeden z klawiszy.

Coś miauknęło, po czym zabrzmiał spokojny męski głos:

- Jeśli dobrze obliczyłem, punkt, w którym ulega zniekształceniu tor transportowców i linie przesyłowe energii, jest dokładnie przed nami.

- Przed sobą mamy planetoidę T-dwadzieścia jeden - odpowiedział inny mężczyzna.

Na dźwięk tego głosu Inia wydała cichy, przejmujący okrzyk:

- Piotr! To jest Piotr! Och, Bob!... Bob!...

- Odległość minus osiem - padło z głośnika.

- Podchodzimy?

- Oczywiście. Czujniki w porządku - zameldował Piotr. - Minus siedem.

- Stop, główne dysze.

- Stopuję.

- Minus sześć.

- Uwaga! Alarm! Zanik...  
Rozległ się suchy trzask, po czym nastąpiła cisza. Robert Long otarł dłonią czoło, na którym ukazały się kropelki potu.  
- Słyszeliście zapis rozmowy sprzed dwóch miesięcy... Nie, co ja mówię! To my cofnęliśmy się o te dwa miesiące i odbieraliśmy za pośrednictwem zwykłych anten rozmowę, którą prowadziła wtedy ekipa zero-jeden.  
- Poczekaj - Dutour uprzedził Inię, która mocno zacisnęła powieki i chciała coś powiedzieć. - Poczekajcie. Czy to - wskazał ręką aparaturę Boba - potrafi określić kierunek, z którego dobiegały głosy Piotra i jego ojca?  
- Oczywiście! - rzekł z satysfakcją rudzielec. - Od razu o tym pomyślałem. Widzicie? - wskazał sieć przewodów znikających w ścianie. - Połączyłem mój aparat z głównym komputerem statku. Komputer obliczył kurs. Znamy teraz drogę do miejsca, gdzie Filip Gomera i jego syn utracił łączność ze światem. Zapewne właśnie wtedy wpadli w pole siłowe istniejące przy tej planetoidzie. Nawet nie wiedziałem, że ona nosi symbol T-dwadzieścia jeden. Możemy lecieć.  
- No, to lećmy, lećmy! - zawołała Mamma.

Silniki statku rozwijały jedną tysięczną część swojej podróźnej mocy. Na ekranie, nad fotelami pilotów, powolutku rosło maleńkie ciało kosmiczne, zawieszona w próżni skalna bryła.  
- Odległość minus dziewięć - rzekł Dutour. Rakietę jeszcze bardziej zwolniła. Gwiazdy w sztucznych iluminatorach znieruchomiały. Ktoś w drugiej kabinie zakaszał nerwowo.

- Minus osiem.  
- Oni podeszli na minus sześć - mruknął Din.  
- Ale już nie wrócili - zauważył Long. - Dosyć. Stopuję.  
- Minus siedem trzydzieści - poinformował Dutour. Statek zatrzymał się. Główny pokładowy komputer automatycznie miał go odtąd utrzymywać w nie zmienionej odległości od niebezpiecznej planetoidy.  
Bob pochylił się nad pulpitem sterowniczym. Obraz na ekranie powiększył się. Zaczerniała nieregularna bryła obracająca się niesłychanie wolnym ruchem na tle nieba.  
- O! O! O! - rozległy się nagle zmieszane okrzyki. Planetoida leniwie przekoziółkowała i odsłoniła niewidoczną dotąd część swojej powierzchni. Ukazały się przywarte do skały dwa statki tworzące osobliwą narośl na nieregularnej, kosmicznej łupinie.  
- Oni... - wykrztusiła zdławionym głosem Mamma.  
- To tam jest ten Skiba? - szepnął jakby do siebie chudy szczęśnik.  
- Tak - odrzekł równie cicho jego były sąsiad i rywal. Tak. On oraz wiele innych ludzi...  
Dutour zerwał się nagle z fotela.

- Truszku! - zawołał z rozpaczą. - Truszku! Widzisz?? To tak blisko! Nie możesz tam polecieć, i zrobić tego, co wczoraj?! Absolutnie nie możesz?!  
- Nie - brzmiała odpowiedź. - Nie mogę. Nie wolno mi opuścić c z ł o w i e k a. A ten jest tutaj.

- Poczekajcie - Angelus Ranghi wstał także i zaczął przechadzać się po sterowni. - Poczekajcie. Muszę pomyśleć...

Mamma odwróciła się i utkwiała zaniepokojone spojrzenie w Auguście Skibie. Ale i on - chyba po raz pierwszy od wielu, wielu lat - czekał cierpliwie, co powie grubas.

Ranghi przez minutę nie mówił nic. Nagle stanął.

- Robercie - zwrócił się do młodego dryblasza - Robercie. Robercie...

- No, wykrztuszę wreszcie... - zaczęła Mamma, ale skarcona ostrym „psst!” Dutoura, umilkła.

- Robercie - powtórzył jeszcze raz grubas. - Ta twoja aparatura przeniosła nas wszystkich, jak tu jesteśmy, w czasie... Czy jej działaniu można poddać także pojedynczego osobnika?

Long rozłożył bezradnie ręce.

- Teoretycznie tak. Jednak nigdy tego nie próbowałem. Musiałbym przeprowadzić znacznie więcej wstępnych eksperymentów, zanim mógłbym poddać człowieka tego rodzaju próbie. Jeśli chodzi o łączność głosową z przeszłością, to sprawa jest bezpieczna. Najwyżej coś się

nie uda. Jednak przeniesienie w przeszłość... nie wiem. Wprawdzie nie byłoby to, rzecz jasna, przeniesienie materialne, takie, żeby ten ktoś znalazł się nagle duchem i ciałem, powiedzmy, na dworze Amenhotepa Średniego... tylko chwilowe przekształcenie świadomości... ale różnica jest bardzo delikatna, a zabieg wymagałby podłączenia mózgu delikwenta bezpośrednio do aparatury.

- Rozumiem - Angelus Ranghi skinął głową. -A gdyby nie chodziło o człowieka?

- Co?

- Jak to?

- Cicho! - wykrzyknął Dutour. - Angelusie! Jesteś genialny!

- Nie pojmuję... - Bob patrzył to na jednego, to na drugiego. Widać było aż nadto wyraźnie, że naprawdę nic nie pojmuję.

- No, pomyśl tylko! - zachęcał go ojciec Mai. -Wczoraj zmieniono program komuś, kto uratował tutaj ekipę zero-dwa. Komuś, kto - na skutek tej zmiany -dzisiaj nie może już powtórzyć swojego wyczynu. A gdyby na godzinę lub dwie zamienić dzisiaj na wczoraj? - No?...

Bob powoli przeniósł spojrzenie na Truszkę. Myślał jeszcze przez parę sekund, po czym oczy mu zabłyśły. Z o-krzykiem: - Zaraz! Muszę coś zmienić! - wybiegł.

Wszyscy ruszyli za nim do ładowni.

Bob zdjął z podstawy swoją magiczną kulę, uniósł ją i, trzymając w wyciągniętych rękach, zwrócił się do Truszkę:

- Chodź tutaj!

- Co mu chcecie zrobić? - zaniepokoił się Irek. Ale sam Truszek nie znalazł nic podejrzanego w tym zaproszeniu. Zbliżył się i bez protestu pozwolił sobie umieścić na swojej blednej, spłaszczonej głowie ażurową kulę, którą Bob otworzył jak rozciętą pomarańczę.

Przyozdobiwszy w ten sposób automat, rudzielec zajął się przyciskami na pulpicie.

- No, Truszkę! - zawołał po chwili. - Co tam?

- Nie rozumiem - odrzekł zapytany. - Tam, to znaczy: gdzie?

- Nic nie czujesz? Zupełnie nic?

- Czuję, że mam na głowie osłonę w postaci otwartej kuli.

- Do licha! - nie wytrzymała Mamma. - Może wreszcie ktoś raczy mi wyjaśnić, co się tu właściwie dzieje?!

- Irku, włóż skafander - rzucił zamiast odpowiedzi Long.

Chłopiec bez namysłu ruszył w stronę śluz. Otworzył drzwi i, nie zamykając ich za sobą, wezwał pomocniczy automat, żeby go przygotował do wyjścia w kosmos. Był już w kompletnym próżniowym stroju, kiedy do śluz wpadł Truszek, z banią na głowie, ciągnąc za sobą nitki zerwanych przewodów. Tuż za Truszką do ciasnego pomieszczenia wpadł Long, a za nim Dutour.

- Nie dopuszczę do wyjścia człowieka na zewnątrz - powtórzył swoje Truszek.

- Ale ty przecież jesteś już wczoraj! - wrzasnął zrozpaczony Bob. - Wczoraj, tępa pała! To znaczy, że doktor Skiba jeszcze nie wprowadził do twojego programu zmian, które uniemożliwiają ci opuszczenie Irka! On wyjdzie i z kosmosu prześle ci wezwanie. Wtedy ty polecisz i uwolnisz statki!

- Żałuję, ale wcale nie uważam, aby było teraz w c z o r a j - odrzekł automat. - W moim programie nie zaszły żadne zmiany. Przepraszam - zakończył jak zwykle uprzejmie.

- Myśl była dobra - orzekła Mamma, do której dotarło w końcu, na czym polegał chytry plan grubego szczęśnika - ale niezupełnie. Twoja aparatura - spojrzała zjadliwie na Boba - jest, jakby tu powiedzieć...

- Do bani - odpowiedział zmartwiony Long.

- No, zgódźmy się, że niedoskonała - sprostowała łaskawie Mamma. - Tak czy owak, nie sądzę, ażebyś zdołał coś osiągnąć, nazywając Truszkę „tępą pałą”...

- Ja się nie gniewam - rzekł z godnością automat. -Przedmiot, który mam na sobie, uzasadnia takie określenie...

- A ja i tak przepraszam - zreflektował się Bob. - Jestem zdenerwowany.

- To zrozumiałe - przyznał Truszek. - Ludzie się denerwują. Nawiasem mówiąc fakt, że nie odczuwam działania aparatury, o której tu mowa, wcale jej nie dyskwalifikuje. Popelniono bowiem drobne przeoczenie.



- Jakie?! - krzyknęli równocześnie Long i Dutour.  
- Niestety, nie mogę tego wyjaśnić - odrzekł Truszek. - Wasz plan zmierza bowiem do tego, aby mnie wprowadzić w błąd i w ten sposób umożliwić człowiekowi opuszczenie statku. Jest rzeczą oczywistą, że nie mogę uczestniczyć w realizacji takiego planu.  
- Spróbuj sam to sobie wsadzić na głowę - doradził Bobowi August Skiba. - Nastaw aparaturę na jak najmniejszą moc, żebyś nie zwariował, i zaryzykuj. Może wtedy zrozumiesz, o co tej puszcze chodzi...  
- Na głowę... na głowę... - powtórzył z namysłem Irek! - Czekaście! Właściwie dlaczego umieściliście tę kulę na głowie Truszka?  
- No, bo przecież chodzi o to, że aparatura musi mieć bliski kontakt z mózgiem... - Long urwał. Załamał ręce, jęknął, po czym wybuchnął: - Truszkule! Gdzie ty właściwie masz głowę?!  
Pierwsza zachichotała Mamma. Zawtórowali jej obaj szczęściny i Dutour. Nawet Maia i Din zdobyli się na uśmiech. Tylko Inia, Long i Irek zachowali kamienny spokój.  
- Brawo, Irku! - rzekł poważniejąc ratownik. - Jak to dobrze, że przynajmniej jeden z nas zachował szczyptę zdrowego rozsądku.  
- To nie moja zasługa. On sam mi powiedział, że głowa nie jest jego najważniejszym organem.  
- Truszkule - ojciec Mai zwrócił się z kolei do bezpośrednio zainteresowanego - gdzie u ciebie znajduje się mózg... to znaczy... no, wiesz, o co mi chodzi?  
- Wiem. W centralnej części korpusu.  
Dutour obrzucił niepewnym/spojrzeniem stożkową postać.  
- A tak trochę dokładniej?  
- Centralny węzeł informatyczny znajduje się dwadzieścia pięć centymetrów poniżej górnej pokrywy.  
Dwadzieścia pięć centymetrów poniżej płasko ściętego wierzchołka, ozdobionego tak żałośnie teraz wyglądającą główką. Truszek był lekko zwężającą się ku do łowi rurą.  
Mamma popatrzyła z powątpiewaniem na Boba.  
- No i co zrobisz? - spytała. - Potrafisz wsadzić kulę na rurę?  
- Co? - zdziwił się rudzielec. Zaraz jednak odzyskał pewność siebie. - Pewnie, że potrafię!  
Dziesięć minut później nikt nie musiał już o nic pytać. Magiczny globus, podzielony na dwie półkule, został przymocowany do korpusu Truszka, który wyglądał teraz jak średniowieczny rycerz przystępujący do szczególnie niebezpiecznej potyczki, i dlatego zabezpieczony aż dwiema tarczami przytwierdzonymi i z przodu, i z tyłu. Pod półkulami Long umieścił jeszcze jakąś skrzynkę, a także ogniwa energetyczne. Automat nie mógł przecież lecieć w kosmos, ciągnąc za sobą przewody, które go łączyły z komputerem statku.  
Kiedy wszystko było gotowe, asystent Bodrina spytał:  
- Irku, o której wczoraj twój ojciec zmienił program Truszka?  
- Chyba późnym wieczorem, a nawet już w nocy. Bal zaczął się po południu, potem były jeszcze te jaskinie i laboratoria, i powrót ekipy...  
- Truszek musi się znaleźć przed momentem, kiedy to nastąpiło - wyjaśnił swoje zainteresowanie Bob. - Ale nie nazbyt wcześnie. Powinien przecież jak najprędzej wrócić do programu, który jest w nim zapisany teraz... Oczywiście, po wykonaniu zadania... - Młody naukowiec westchnął, po czym spojrzął z powagą na stojącego przed nim chłopca w kompletnym próżniowym skafandrze. - No, Irku, twoja kolej. Gdyby moja aparatura była już wypróbowana i sprawdzona, mógłbyś zostać tutaj, nie narażając się na nieprzyjemne niespodzianki w kosmosie, bo wczorajszy Truszek posłuchałby przecież twojego rozkazu. Ale - rozłożył ręce - niestety, nie mam pewności, czy urządzenie nie przestanie działać za, powiedzmy, pięć minut. Albo za dziesięć. A gdyby tak miało się stać, to lepiej, żeby twój automat był wtedy blisko ciebie. Po powrocie do dzisiaj mógłby zrobić coś, co zepsułoby naszą akcję. Rozumiesz? Po wyjściu ze statku słuchaj pilnie, co będziemy do ciebie mówić, i steruj ściśle według naszych wskazań. Będziemy cię prowadzić. Nie możesz lecieć prosto w stronę planetoidy T-dwa-dziesięć jeden, bo sam dostałbyś się w to jakieś pole siłowe, które ona wytwarza. Musisz ją ominąć i stanąć poza nią, tak żeby oba uwięzione statki znalazły się dokładnie na przecięciu linii, która będzie łączyć ciebie z nami tutaj. Wtedy dopiero wezwiesz Truszka. On oczywiście poleci do ciebie najkrótszą drogą... i, chcąc nie chcąc, otrze się o tę pigułę, uwalniając obie ekipy. Zrozumiałeś?

- Tak - Irek przełknął nerwowo ślinę. Następnie wyprostował się i nie patrząc na nikogo z obecnych poszedł w stronę włazu.

Młasnęły zamykane wewnętrznie drzwi. W służbie pozostali tylko Irek i Truszek.

- Słyszysz mnie? - słuchawki chłopca odezwały się głosem Dutoura.

- Tak.

- Pamiętaj, żeby zostawić właz otwarty. Inaczej Truszek, odebrawszy twoje wezwanie, rozwaliby rakieta.

- Tak - rzekł po raz trzeci Irek.

Otworzył właz. Objęła go czarna noc próżni. Z miejsca gdzie stał, nie widział ani Słońca, ani Jowisza. Za to dokładnie na wprost niego świeciła kolorowa bryłka wielkości czereśni. Saturn - odgadł chłopiec.

Był bardzo daleko od swego rodzinnego Marsa. A jeszcze dalej od Ziemi.

Dał krok do przodu, wyjmując równocześnie zza pasa pistolecik gazowy, którego odrzut miał mu zapewnić możliwość sterowania swoim ciałem w międzyplanetarnej przestrzeni. Truszek stał spokojnie w miejscu. Nie miał zamiaru przeszkadzać swojemu podopiecznemu w opuszczeniu bezpiecznej rakiety. Urządzenie Boba Lon-ga zdało egzamin. Irkowi przemknęła jeszcze przez głowę myśl, jakie to dziwne, że za nim stoi Truszek z w c z o - r a j. Następnie odbił się lekko od progu i głową naprzód, rozkładając ramiona jak na ćwiczeniach z kociej akroba-tyki, poszybował między gwiazdy.

- Człowieku - dobiegł go metaliczny głos. - Człowieku, czekam na wezwanie.

## **Drugi pierwszy bal na Pięciu Księżycach**

Granica rejonu Wielkich Planet. Granica dzieląca świat Słońca i Ziemi - zasiedlony, pełen miast, ogrodów i obiektów satelitarnych - od tajemniczej pustki, gdzie człowiek dopiero ostrożnie stawia pierwsze kroki. Na obszarze planetoidów pracowały wprawdzie laboratoria kosmiczne, tworzono tam już nawet chroniony park krajobrazowy, ale im bliżej ogromnego, posępnego Jowisza z jego nieokiełznanym promieniowaniem i dzikimi burzami targającymi trującą atmosferę, tym mniej było osad i ludzi. Gwiazdziniec na Ganimedzie powstał jako pierwszy w tym rejonie powszechnie dostępny obiekt turystyczny. Dalej był Saturn, na którego księżycach znajdowały się już tylko dwie bazy badawcze, a dalej - jedynie lodowata noc wszechświata, z nielicznymi, automatycznymi stacjami Instytutu Galaktycznego.

Na tej to granicy, w przestrzeni oświetlonej trzema słońcami, z których tylko jedno było prawdziwe, chociaż blaskiem nie dorównywało ponuremu Jowiszowi, pojawiła się mikroskopijna sylwetka człowieka w skafandrze. Ale ten intruz należał do rozumnej rasy, która myślami już dawno ogarnęła cały bezmiar wszechświata, a teraz z powodzeniem zaczynała w nim gospodarować.

- Jeszcze na Syriusza - zabrzmiał w słuchawkach Irka głos Dutoura. - Odrobinę w lewo... tak...

Chłopiec posłusznie zmieniał położenie pistolecika gazowego, który trzymał z tyłu, w wyciągniętej ręce. Pozwalał kierować sobą ludziom siedzącym przed ekranem w kabine wielkiego statku i mającym do dyspozycji komputer, który precyzyjnie obliczał kurs samotnego pływaka próżni. W tej chwili ten kurs prowadził w przedłużeniu prosto w Syriusza, jedną z najjaśniejszych gwiazd na niebie Ziemi.

Mijały sekundy. Z sekund powstawały minuty. Irek odbył już daleką drogę od włazu rakiety. Planetoida T-dwa-dzieścia jeden powoli pozostawała poza nim.

- Uwaga. Przejdź na kierunek Oriona. Irku, słyszysz? Przejdź na kierunek Oriona. Widzisz Betelgeuse?

- Widzę - odpowiedział zgodnie z prawdą chłopiec, przesuając pistolecik w odpowiednim kierunku.

Pociągnął za spust i poczuł, że jego ciało znowu odrobinę przyśpiesza.

- Dobrze. Wystarczy. A teraz prosto jak strzelił na Al-debarana. W konstelacji Byka. Trochę bardziej na prawo... dobrze. Już jesteś na przedłużeniu linii prostej łączącej statek z planetoidą. Musisz się tylko oddalić na bezpieczną odległość. Kiedy powiem: „już”, będziesz mógł wezwać Truszkę. A potem natychmiast odbijaj pod kątem prostym do dotychczasowego kursu. Pamiętaj, że jeżeli Truszkowi uda się dobrze dmuchnąć z dyszy w to świństwo i uwolnić

statki, to one przez jakiś czas będą lecieć za nim. Mógłbyś się dostać w ich odrzut... No, Irek... uwaga... Hej, co się dzieje?! - głos Dutoura podskoczył raptownie o kilka tonów.

- Halo! - zawołał zaniepokojony chłopiec. Równocześnie wykonał gwałtowny ruch, który sprawił, że jego ciało odwróciło się o sto osiemdziesiąt stopni. Planetoida T-dwadzieścia jeden znalazła się w ten sposób na wprost niego. Wyglądała jak nieregularna, spiczasta skała wyrwana z górskiego pasma.

- Irek! Irek!

- Jestem. Co, mam go wezwać?!

- On już poleciał!

W tym momencie planetoida stanęła w ogniu. Równocześnie zaczęła gwałtownie rosnąć. W próżni tylko po

tym, że coś się powiększa, można poznać, że to coś szybko zmierza w naszą stronę,

Nagle od maleńkiego globu odprysnęła srebrna iskra i, zamiast zgasnąć, rozpałała się do białości. W słuchawkach Irka rozległ się wibrujący gwizd. Ułamek sekundy później „iskra” przeistoczyła się w małą raketę. A jeszcze chwilę potem chłopiec rozpoznał w tej rakiecie Truszka.

- Tak, tu zero-trzy - głos Bodrina dźwięczał tak mocno, że dotarł do Irka mimo huku dyszy napędowych zbliżającego się błyskawicznie stożkowatego automatu. -W porządku, Sven. W porządku. Bob. Nie, tym razem nasze anteny ocalały. Tylko ta piguła, przy której siedzieliśmy, wygłusza fale... Co z ekipą zero-jeden? Nie mamy ich namiaru.

- Ja także go nie mam - odrzekł bardzo daleki i zniekształcony głos należący jednak bez wątpienia do Svena Svenssona.

- Ani ja - zazgrzytał chrypiącym dyszkantem Bob Long. Odbiór stawał się coraz gorszy.

- Hej! - krzyknął co sił w płucach Irek. - Hej! Co się dzie...

Musiał przerwać w pół słowa. Truszek był już bardzo blisko, I leciał wprost na niego.

Chłopiec rozpaczliwie nacisnął spust pistolecika. Jego ciało zaczęło nabierać szybkości, ale to było i tak za mało jak na tempo kosmicznej karawany. Bo Truszek nie był sam. Za nim leciał jakiś wielki walec błyszczący najczystszy złotem. A nieco w tyle podążał tym samym torem statek. Rakietą, taka sama jak ta, która przywozła Irka i jego współpasażerów w to groźne miejsce.

Chłopiec wciąż jeszcze trzymał palec zaciśnięty na spuście pistolecika, kiedy poczuł gwałtowne uderzenie. Pociemniało mu w oczach. Jego głowa uderzyła z całą - siłą o tył kasku, odbiła się i poleciała z kolei do przodu. Równocześnie zaczął się kręcić w próżni jak rozpędzony bąk. Słyszał wycie, które zagłuszyło głosy ludzi, potem przeraźliwy gwizd, aż w końcu nastała cisza.

- Halo, zero-trzy! Wywołuję zero-trzy! - krzyczał Svensson.

- Tu zero-trzy - odpowiedział Artur Manners.

- No, wreszcie! Już myślałem, że znowu coś się stało.

- Nic się nie stało. Odbierasz sygnał namiarowy ekipy zero-cztery?

- Tak.

- A zero-jeden?

Minęło kilkanaście sekund, zanim Sven, siedzący w dalekiej bazie na Ganimedzie, wykrztusił:

- Znalezliście?...

- Znaleziliśmy - odrzekł zwięźle Manners. - Ale odleciał z tą planetoidą w przeciwną stronę niż my. No, więc masz jego namiar czy nie?

- Nie...

- W takim razie nie wywołuj nas teraz. Mamy trochę pracy.

- Trochę pracy - powtórzyła z gorzką ironią Mamma słuchająca tej rozmowy w kabinie statku ekipy zero-cztery. - Wystali chłopca samego jak palec, a teraz... - nie mogła powiedzieć nic więcej.

- Trochę pracy - siedzący obok Mannersa Bodrin pokiwał głową. - Słusznie, synu. Mamy trochę pracy. Pracy na ładnych kilka lat, a potem wieków, a potem tysiącleci... I tak dalej. Pracy jest tyle, ile się jej mieści w całym nieskończonym wszechświecie. Ale na razie musimy odszukać Irka. No i statek ekipy zero-jeden.

- Halo, Irek! Halo, Irek! - wołał nieprzerwanie Bob Long. - Halo! Irek nie odpowiadał.

- Uwaga, zero-cztery - Bodrin zdecydował się zająć miejsce Mannersa. - Krótko, jak to było?

Wysłuchawszy zwięzłej relacji swego asystenta o wszystkim, co poprzedziło start rakiety z ganimedzkiej pustyni, a także o wydarzeniach, jakie miały miejsce już w przestrzeni, powiedział:

- Więc Truszek wystartował, chociaż chłopiec nie przesłał mu jeszcze tego zastrzeżonego wezwania. Dlaczego?

Tym razem wyjaśnienie trwało nieco dłużej. Profesor nie wiedział przecież, że Long na podstawie jego teorii ujemnej cięciwy czasu już skonstruował aparat, który przeniósł Truszkę z dzisiaj do wczoraj. A asystent z kolei nie był zupełnie pewien, jak słynny uczyony przyjmie wiadomość, że on - zamiast naprawiać anteny - zajmował się sprawdzaniem urządzenia, które najpierw pozwoliło mu podsłuchać rozmowę sprzed dwóch miesięcy, a potem umożliwiło uwolnienie Irka spod zbyt troskliwej opieki automatu.

Profesor jednak mruknął tylko: - Pogadamy potem - i przeszedł do pilniejszych spraw.

- Przekażcie naszemu komputerowi dokładne dane dotyczące kursu Truszki przed spotkaniem z planetoidą. Określcie, gdzie był Irek, kiedy ostatni raz mieliście z nim Kontakt. T-dwadzieścia jeden zmienia orbitę. Prawdopodobnie stanie się za kilka dni nowym księżycem Jowisza. O nią na razie nie musimy się troszczyć. A Irka i ekipy zero-jeden będziemy szukać wspólnie.

- Tak jest.

Obie rakiety szły już obok siebie. W gwiazdnej przestrzeni przed nimi znajdował się syn doktora Skiby.

Jak wynikało z obliczeń, zaraz po natarciu Truszki na T-dwadzieścia jeden chłopiec znalazł się na jego kursie. A za Truszką leciał przecież uwolniony, milczący statek. Gdzieś w pobliżu dryfowała ponadto wytracona ze swojej orbity planetoida...

- Tato... - powiedziała cicho Inia. - Czy słyszysz mnie? Łączność działa teraz normalnie.

- Oczywiście - odpowiedział natychmiast doktor Skiba.

- Wiesz, kto tam jest?

- Wiem. Teraz już wiem. Ta rozmowa, którą urządzenie Boba przekazało nam z przeszłości, została przed chwilą zapisana w pamięci komputera także i naszego statku. Wysłuchaliśmy jej wspólnie z Karolem, bratem Piotra. On siedzi teraz obok mnie. Uważa, tak samo jak ja, że skoro rakieta zero-jeden nie została uszkodzona, to jego ojciec i Piotr mogli przeżyć te dwa miesiące. Bądź dobrej myśli. Na razie szukamy Irka.

- Tak, tato. Szukamy Irka... - powtórzyła jak echo dziewczyna i umilkła.

W sterowniach obu statków zapanowała cisza. Wszyscy wpatrywali się w ekrany szybkich radarów.

Irek uniósł powieki. Wydało mu się, że spał. Mruknął coś niechętnie i na powrót zamknął oczy. Przecież jest zupełnie ciemno. A skoro tak, to nie musi jeszcze wstawać...

- Szukamy Irka - usłyszał w tym momencie głos ojca. Błyskawicznie zerwał się z łóżka... to znaczy, wywinął koziołka w próżni i od razu przypomniał sobie, gdzie jest.

- Irek Skiba! Irek Skiba! - zabrzmiał w jego słuchawkach głos Dutoura. - Wzywam cię! Odezwij się!

- Jestem... - chciał krzyknąć, ale zapał tylko jak nieopierzony kogucik, który podjął pierwszą w życiu próbę oznajmienia światu o swojej na nim obecności. Odchrząknął, odetchnął kilka razy i rzekł powoli, oddzielając sylaby: - Sły-szę was. Ha-lo! Sły-szę was. Przy-leć-cie po mnie.

Ratownika zastąpił Robert Long:

- Irek Skiba! Irek Skiba! Tu ekipa zero-cztery!

„Nie słyszą - stwierdził w duchu chłopiec. - Nie słyszą. Naprawdę dość by już było tych wiecznych kłopotów z łącznością. Ale dlaczego właściwie nie słyszą?”

Nagle uderzyła go inna myśl. Przecież oczy ma szeroko otwarte. A mimo to nie widzi gwiazd. Nie widzi nic, zupełnie jak w zasypanej jaskini. W przestrzeni jest wprawdzie czarno, ale gwiazdy świecą zawsze.

Uniósł ramiona i zaczął trwożnie obmacywać rękawicami kask, kryzę, potem cały skafander. Badał swój próżniowy strój uważnie i długo. Wreszcie nabrał pewności, że skafander jest cały, i dopiero wtedy przestraszył się naprawdę. Oczy! Jego oczy! Pamiętał, że Truszek, ciągnąc za sobą płomienisty warkocz odrzutu, przemknął tuż obok niego. Czyżby ten blask go oślepił?!

- Tato!!! - wrzasnął.

Nikt nie odpowiedział. Chłopiec czekał chwilę, po czym gorączkowo potrząsnął głową. Wtedy dokonał dziwnego odkrycia. A właściwie dwóch odkryć. Po pierwsze stwierdził, że nie ma mikrofoniku, który znajduje się w każdym kasku na wprost ust kosmonauty. A po drugie, poczuł, że koniec jego nosa dotyka czegoś lepkiego i ciepłego, co pływa przed jego twarzą. W skafandrze nic nie może pływać. To przecież nie beczka na astro-colę. A poza tym próżniowe okrycia głowy są tak skonstruowane, że człowiek, choćby nie wiem jak chciał, nie może dotykać końcem nosa przezroczystej osłony twarzy. Chyba że miałby nos wielkości dorodnego ogórka...

„Spokojnie. Tylko spokojnie - powiedział sobie w duchu. - Skoro coś pływa mi przed oczami, może nie oślepiłem, tylko to coś zapaskudziło szybę kasku. Katastrofa katastrofą, jednak nie ma katastrof, w wyniku których ludziom wydłużałyby się nosy. Nikt mnie nie słyszy, ale jak niby miałby słyszeć, jeżeli nie mam mikrofonu. Co się z nim stało? Połknąłem go? Powiedzmy, że połknąłem. W takim razie - mimo wszystko - powinni odbierać mój sygnał namiarowy. Przecież nadajniczek wszyty w skafander jest na swoim miejscu... sprawdziłem to przed chwilą”.

W tym momencie jego plecy zetknęły się z czymś dużym i masywnym. Dotknięcie było łagodne, ale czego niby może dotknąć kosmonauta zabłąkany w bezkresnej międzyplanetarnej pustce?

- Proszę, niech człowiek się nie rusza... Rozpaczliwy wrzask, którym Irek miał zamiar zaprotestować przeciw swej nowej, absurdalnej przygodzie, zamienił się w zdławiony radością szept:

- Truszek?...

- Przepraszam, że przybywam tak późno, ale musiałem odprowadzić nie zidentyfikowany obiekt na bezpieczną odległość. Poza tym przez jakiś czas nie odbierałem kodu namiarowego, ponieważ pomiędzy mną a człowiekiem znalazła się planetoida T-dwadzieścia jeden.

Chłopiec zrozumiał, dlaczego ojciec, Bodrin i inni nie odbierali sygnałów jego automatycznego nadajniczka. Skoro był zasłonięty przez tę całą planetoidę... Zagadką pozostało jeszcze nagłe pojawienie się automatu XX B-czteryście siedem.

- Skąd się tu wzięłeś? Przecież cię nie wzywałem? - spytał.

- Zgodnie z programem muszę być stale w pobliżu człowieka a...

- No tak, zgodnie z twoim dzisiejszym programem. Ale ty jesteś teraz wczoraj?...

- Przepraszam. Chyba źle usłyszałem. To dlatego, że człowiek ma uszkodzony mikrofon wewnątrz kasku.

- Truszkule! - chłopiec przypomniał sobie raptem o swoim największym zmartwieniu. - Ja nic nie widzę!

- Osłona twarzy człowieka jest pokryta od wewnątrz nieprzeźroczystą substancją - padła odpowiedź.

- Co to jest?! - Irek zmienił nagle ton, ponieważ znowu dotknął czegoś nogami.

- Człowiek znajduje się na powierzchni planetoidy T-dwadzieścia jeden - odrzekł spokojnie Truszek. - Jeśli natomiast chodzi o organ wzroku, należałoby tylko jak najszybciej wymienić kask na nowy. Tu, w pobliżu, jest statek...

- Planetoidy?! Jestem na planetoidzie?! A czy na niej już nie ma tego świństwa, które

chwyci rakiety?!...

- Nie. Statki unieruchamiał nie zidentyfikowany obiekt, wbity głęboko w skałę. Tym razem przeleciałem bardzo blisko planetoidy. Światło ognia odrzutowego mojego silnika było tak ostre, że ten obiekt wyrwał się i podążył za mną.

- Czy wiesz, co to było? - ciekawość przemogła ból, który Irkowi coraz wyraźniej dawał się we znaki.

- W mojej pamięci brak danych, które pozwoliłyby mi dokładnie scharakteryzować obiekt. Tak samo, jak w dysku, nie było w nim śladów życia. Miał kształt walca o zaokrąglonych końcach. Był barwy złocistej. To wszystko.

- Nos mnie boli - poskarżył się teraz dopiero chłopiec.

Truszek zaczął się spieszyć. Irek poczuł, że chwytają go elastyczne wysięgniki i że nabiera szybkości.

- Dokąd lecimy? - spytał żałośnie.

- Namiar!!! Namiar!!! Irku, wiemy już, gdzie jesteś! Irku!

- Za to ja nie wiem, gdzie jestem - odburknął chłopiec. Usłyszeli go wreszcie. Nic dziwnego Skoro dotych-

czas był zasłonięty przez tę T-dwadzieścia jeden, a teraz Truszek unosił go w wolną przestrzeń, to musieli go usłyszeć.

- Zero-cztery, start! Zero-trzy, start!

- Tak jest!

- Tak jest!

Głosy dochodzące z kabin statków, których załogi odebrały w końcu jego sygnał namiarowy, nie wywarły na Irku większego wrażenia. Ma przy sobie Truszkę. I tak jest ocalony.

Dłonie chłopca oparły się o jakąś metalową płytę. W następnej chwili usłyszał cichy zgrzyt, a potem charakterystyczny stuk ciężkiej kłapy włazu.

- Gdzie jesteśmy?

- W śluzie statku, który wszedł na orbitę Jowisza razem z planetoidą T-dwadzieścia jeden. Musiałem otworzyć wejście, posługując się awaryjnym zamkiem mechanicznym. Automaty śluzy nie działają.

- Co to za statek?! - Irek natychmiast zapomniał o swoim podejrzeniu wielkim i bolącym nosem. - Czy tu jest ojciec?

- Nie. Ta rakieta nie wysłała żadnych sygnałów.

- Znowu głucho! - Dutour uderzył zaciśniętą pięścią w pulpit. - Cóż się, u licha, dzieje?! Przed chwilą odbieraliśmy jego sygnały namiarowe, jakby nigdy nic... aż tu nagle masz!

- Czy mogło mu się coś stać, właśnie teraz? - spytała cicho Inia.

Bob potrząsnął energicznie głową.

- Nie. Dokoła nas w kosmosie panuje już spokój. Jeśli Irkowi przedtem nic się nie stało, to obecnie jest zupełnie bezpieczny. Musi mieć po prostu uszkodzony nadajnik, który na moment wznowił pracę, a potem znowu umilkł.

- W każdym razie lećmy jak najprędzej tam, skąd przyszły te ostatnie sygnały!

- Przecież lecimy - uspokoił zdenerwowaną Mammę doktor Skiba. - Ale nie możemy rozwijać pełnej szybkości. Nie wiemy, w którym miejscu dojdzie do spotkania. Moglibyśmy go przeoczyć.

„Teraz znowu przestali odbierać mój kod namiarowy” - uprzytomnił sobie Irek, usłyszawszy, że Truszek wprowadził go do statku. Był jednak zbyt podniecony, by przejąć się stwierdzeniem tego faktu. Zaczął się bowiem domyślać, do jakiego statku trafił. Pragnął jak najszybciej otworzyć wewnętrzne drzwi śluzy i...

- Człowiek ma uszkodzony nos - ostudził jego zapał automat, który właśnie uwolnił go od nakrycia głowy.

Irek odprowadził niezbyt przytomnym wzrokiem swój kask, który zniknął już we wnętrzu ze skafandrami, i odkrył, że przednia, przezroczysta część jest zalana krwią. Odruchowo złapał

się za nos i krzyknął z bólu. Dotąd jakoś nie miał powodów, by wstydzić się swego organu powonienia - nie był ani za długi, ani za szeroki, ani nazbyt zadarty. Cóż, nos jak nos. Teraz jednak naprawdę przypominał ogórek, nie tytko dorodny, lecz, co gorsza, kiszony.

- Masz chusteczkę? - jęknął.

- Chusteczkę?

- No, chusteczkę, chusteczkę! Nie wiesz, co to jest chusteczka?! - zirytował się Irek.

- Nie wiem.

- Tu nigdzie nie ma lustra! Jak ja im się pokażę... - lamentował chłopiec.

Ostatnie zdanie zabrzmiało bardzo niewyraźnie, ponieważ Truszek akurat zakładał mu na głowę nowy kask. Ten był czysty i miał wszystko na swoim miejscu. Łącznie, rzecz jasna, z miniaturowym mikrofonikiem.

- Wiem, co się stało - kontynuował melancholijnie Irek. - Kiedy przeleciałeś tak blisko mnie, wywinąłem koziołka. Kiwnąłem głową i rozbiłem mikrofon. Wtedy puściła mi się krew z nosa. Muszę wyglądać precudow-nie...

- Człowiek wygląda jak człowiek z uszkodzonym nosem - orzekł krótko automat.

Ponieważ w śluzach statków kosmicznych istotnie nie ma luster, chłopiec musiał zadowolić się tym lakonicznym opisem swojej powierzchowności. Zresztą w tej właśnie chwili usłyszał chrobot zamka wewnętrznych drzwi. Moment później ujrzał człowieka w kompletnym skafandrze. Człowiek ten, otworzywszy drzwi, stanął i przyglądał mu się, przyświecając sobie czołowym reflektorem. Wreszcie powiedział cicho, zachrypłym głosem:

- Kim jesteś?...

- A ty? A ty? - spytał gorączkowo Irek zapominając o konwenansach. Przez twarz nieznanego przebiegł słaby uśmiech.

- Niech i tak będzie - rzekł z wysiłkiem. - Nazywam się Gomera...

- Gomera?! Piotr! - wykrzyknął Irek. - Szukamy was... to znaczy, od dwóch miesięcy szuka was profesor Bodrin i twój brat, Karol, i Bob Long, i Manners, a teraz i mój ojciec. Nazywam się Skiba. Irek Skiba! Szuka was także moja siostra...

- Nie jestem Piotrem - odrzekł gospodarz jeszcze jednego statku ocalonego przez Truszkę.

- Na imię mam Filip. Karol jest moim synem... Piotr zresztą także. Piotrze! - podniósł odrobinę głos.

W drzwiach od korytarza ukazał się jeszcze jeden mężczyzna w skafandrze. Szedł powoli, niemal nie odrywając stóp od podłogi, po czym oparł się o ścianę. Zanim jednak zdołał coś powiedzieć, odezwał się Truszek:

- Ktoś usiłuje wejść do statku. Tak jak ja przed chwilą, to znaczy manewrując mechanicznym zamkiem. Automaty wjazdu nie działają.

- Żadne automaty tu nie działają... już od wielu ty-godni - rzekł Filip Gomera. - Działają tylko ludzie. Wszystko - powietrze, wodę, żywność, minimum energii niezbędnej, żeby nie zamarznąć w kosmicznym mrozie - musieliśmy zdobywać przy użyciu najprostszyc narzędzi. Połączyliśmy się bezpośrednio z pojemnikami i pompowaliśmy ręcznie... I tak zresztą żyjemy tylko dlatego, że w chwili zderzenia z planetoidą mieliśmy na sobie próżniowe ubiory. Niestety, wszystkie zespoły automatyczne i wszystkie przekaźniki, oprócz innych rodzajów energii, emitują także fale światła. A tu było jakieś diabelstwo, które pochłaniało bez reszty każdy, nawet niewidoczny gołym okiem promyczek. Poza tym łączność pomiędzy poszczególnymi zespołami komputera biegnie, jak, wiecie, światłowodami. Staliśmy się głuchymi i ślepyimi robotkami wewnątrz nie uszkodzonego, świetnie wyposażonego statku.

- Przypominam, że ktoś chce wejść do statku. Jednak właz nie otworzy się, jeśli nie zostaną zamknięte wewnętrzne drzwi śluzy. Nie pozwoli na to blokada. Śluza nie może być przecież otwarta na przestrzał, bo z całej rakiety natychmiast uciekłoby powietrze - Truszek tłumaczył powoli i dobitnie, jakby miał przed sobą słuchaczy, którzy nigdy w życiu nie widzieli kosmicznego statku.

- Wejdz, Piotrze - powiedział Filip Gomera. - Trzeba wpuścić gości. Domyślam się, że będzie wśród nich profesor Bodrin?!

- Nie tylko. Nie tylko - zapewnił skwapliwie Irek. Piotr wszedł i zamknął za sobą drzwi. Kilka sekund później otworzyła się kłapa zewnętrznego wjazdu. Pierwszy wpadł młody mężczyzna, którego twarz widoczna za szybą kasku wydała się Irkowi znajoma. Ależ tak! Widział tego

człowieka na ekranie, w dyspozytorni gwiazdźni. Wtedy Inia zawołała: „Piotr”. Nie był to jednak Piotr, tylko Karol. Karol Gomera, który przyleciał specjalnie ze stacji badawczej na orbicie Wenus, gdzie pracował - żeby uczestniczyć w poszukiwaniach swojego zaginionego ojca i brata. Zaraz za Karolem pojawił się Bob Long, następnie doktor Skiba, a potem w służbie zapanował okrutny tłok. Irek zamknął oczy. Słyszał tylko, że bardzo wiele ludzi mówi naraz, że Inia coś szepcze, a Mamma przeciwnie, piszczy wniebogłosy, że ktoś go ściska, że ktoś inny pyta o coś Truszka, który jak zwykle spokojnie udziela wyjaśnień. Ale wkrótce wszystkie te dźwięki zlały się w jeden szum, jakby wzburzonego morza, które jednak niebawem zaczęło przycichać, przycichać, aż umilkło zupełnie.

Irek otworzył oczy. Ujrzał jasną plamę obwiedzioną okrągłą, słabo świecącą tęczą.  
- Nie świeć - wymamrotał ostrzegawczo. - T o znowu coś rozwali. Jakies skały albo planetoidę...  
- Tego już nie ma - powiedziała plama. - Poza tym nic tu nie świeci. Jak się czujesz? Nos cię nie boli?  
Słowo „nos” sprawiło, że chłopiec ponownie musiał unieść powieki.  
- A co ja niby widzę? - spytał niechętnie. - Chcę być dobrze zrozumiany - ciągnął rozkapryszonym tonem. - Czym jest ta kolorowa plama nade mną? I czemu ona mówi?  
- Mówi, ponieważ jest człowiekiem - padła odpowiedź. - Tak się składa, że w dodatku twoim rodzonym ojcem, chociaż zapewne nie jest to okoliczność, którą ktokolwiek chciałby się chwalić przed światem. Jako dziecko - jednym kopnięciem przewróciłeś raketę. W miarę upływu lat jest coraz gorzej. Rozbijasz automaty ratownicze, a - zamiast rakiet - przewracasz góry. Zawalasz jaskinie i spychasz lawiny na laboratorium. Nie wspominając już o tym, że nikomu przed tobą nie udało się rozkwasić nosa o osłonę własnego kasku!  
Irek skrzywił się i poruszył głową. Tęczowa plama natychmiast zniknęła, przeobrażając się w uśmiechniętą twarz doktora Skiby.  
- Leż spokojnie - powiedział konstruktor. - Jesteś jeszcze podłączony do aparatury medycznej. Straciłeś trochę krwi.  
- Tato - jęknął chłopiec, który po rozszyfrowaniu zagadki mówiącej plamy odzyskał także pamięć - byłem w przestrzeni i ratowałem ludzi. Jeśli jestem chory, to nie powinieneś kpić sobie ze mnie ani uśmiechać się, jakbyś patrzył na coś śmiesznego. Powiem mamie...  
- Ja też będę jej miał to i owo do powiedzenia. Ale zanim zobaczysz się z mamą, porozmawiasz z reporterami. Już tu lecą. Z Ziemi i z Marsa. Sensacja, że hej! Srebrny dysk, jaskinie ze skibrytami... Mamma zdążyła już rozpowszechnić tę nazwę. Nadto katastrofa w górach, historia szczęśników, pożerający światło twór wbity jak szpilka w planetoidę, pogonie Truszka, no a przede wszystkim - ocalenie załogi, którą już uznano za straconą. We wszystkich tych wydarzeniach odegrałeś pierwszoplanową rolę. Pierwszy wszedłeś także na pokład statku ekipy zero-jeden. Jesteś sławny, młody człowieku. Twoje zdjęcia obiegą świat. A propos, leż grzecznie i kuruj się. Nie chciałbyś chyba we wszystkich dziennikach trivi figurować z nosem w kształcie dziurawej piłki... No, dobrze już, dobrze. Za dziesięć minut twój nos odzyska normalny kształt i kolor - zlitował się ojciec, widząc popłoch w oczach swego sławnego syna. - Automaty medyczne robią, co mogą.  
Irek chciał unieść głowę, ale przytrzymały go mocne nitki oplatające całe jego ciało.  
- Nie ruszaj się - powtórzył doktor Skiba. - Mówiłem przecież, że jesteś podłączony do aparatury leczniczej.  
- Gdzie mnie właściwie przywiozłeś? - spytał chłopiec, opadając z powrotem na wezglowie.  
- Oczywiście, że do "Pięciu Księżyców". A niby dokąd mielibyśmy polecieć?  
- Co robią inni?  
- Profesor Bodrin został w bazie dalekiej łączności, wraz z całą załogą, poza jednym Olafem Robinsonem. Tam jest także Inia. Natomiast twój kolega, Din, przybył tutaj razem z Mammą, Dutourem, Maią oraz moim stryjem i Ranghim, którym lawina zasypała laboratorium. Co jeszcze chcesz wiedzieć? Przespałeś całą noc. Teraz jest dziesiąta przed południem



miejscowego czasu. Wieczorem mamy bal. Wtedy przylecą też wszyscy z bazy. Mamma już zbiera kwiaty, a Adam Kozula przygotowuje salę. Dziś został wznowiony ruch pasażerski na Ganymeda. Masz dostać honorowy medal gwiazdźnica „Pięć Księżyców”. Nie dziwię się, że są z ciebie zadowoleni. Odtąd będą mieć tłumy gości. Już zapadła decyzja o budowie dwóch nowych ośrodków turystycznych. Ciekawość ludzka nie ma granic... Zresztą - ojciec spoważniał nagle - gdyby nie ta ciekawość, nie byłoby nas tutaj... I nie byłoby nas za kilkadziesiąt czy kilkaset lat na wszystkich gwiazdach Galaktyki.

- Tato - rzekł Irek już zupełnie przytomnie - co się właściwie stało tam, w przestrzeni, kiedy miałem przelać Truszkowi wezwanie? Przecież on przyleciał, zanim cokolwiek powiedziałem?

- Bo przedwczoraj wprowadziłem do jego programu poprawkę. Odtąd miał być zawsze tam, gdzie ty.

- Ale Bob przeniósł go przecież o jedną dobę w przeszłość. Inaczej nie puściłby mnie z pokładu statku.

- Bob istotnie przeniósł go w przeszłość, ale nie tak, jak zamierzał. Pomylił się po prostu. Przewidywał zresztą, że jego nie sprawdzona aparatura może przestać działać wcześniej, niż powinna, i dlatego nie chciał wysłać Truszka samego, tylko nalegał, żebyś przed nim poleciał w kosmos ty sam. Miał rację. Nie minęło nawet pół godziny poprzedniego dnia, a Truszek znalazł się z powrotem w bieżącym czasie. I, oczywiście, natychmiast zaczął działać pod dyktando swojego aktualnego programu. To znaczy, że musiał do ciebie polecieć od razu, nie czekając nawet na wezwanie. Po drodze natrafił na pla-netoidę. Błyskawicznie ocenił, że po pierwsze, tam są ludzie potrzebujący pomocy, a po drugie - co dla niego w danym momencie było najważniejsze - że ta planetoida i tkwiący w niej nie zidentyfikowany obiekt przeszkadzają mu w jak najszybszym dotarciu do ciebie. Więc niejako mimochodem ocalił statek Bodrina.

- Bob się pomylił? - powtórzył cicho chłopiec. Nagle zaśmiał się. - Jak to dobrze, że nie o rok! Albo o sto lat! Ojciec także parsknął śmiechem.

- No, cóż - powiedział poważniejąc - była to przecież pierwsza praktyczna próba zastosowania urządzenia skonstruowanego przez Boba. Nawiasem mówiąc, on zaproponował mi współpracę przy budowie nowej generacji aparatów czasowych wykorzystujących teorię Bodrina. Chyba się zgodzę. Rzecz jest jednak ciekawa.

Irek był tego samego zdania.

- A gdzie jest Truszek? - spytał jeszcze.

- Tutaj - dobiegł z kąta pokoju spokojny głos. - Nie mogę być gdzie indziej.

- Dzień dobry, Truszkule - chłopiec uśmiechnął się. -Wiem, że musisz być tutaj. Co najwyżej mógłbyś być kiedy indziej.

W jednej z nielicznych kabin mieszkalnych bazy dalekiej łączności Inia rozmawiała w tym czasie z Robertem Longiem.

- Bob, dziękuję ci, że mi powiedziałeś... - szepnęła. -Wiesz, wtedy na pustyni, kiedy Irek został zasypany w jaskini. Już wtedy wierzyłeś w to, że znajdziemy i uratujemy Piotra... Nie masz pojęcia, jak bardzo mi wówczas pomogłeś...

Asystent Bodrina wykrzywił twarz w grymasie, który zapewne miał imitować uśmiech. Następnie szybko odwrócił się i zaczął majstrować przy aparaturze leczniczej, do której byli podłączeni obaj uratowani z ekipy zero-je-den, chociaż w gruncie rzeczy nie miał tam nic do roboty. Stan obu pacjentów pozwalał już właściwie na odłączenie zespołów medycznych. Chodziło teraz .tylko b to, żeby odzyskali pełnię sił. Wieczorem miał być przecież bal...

- Iniu - odezwał się rozmarzonym tonem Piotr. - Będziemy tańczyć, obejrzymy kwiaty, które tak pięknie wyhodowała pani Flora, będę jadł, pił, wylegiwał się na trawie i, żeby mnie ciągnęli hakami, dusili, wyżyłali, piekli na bateriach słonecznych, bombardowali meteorytami, wałkowali, obdzierali ze skóry i topili w płynnym helu, nie wyściubię nosa ze strefy chronionej co najmniej przez pół roku.

- Nie wierz mi! - zaśmiał się cicho Filip Gomera. -Nie miną trzy dni, a już poniesie go na planetoidę T-dwa-dzieścia jeden. Będzie musiał sam sprawdzić, czy tam nie zostały jakiejś ciekawe ślady. W tej chwili pracują na niej tylko automaty pomiarowe, ale przecież wkrótce dołączą do nich ekipy badawcze. Upprzedzam cię lojalnie, żebyś potem nie miała do mnie

pretensji. Czeka cię trudne życie, moje dziecko.

Inia z zakłopotaniem poprawiła swoje piękne włosy.

- Najtrudniejsze chwile mam już jednak za sobą - powiedziała cicho. Zmieszała się jeszcze bardziej i dodała: - Patrzę na was i ciągle jeszcze nie wierzę własnym oczom. Po tych strasznych dwóch miesiącach! Po tej ciszy!

- Owszem - przytaknął z humorem ojciec Piotra. - Cicho to tam rzeczywiście było. Piekielnie cicho... Gdyby nie nieustanna, mordercza praca, którą narzuciliśmy sobie od pierwszej chwili, pewnie już na zawsze zostalibyśmy w tej ciszy. Nawet gdybyście nas w końcu znaleźli, nie usłyszeliśmy już waszych głosów. Byłaby to strata nie do powetowania. Pomyśl, ominęłoby nas spotkanie z twoim bratem. Właź do naszego statku jak do własnego domu i od razu zażądał, żebym mu się przedstawił. A potem narobił takiego wrzasku, że wszystkim nam zrobiło się ciepło, chociaż od dwóch miesięcy ogrzewaliśmy raketę tylko turystyczną maszynką do gotowania, bo klimatyzacja nie działała... Mówiąc poważnie, Iniu, masz bardzo dzielnego brata.

- Tak - dziewczyna uśmiechnęła się mimo woli. - W dodatku nie jednego. Wiesz - zwróciła się do Piotra - Irek ma piętnaście lat, ale świetnie czuł, co się ze mną dzieje. Nigdy nie zająknął się na twój temat, wiedziałam jednak, że myśli o nas. Miał przedziwne przygody, to prawda, a przecież jego obecność dodała mi sił. Kiedy weszłam do waszego statku, był cały pokrwawiony, widziałam, że traci przytomność z wyzercpania, ale był szczęśliwy, choć pewnie sam o tym nie pomyślał. Macie rację, to wspaniały chłopak. Tylko mu tego nie mówcie... - zastrzegła tonem wytrawnego pedagoga.

- On nie jest zarozumiały - wtrącił ponuro Bob Long. - Nie jest także egoistą. Potrafi się cieszyć radością innych.

Dziewczyna drgnęła i zarumieniła się. Pojęła aż nadto dobrze, że młody naukowiec myślał nie tylko o Irku...

Przez chwilę walczyła ze sobą, po czym nagle podbiegła do smutnego dryblasza i przytuliła twarz do jego ramienia.

- Och, Bob, Bob! - zawołała stłumionym głosem. - Jestem taka szczęśliwa!

Nawet najserdeczniejsza i najszczęśliwsza radość z cudzego szczęścia ma w pewnych okolicznościach swoje gra-

nice. Bob wydał krótki zdławiony odgłos, wyswobodził się delikatnie z objęć Inii, bąknął: - Przepraszam - i wybiegł z kabiny. Dziewczyna odprowadziła go zatroskanym spojrzeniem.

- Biedny Irek - westchnęła, na pozór najzupełniej bez związku.

- Irek? - nie zrozumiał Piotr. - Irek?

- Widzieliście przecież córkę Geo Dutoura. Jak zdążyłam zauważyć, ona bardzo, ale to bardzo podoba się mojemu braciszce. Niestety - zamrugła powiekami - uczucia ludzi chodzą nieodgadnionymi ścieżkami. Jest tutaj ten Din...

- I jestem ja! - wykrzyknął, nie panując nad sobą, Piotr. - Rozczulasz się tu niby nad swoim bratem, a w gruncie rzeczy myślisz o tym wstrętnym Bobie! Ty jemu także bardzo, ale to bardzo się podobasz! Myślisz, że nie zauważyłem?!

Twarz dziewczyny znowu okryła się krwistym rumieńcem.

- Bob robił, co mógł, żeby mnie podtrzymać na duchu. Najpierw... mniejsza z tym, co było najpierw. Ale kiedy dowiedział się, że ja... że ty... no, wiesz przecież!... To stale zapewniał mnie, że cię odnajdziemy. A następnie wykombinował ten aparat, który pomógł Truszkowi uwolnić wasze statki... Wiecie co - zmieniła pośpiesznie temat - ja także już pójdę. Powinniście odpoczywać...

- Zostań, Iniu - powiedział Filip Gomera. - Proszę cię. Musimy się przecież lepiej poznać. Wprawdzie będziemy mieli na to mnóstwo czasu... ale po co czekać. Opowiedz nam teraz coś o sobie. Co robiłaś przez te ostatnie dwa miesiące...

W jasnym, komfortowo urządzonej pokoju gwiazdzińca „Pięć Księżyców” Angelus Ranghi, patrząc na

Mammę rozpartą wygodnie w fotelu przysuniętym do otwartego okna, powiedział cicho:

- Nie ma naszych pracowni...

- Całe szczęście - burknęła kobieta. - I tak byś tam me wrócił. Więc nie udawaj, że ci żal

tych kurników na końcu świata.

Grubas obejrzał się i przez chwilę obserwował w milczeniu wysoką, chudą sylwetkę byłego pigularza, który - z rękami założonymi na plecach - przechadzał się nerwowo po pokoju.

- A ty, Auguście, co masz zamiar robić? - spytał wreszcie.

- On zrobi to, co ty - zawyrokowała Mamma tonem nie znoszącym sprzeciwu.

- A to niby z jakiej racji?! - obruszył się chudzielec. - Ja mam zamiar odwiedzić Ziemię. Nie wiem, czy tam zostanę. W każdym razie pochodzę, popatrzę i zastanowię się, czy ludzie zasługują na to, żebym dla nich nadal pracował.

- Chyba nie masz zamiaru znów lepić tych paskudnych kulek? - w głosie Mammy zabrzmiała groźba. August Skiba zatrzymał się.

- Kulek? Nie, nie - potrząsnął głową. - Ale w końcu jestem biochemikiem - rzekł cicho - wcale nie tak znowu starym i nie tak zniedołężniałym, jak niektórzy moi spasieni rówieśnicy. Słyszałem, że na Marsie działa instytut egzobiologii. Mógłbym tam ewentualnie zajrzeć. Zresztą i tak chyba zawadzę o Marsa. Mam tam, zdaje się, jakąś rodzinę...

- Jakąś! Jakąś! - prychnęła Mamma.

- Nie gniewaj się na niego - powiedział pojednawczo Ranghi. - On już nigdy nie nauczy się mówić po ludzku. Ale spójrz na niego. Ma łzy w oczach. Oczywiście, gdybyś go o nie zapytała, ofuknąłby cię tylko i oznajmił, że w twoim ogrodzie nabawił się kataru. Widzisz, ja znam go od dawna...

Grubas umilkł. Po dłuższej chwili podszedł do okna, oparł się o niski parapet i zapatrzył w kolorowy, słoneczny krajobraz. W pewnym momencie, nie odwracając się, rzekł:

- No, cóż. W tym instytucie na Marsie potrzebują chyba także i konstruktorów. Nie byłem najgorszy w mojej specjalności. Auguście?

- Hm?

- Czy weźmiesz mnie z sobą na Ziemię, do twojego brata? A potem na Marsa, gdzie, jak mówisz, także masz „jakąś” rodzinę?

- Jeszcze czego! - burknął chudy biochemik. Przyglądził swoje nastroszone siwe włosy, po czym dodał niespodziewanie łagodnym głosem: - Nawet przez myśl by mi nie przeszło lecieć bez ciebie.

Mamma odchrząknęła i utkwiała wzrok w swoich ogrodowych pantoflach. Natomiast Angelus Ranghi pokiwał głową, jakby chciał powiedzieć, że usłyszał dokładnie to, czego się spodziewał. Następnie szeroko rozłożył ramiona. Nie odrywając oczu od kwitnącego parku, wyprostował się, aż mu w kościach zatrzeszczało, i odetchnął głęboko.

- Wiecie co - rzekł jasnym, niemal młodzieńczym głosem. - Jestem szczęśliwy...

W innym pokoju, na tym samym piętrze tego samego pawilonu pierwszego ganimedzkiego gwiazdźnińca, Olaf Robinson położył rękę na ramieniu Dina i rzekł, spoglądając ponad ostrzyżoną na jeża głowę swego syna, do Geo Dutoura:

- Wiesz, uporządkowaliśmy zdjęcia, które Irek robił w podziemiach przed katastrofą. Wyszły znakomicie. W ten sposób został jakiś ślad po tych malowidłach.

- Skibrytach - poprawiła Maia. - Mamma nie pozwala nazywać ich inaczej.

- Oczywiście - przytaknął Dutour. - Zresztą Irek rzetelnie sobie na to zasłużył. Wprawdzie przy okazji tego ostatniego zdjęcia omal nie pogrzebał nas na zawsze pod górami, ale dzięki temu mamy po raz pierwszy w historii fotografię sztucznego obiektu pochodzącego spoza kręgu ludzkiej cywilizacji.

- Myślisz o dysku? - mruknął Robinson. - Trzeba sprawdzić w archiwach - dodał bez przekonania. - Może kiedyś wysłano w te rejony sondy...

- ...które garnęłyby się do światła jak monstrialne ćmy - ratownik wzruszył ramionami. - Nonsens. Poza tym nie zapominaj o konstrukcji, która tkwiła w planetoidzie, licho wie, od jak dawna. Przecież mogły minąć całe wieki, zanim T-dwadzieścia jeden znalazła się na takiej orbicie, że zaczęła zniekształcać tor transportowców i linie przesyłowe energii. Nie. To nie była ziemiska sonda. Prawdziwy cud, że wszystko skończyło się tak dobrze.

- Nie cud - zaprotestowała Maia - tylko Truszek...

- Zgoda, Truszek - przystał jej ojciec. - Chociaż przy całym moim szacunku dla niego

zasługę przypisałbym jednak Skibom, ojcu i synowi - uśmiechnął się. - A wracając do naszej planetoidy, jak wiecie, stała się ona satelitą Jowisza, dzięki czemu mamy moc czasu na zbadanie śladów pozostawionych na jej powierzchni i w jej skałach przez ową rzekomą sondę. Jakież ślady musiała przecież zostawić, a nasze analizatory są bardzo czułe i precyzyjne. Zresztą coś niecoś wiemy już teraz. Na przykład, że nasz obiekt był walcem o długości mniej więcej trzydziestu metrów, a średnicy trzech, trzech i pół metra. Musiał mieć własny napęd, bo leciał tak szybko, że podczas zderzenia z planetoidą wbił się w nią jak pocisk. Ze skał wystawała tylko jakby wypukła, złocista tarcza. A pomimo to nie był nawet pocięty. Dowiemy się zapewne jeszcze wielu ciekawych rzeczy.

Przylecą specjaliści z różnych dziedzin, przywiozą sprzęt...

- Tato - odezwał się nagle Din. - Ja chcę tu zostać.

- Co? Jak to? A szkoła?

- Przecież mogę i stąd chodzić do tej samej klasy, razem z Irkiem. A równocześnie będę z tobą. Przy okazji przyjrę się badaniom i poszukiwaniom... Bo przecież uczeni przetrząsną teren całego Ganimeda. A potem, po studiach, może będę tu pracować. Tato?!...

- Będą nowe gwiazdźnice, strefy chronione, nasz glob się zaludni - bąknęła Maia.

Dutour i Robinson spojrzeli po sobie. Udało im się jednak zachować powagę.

- Pomyślimy o tym - rzekł wymijająco ojciec Dina. -W każdym razie nikomu nie wolno chodzić w góry, zanim ich dokładnie nie zbadamy. W kraterach może być więcej jaskiń czekających tylko, by pogrzebać nieproszonych gości.

- Brrr - wzdrygnęła się Maia. - To było okropne! Irek zachowywał się wspaniale! A ja cały czas umierałam ze strachu, że wy... to znaczy, nie wiedziałam przecież, czy was nie zasypało... Tatusiu!... - podbiegła i przytuliła się do ojca.

Dutour mocno przycisnął do piersi jej czarną główkę. Mimo to ta główka po chwili poruszyła się. Spod zwichrzonej grzywki wielkie, błyszczące oczy spojrzały na... Dina.

Ten zeszywniał, wyprostował się nienaturalnie i, nie patrząc na nikogo z obecnych, ruszył ku drzwiom.

- Przepraszam - rzekł nosowym głosem. - Mam jeszcze coś do załatwienia.

- Tatusiu... - szepnęła Maia, nie odrywając głowy od piersi ojca.

- Co, córeczko?

- Wiesz, tak mi strasznie dobrze.

- No, możesz już wstać.

Irek poczuł, że przewody łączące go z aparaturą medyczną zniknęły i że jest znowu wolny. Usiadł i rozejrzał się. Przez otwarte drzwi wyjeżdżała właśnie z pokoju jakaś beczka na kółkach. Beczka miała mnóstwo lampeczek, dziesiątki wiotkich wysięgników, tabliczkę z kolorowymi klawiszami i mnóstwo ryjkowatych wypustek, z których wystawały końcówki włoskowa -tych kabli.

- Do widzenia, panie lekarzu! - zawołał wesół chłopiec.

Nagle zerwał się i pognął do lustra. Ogórek zniknął. Jego nos był już tylko nosem i niczym więcej.

W tym momencie Irek ujrzał stojącego w progu profesora Bodrina. Natychmiast odwrócił się i z godnością oddalił od lustra.

- Witam, profesorze! - doktor Skiba szedł naprzeciw gościa. - Już jesteście?

- Przylecieliśmy przed chwilą. Wszyscy - dodał z naciskiem uczony. - W bazie zostawiliśmy jedynie automaty. Należy nam się mały urlop. Od jutra będziemy mieli niezły młyn.

Wezwaliśmy z Ziemi archeologów, egzobiologów, pilotów, geologów, fotoników, speleologów, a nawet malarzy. Zbudujemy nowe bazy, na samym Ganimedzie i w całym rejonie Jowisza.

Rozmawiałem z Radą Naukową. Usiłowali mnie przekonać, że jestem bardziej potrzebny na Ziemi niż tutaj. Że powinienem wędrować z jednej sali obrad do drugiej, kiwać głową, gdy przemawiają moi mądrzy koledzy, i samemu wypowiadać się w kwestiach decydujących o dalszych losach ludzkości. Na przykład, czy kandydaci na rodziców, a zatem przyszli wychowawcy własnych dzieci, powinni zdawać egzaminy z psychologii rozwojowej razem, czy też może raczej osobno. Poradziłem im, żeby się wypchali - zachichotał. - Jestem już za stary na to, aby siedzieć stale w jednym miejscu. Niech się pomęczą młodzi. Koniec końcem zgodzili się, żebym został tutaj i koordynował prace badawcze. Tak więc, doktorze Skiba,

mówisz ze swoim szefem! - podparł się pod boki i zrobił groźną minę.

Ojciec Irka nie zwlekając skłonił mu się z przesadną czolołbitnością.

Ale chłopiec nie poddał się wesołemu nastrojowi, jaki ogarnął obu naukowców. Zwrócił twarz w stronę okna. Jego wzrok poszybował daleko, poza granicę strefy chronionej, ku ciemnym górom, słabo rysującym się na niemal równie ciemnym niebie.

- To wszystko tu było... - rzekł cichutko, do własnych myśli. - Wszystko czekało na nas, a potem od razu zniknęło. Nie ma dysku ani złocistego walca, ani rysunków. Nie ma nawet jaskini. Tyle niebezpieczeństw, tyle przygód i... nic. Zostały jedynie zagadki. Co to właściwie było, te konstrukcje pędzące do światła? Kto je zbudował i przysłał do Układu Słonecznego? Kto namalował te obrazy w podziemiach? Po co?

Profesor Bodrin spowaźniał.

- Dlaczego pędziły do światła? - powiedział z namysłem. - Jako naukowiec oświadczyłbym natychmiast:

na razie nie wiem. Natomiast prywatnie, na ucho, powiem ci: z ciekawości. Światło jest przecież najlepszym i najszybszym nośnikiem informacji. A zadaniem tych konstrukcji było właśnie zebranie informacji o krainie, do której je wysłano, i o jej mieszkańcach. Dlatego biegły zawsze do źródła światła, gdzie tylko je odkryły, i dlatego przechwytywały nasze rozmowy, równocześnie, zapewne zresztą na skutek ubocznego działania nie przewidzianego przez ich twórców, psując nam naszą wzajemną łączność. Z ciekawości, synu. Z ciekawości - pokiwał głową.

Irek skrzywił się.

- Nastali nam szpiegów? - spytał z niesmakiem.

W dodatku nie pofatygowali się osobiście, tylko napuścili na nas automaty?

- My także jesteśmy ciekawi - wtrącił ojciec. - I również wysyłamy bezzałogowe sondy zwiadowcze, dokąd się tylko da.

- Ale równocześnie nie skąpimy nieznanym adresem wiadomości o nas samych - obstawał przy swoim chłopiec. - Już pierwsze satelity dalekiego zasięgu wyposażyliśmy w rysunki, stanowiące jakby listy, które przedstawiają naszą cywilizację. A oni?

- Oni także zostawili nam rysunki - przypomniał Bodrin. - Zachwycaliście się kształtami i barwami tych skibrytów w jaskini. A skąd wiesz, że nie był to równocześnie list do ciebie, właśnie do ciebie, ponieważ to tyje odkryłeś? Może ten list zawierał nawet więcej informacji niż rysunki, które my umieszczaliśmy w naszych sondach dalekiego zasięgu. A że nie udało ci się odczytać tego listu?... Cóż, miałeś za mało czasu, żeby sprowadzić specjalistów od kosmicznych alfabetów. Z pewnością szkoda - ciągnął - że dysk i walec uciekły, a skibryty są zasypane. Ale, mój drogi, wszechświat kryje w sobie nieprzebrane zapasy zagadek. Tym razem się nie udało? To uda się następnym! Może nie nam. Może naszym dzieciom lub wnukom, i co z tego? Kiedy poznamy miliard miliardów obecnych tajemnic kosmosu, będziemy mieli przed sobą tyle samo nowych. Inaczej nasze istnienie nie miałoby sensu. Zresztą, nawet jeśli chodzi o te malowidła i dyski, których tak żałujesz, to jeszcze nic straconego. Przystępujemy przecież do systematycznych badań. A może Bob udoskonali swoją aparaturę tak, żeby się nie myliła i nie przenosiła ludzi lub automatów zbyt daleko czy zbyt blisko w czasie? Wtedy będziemy umieli zajrzeć za kurtynę przeszłości i zapoznać się z producentami przeróżnych kosmicznych dziwadeł. Czy to nie fantastyczna perspektywa? Fantastyczna, a zarazem realna? Nawiasem mówiąc, co do skibrytów, to przecież odkopimy jaskinię. Mamy automaty, które to zrobią szybko, nie narażając ludzi na to, że coś im się zwali na głowy.

- A propos głowy - odezwał się ze swojego kąta Truszek. - Chciałbym przypomnieć, że moja głowa wymaga drobnego remontu. Nie chcę być natrętny, ale...

- Truszkule, nie przerywaj - skarcił go łagodnie doktor Skiba.

Bodrin spojrzął z roztertaniem na rozdeptaną purchawkę wieńczącą stożkowaty korpus bohaterskiego automatu.

- Tak, głowa... rzeczywiście... - bąknął. - O czym to ja... a, właśnie. O skibrytach.

Pamiętajcie, że od setek lat znamy malowidła naskalne i rysunki w grotach na Ziemi, że badały je całe pokolenia uczonych i że właściwie o autorach tych rysunków dalej nic nie wiemy. Czyż nie tak? To niby dlaczego mielibyśmy od razu wiedzieć wszystko o obcych

obrazach, odkrytych na Ganimedzie? Tak, tak, chłopcze - pokiwał z zadowoleniem głową - mamy co robić przez miliony lat i tylko dlatego warto żyć na tym świecie.

Irek chciał odpowiedzieć, że chociaż ten świat istotnie dosyć mu nawet odpowiada, to jednak z pewnością nie odpowiadałby mu mniej, gdyby i dysk, i skibryty nadal znajdowały się w otwartej jaskini, ale Bodrin nie dał mu dojść do słowa.

- Zresztą, zamiast wysilać nadwerżony burzliwymi przejściami umysł i szukać dziury w całym - zawołał wesoło - cieszyłbyś się lepiej po prostu z tego, że uratowałeś ludzi! Że teraz, dzięki tobie i twojemu automatowi, Inia jest razem z Piotrem, że wyprowadziłeś z podziemi Maię, wreszcie że ci dwaj dziwacy, Ranghi i twój stryjeczny dziadek, wrócą do normalnego życia. Nawiasem mówiąc, ani przez myśl mi nie przeszło kontrolować ich czy tym bardziej odbierać im pracownie. Ostatecznie nie szkodzili nikomu... najwyżej sobie samym. Ale zostawmy

ich w spokoju. Tak więc, mój drogi, możesz być z siebie dumny i nie musisz zadręczać się pytaniami, na które odpowiedzi będzie długo szukać cała ziemską nauka.

W tym momencie drzwi uchyliły się i do pokoju zajrzała ostrzyżona głowa Dina.

- Przepraszam. Nie przeszkadzam?

Irek zjeżył się. Ostentacyjnie obrócił się na pięcie i, podszedłszy do okna, zaczął podziwiać krajobraz gwiazdźni.

- Prosimy, prosimy - powiedział doktor Skiba, kątem oka obserwując z niepokojem podejrzanego manewry syna.

- Co słysząc?

- Dziękuję - odrzekł poważnie Din - wszystko w porządku. Mój ojciec czuje się dobrze... i Maia także. - Przełknął ślinę, po czym dodał: - Cały czas opowiada o tym, jak Irek ją ratował.

Podszedł szybko do okna i, nie bacząc na odpychającą minę bohatera podziemnych przygód, wyciągnął do niego rękę, w której trzymał aparat fotograficzny.

- Proszę, to twoje - powiedział. - Musiał ci wypaść w jaskini, a ja przypadkiem go znalazłem. Pan Dutour i mój ojciec wywołali już zdjęcia. Wyszły świetnie, I tego...

- zająknął się - przepraszam cię za to, co mówiłem wtedy pod laboratoriami... i w ogóle...

Wiesz, byłem zły, bo ja... bo Maia... - obejrzał się na dwóch stojących bez ruchu mężczyzn i zakończył: - Zresztą powiem ci później. Aha, ja zostanę na Ganimedzie. Ale będę dalej chodził do tej samej klasy.

Irek odruchowo wziął od Dina aparat i przyjrzał mu się nieufnie. Następnie przeniósł wzrok na nowego mieszkańca Ganimeda i stwierdził, że jego twarz przybrała piękną barwę zachodzącego słońca. To od razu wprawiło Irka w lepszy humor. Ostatecznie, ten cały Din, jeśli pominać jego głupie uwagi, także zachował się zupełnie nieźle. A w końcu to nie jego wina, że był pierwszy na

Ganimedzie i że wobec tego pierwszy poznał... Zresztą, mniejsza z tym.

- Mniejsza z tym - powiedział na głos Irek. - To znaczy, miałem na myśli aparat - wyjaśnił. - Właściwie nie aparat, tylko to, co mówiłeś... - sprostował. - Wcale się nie gniewam - dobrnął zwycięsko do końca.

- Czy ty rozumiesz, o czym oni mówią? - spytał z nieukrywanym zdumieniem profesor Bodrin.

- Zdaje się, że tak, choć nie jestem pewny - rzekł z nieco melancholijnym uśmiechem doktor Skiba.

Ten uśmiech wziął się stąd, że konstruktor, wbrew temu, co mówił, doskonale wiedział, o co chodzi. Wiedział i współczuł swojemu synowi. Ale był przecież bezradny.

Din ruszył w stronę drzwi. Zanim wyszedł, odwrócił się jeszcze i odszukał spojrzeniem Truszkę.

- Tobie także dziękuję - powiedział. - Gdyby nie ty, kto wie, co by się stało...

Kiedy kroki Dina ucichły w korytarzu, profesor Bodrin również zwrócił się do stojącego w kącie automatu.

- Właściwie od nas wszystkich należą ci się gratulacje i podziękowania. Wprawdzie przez ciebie Irek miał ponoć chwilowe kłopoty z nosem, ale to tylko dlatego, że ten młody dryblas. Bob, źle nastawił zegarek w swoim diabelskim urządzeniu.

- Jestem szczęśliwy, że mogłem spełnić moje zadanie - odrzekł skromnie Truszek. Doktor

Skiba zaśmiał się ciepło.

- Szczęśliwy? Powiedziałeś: szczęśliwy?

- Tak jest. Moje centrum informatyczne podsunęło mi to określenie jako najwłaściwsze.

- Och, nie tłumacz się! Jestem zachwycony tym określeniem, tylko nie bardzo rozumiem...

Masz naturalnie możliwość doznawania pewnych emocji, jak każdy automat twojej generacji, ale jeśli chodzi o szczęście... Widzisz, szczęście to jest coś, czego nie da się sztucznie za programować. Ono składa się ze zbyt wielu subtelnych, nieuchwytnych elementów właściwych jedynie ludzkiej osobowości. A powiedz mi, Truszk, czy możesz sobie wyobrazić sytuację, w której musiałbyś wyznać, że jesteś nieszczęśliwy?

- Nie - odrzekł po krótkiej pauzie automat. - Chyba że człowiek byłby ze mnie niezadowolony. To znaczy, że postąpiłbym niezgodnie z zapisanym we mnie programem. Ale nie mogę tak postąpić.

- Nie możesz - zgodził się ojciec Irka, zerkając przelotnie na syna. - Nie możesz, ponieważ jesteś automatem. Nie gniewaj się.

- Nie gniewam się - odrzekł spokojnie Truszek. - Zresztą muszę przyznać, że byłbym znacznie szczęśliwszy, gdybym miał naprawioną głowę...

W pokoju rozległ się głośny, serdeczny śmiech. Doktor Skiba spojrział na rozradowaną twarz Irka, który jeszcze przed chwilą stanowił uosobienie smutku, po czym rozłożył ramiona, podbiegł do Truszka, jakby miał zamiar chwycić go w objęcia, i zawołał:

- Daję ci uroczyste słowo honoru, że za pół godziny będziesz miał głowę piękniejszą niż kiedykolwiek!

- Uff!... - jęknął Angelus Ranghi, kiedy muzyka na moment ucichła i Mamma opadła na fotel. - Uff... - powtórzył, ocierając pot z czoła. - Uciekałem po górach jak kozica, wpadałem do jaskiń, łykałem trujące pigułki, wreszcie zostałem zasypany przez skalną lawinę, ale, jak długo żyję, nigdy nie byłem tak bliski śmierci z wyczerpania. Nikt nie zmuszał mnie do nieustannego kręcenia się, podskakiwania i trzęsienia.

- Bo jesteś tusty i zgnuśniały - zawyrokowała Mamma, przyglądając się z niekłamana satysfakcją swojemu niedawnemu partnerowi. - Taniec to prawdziwe życie! Spójrz na mnie!

Rzeczywiście. Kolosalny pączek róży, bo Mamma pozostała przy swoim starym kostiumie, wyglądał świeżo i radośnie, jak po ciepłym wiosennym deszczu.

- Udał nam się ten pierwszy w sezonie bal, prawda? - spytał, przechodząc obok, Adam Kozuła.

- Drugi pierwszy bal - poprawiła Mamma.

- Drugi pierwszy bal - przytaknął posłusznie gospodarz gwiazdzińca. - Pyszna zabawa!

Pan Kozuła nie przesadził. W porównaniu z pierwszym pierwszym bale w drugim pierwszym uczestniczyło znacznie więcej gości. Gdzie spojrzeć, snuły się zastępy rycerzy, czarowników, monarchów, piratów, admirałów, postaci w fantastycznych, barwnych strojach. Irek znowu miał na sobie kostium kosmity, jego ojciec pozostał Tig-lapilezarem Pierwszym, ale wielu uczestników balu zmieniło się nie do poznania. Któż na przykład odgadłby, że pod pierzastym przebraniem przedpotopowego afrykańskiego czarownika kryje się znakomity uczonec, profesor Oleg Bodrin? Albo że smukły Artur Manners przywdzieje bufiastą szatę wielkiego wezyra z czasów Haruna ar-Razyda?

I dziś, jak dwa dni temu, w niebo Ganimeda biły snopy barwnego światła, ale nikt nie musiał wyglądać przez okno, by ocenić piękno świątecznej iluminacji, ponieważ bal odbywał się tym razem w parku. Pomocnicze roboty ustawiły na ścieżkach bufety i fotele dla strudzonych tancerzy.

Nagle zawyła syrena alarmowa. Wszyscy znieruchomieli.

- Znowu będziemy uciekać? - spytał Angelus Ranghi, spoglądając na stojącego za Mammą Don Kichotą, patrzącego spod tekturowej przyłbicy niebieskimi oczami byłego szczęśnika-pigufarza.

- Sam uciekaj - odparował błędny rycerz. - Inaczej Mamma znowu cię zmusi do tańca.

- A pewnie, pewnie - potwierdził ochoczo Pączek Róży.

Ogłoszenie alarmu przyjęto nie tylko ze spokojem, lecz wręcz wesoło. Syrena brzmiała

bowiem zupełnie inaczej niż wówczas, gdy o jakimś niebezpieczeństwie uprzedza ludzi czujny komputer. I nic dziwnego. Komputer nie ma bowiem zwyczaju trąbić przez zwinięty w rulonik ogrodowy kapelusz.

- Tu - tu - tu - tuuuuu! - Pan Kozula oderwał od ust zaimprovizowaną tubę i zawołał: - Alarm! Alarm! Jest nas więcej, niż powinno być! Może wkradli się obcy?! Proszę natychmiast zdjąć maski!

- Dobrze, że tym razem nie chodzi o nas - mruknął Don Kichot.

Rozległy się śmiechy. Ci spośród uczestników zabawy, którzy uzbroili się w karnawałowe maseczki, odkrywali rozradowane twarze.

Stojąca na wprost Irka Szeherazada wdzięcznym ruchem odrzuciła powiewną zasłonę, zza której do tej pory ukazywała tylko wielkie piwne oczy. Chłopiec przez chwilę stał jak skamieniały, a następnie rzucił się wprost w objęcia bajkowej piękności.

- Mama! Mama! Przyleciałaś?! Olga Skiba wyciągnęła syna, po czym odsunęła go od siebie i przyjrzała mu się badawczo.

- Zmizerniałeś - stwierdziła oskarżycielskim tonem. - Poza tym masz spuchnięty nos. Irek nachmurzył się, ale zaraz poweselał.

- Nieprawda! - zawołał z triumfem. - Automaty medyczne już mi go naprawi... to znaczy, wyleczyły mnie! O tym nosie tylko ci opowiadano i dlatego teraz udajesz, że coś zauważyłaś!

Mama zaśmiała się cicho. Chciała jeszcze coś powiedzieć, ale zanim zdążyła otworzyć usta, przestrzeń pomiędzy pawilonami przeszył bojowy okrzyk:

- Rodandandron! Rodandandron!!!

Towarzyszący Szeherazadzie paż zrzucił purpurową pelerynkę oraz strojną czapeczkę i w zwykłym czarnym kostiumie lotokota, ozdobionym tylko złotym pasem, szybko jak strzała pobiegł przez ogród w stronę wielkiej kuli przedstawiającej Ziemię. Odbił się lekko od ścieżki i wylądował dokładnie na biegunie północnym.

- Rodandandron! My, lotokoty, jesteśmy wszędzie, wszystko widzimy i słyszymy. Dotarły do nas wieści, że tu, na Ganimedzie, ktoś z rozbitym nosem potrzebuje pomocy!

- Danek! - wrzasnął stosownie do okoliczności Irek. Stosownie do okoliczności, ponieważ w gruncie rzeczy wcale się nie zezłościł.

- Czy nie zechciałbyś łaskawie przywitać się także ze mną? - obok Szeherazady stanął ktoś, kto zapewne pragnął uchodzić za okrutnego, leśnego rozbójnika z dawnych wieków i komu nawet by się to udało, gdyby kiedykolwiek mógł istnieć okrutny zbójca o przepoczciwej twarzy dziadka Wiktora.

- Olga! Tato! Danek! - z barwnego tłumu wypadł doktor Skiba.

- Wyruszyliśmy już dzisiaj - mówiła mama, po zakończeniu ceremonii powitalnych - bo jutro będzie tu zbyt duży tłok. Tylko z Marsa przyleci dziesięć statków. Naukowcy, reporterzy, speleolodzy i licho wie, kto jeszcze. Ale nam pozwolili wystartować wcześniej. Pan Kozula zachował nasz przyjazd w tajemnicy, bo chciał wam zrobić niespodziankę. Zresztą rozumiem go doskonale. Matka bohatera i odkrywcy, o którym mówi cały świat, może być z pewnością główną atrakcją nawet najwspanialszego balu! - obrzuciła słuchaczy dumnym spojrzeniem, po czym, nie mogąc się powstrzymać, parsknęła śmiechem.

- Pewnie, że tak! - krzyknął rozochocony gospodarz gwiazdzińca. - Ale na tym nie koniec atrakcji! Zapraszam

na seans pod tytułem: „Kosmiczne dyski i ganimedzka galeria malarstwa jaskiniowego”.

Roboty w mgnieniu oka ustawiły na tle jednego z pawilonów duży srebrzysty ekran. Chwilę później ukazało się pierwsze, powiększone do kolosalnych rozmiarów, przestrzenne zdjęcie. Widniała na nim skalna ściana pokryta tajemniczymi rysunkami o zdumiewających proporcjach i jeszcze bardziej niezwykłych barwach.

Nastąpiła cisza. Wszyscy mimo woli pomyśleli o nieznanym twórcach pięknych malowideł, o zagadkach, jakie jeszcze kryje niezmierna przestrzeń wszechświata.

- Coście tak posmutnieli?! - zapiszczał po skończonym seansie Don Kichot. - Gdzie my właściwie jesteśmy?! Na akademii ku czci kosmicznych pacykarzy czy na balu?! Poczekajcie! Zaraz was ożywię!

Chudy rycerz wydobyl z zakamarków swojej zbroi niewielką, przeźroczystą torebkę i uniósł ją wysoko nad głową, demonstrując zebrany jej zawartość. Stanowiły ją małe, brązowe...



kuleczki.

- Nie! - Angelus Ranghi zamachał rozpaczliwie rękami. - Nie! Wszystko, tylko nie pigułki!

- Co to ma znaczyć?! Wracasz do dawnych nałogów?! - Mamma zerwała się z fotela i natarła szeleszczącymi płatkami róży na błędnego rycerza.

- Chwileczkę - wkroczył profesor Bodrin. - Angelus próbował, Irek próbował, teraz pozwólcie i mnie. Zobaczmy. Może nie wpadnę w rozpacz, nie wścieknę się ani nie umrę ze strachu.

Słynny uczoney szybkim ruchem sięgnął do torebki, wydobył jedną brązową pigułkę i od razu wpakował ją sobie do ust. Obecni zastygli w oczekiwaniu. Profesor posmakował chwilę, następnie zmarszczył brwi, jakby się nad czymś głęboko zastanawiał, aż wreszcie jego twarz rozjaśnił błogi uśmiech.

- Czekolada - powiedział tonem odkrywcy. - Mogę wziąć jeszcze jedną?

- Co?! - huknęła Mamma.

Wyrwała zaskoczonemu szczęśnikowi torebkę, wyjęła pigułkę, jakiś czas obracała ją z niedowierzaniem w palcach, po czym zamknęła oczy i z determinacją połknęła podejrzany przysmak. Zaraz potem uniosła powieki i oświadczyła:

- Dobrze...

Don Kichot przez chwilę wodził żalonym wzrokiem za torebką przechodzącą teraz z rąk do rąk, aż wreszcie wybuchnął śmiechem.

- Hi, hi, ni! A co? Czy moje pigułki na dobry humor nie są rewelacyjne?! Sami widzicie, jak się rozruszaliście!

- Co do mnie, nie lubię czekolady - rzekł żując z namaszczaniem Din.

Jego głos utonął jednak w nieopisanym rozgardiaszu.. który spowodowało nagłe wystąpienie Danki. Wódz lo-tokotów zeskokczył z Ziemi, wyrwał Dinowi torebkę z resztką jej zawartości i błyskawicznie wylądował z powrotem na północnym biegunie.

- Zejdź! Oddaj!

- Ani myślę! Rodandandron! My, lotokoty, nie oddajemy łupu zdobytego w uczciwej walce! Jak chcecie, to przyjdźcie tutaj!

Do chudego pigularza, którego ostatnie dzieło wywołało tyle radosnego zamieszania, zbliżył się rozbójnik leś-ny.

- No, Auguście - powiedział patrząc mu prosto w oczy - żart był wyborny, ale pomówmy chwilę poważnie. Pojedziesz ze mną na Ziemię, prawda?

Don Kichot nie przestał się uśmiechać, choć teraz był to już zupełnie inny uśmiech.

- Na Ziemię - powtórzył cicho. - Oczywiście, Wiktorze. Na Ziemię. A także na Marsa.

Dziękuję ci.

Bracia padli sobie w objęcia.

- No, czego się gapicie?! - zakrzyknął nagle Angelus Ranghi, ukradkiem ocierając oczy.. - Mamma!

- Co, grubasie?

- Niech się dzieje, co chce! Wyzionę ducha, to będziesz mnie miała na sumieniu!

Tańczymy! Orkiestra, grać! Ale z ogniem!

Następnego dnia przed południem nad pierwszym ga-nimedzkim gwiazdźdźcem „Pięć Księżyców" znowu zaświeciło słońce, tak jasne i złociste, jak prawdziwe. Otoczona białymi, kulistymi pawilonami makieta Ziemi z barwnymi plamami lądów i mórz tchnęła ciszą i pogodą,

Irek stał w swoim pokoju przy otwartym oknie. Wszyscy niemal goście ośrodka byli w ogrodzie. Uczni, którzy mieli tak pitne zajęcia w bazie, nie odlecieli zaraz o świcie, jak to sobie obiecywali. Profesor Bodrin przechadzał się właśnie wysypaną żwirem ścieżką, zajęty rozmową z Bobem Longiem. Rudy dryblas nie słuchał jednak chyba zbyt uważnie, co do niego mówi wielki uczoney, bo jego wzrok często uciekał w stronę sąsiedniej alejki, gdzie Flora Mammavita pokazywała zdumiewające okazy dwukolorowych, czarno-niebieskich róż Piotrowi i... Ini. Skądinąd ci ostatni spoglądali częściej na siebie aniżeli na kwiaty. W pewnym momencie dołączyły do nich trzy charakterystyczne sylwetki w nowiutkich jasnozielonych kombinezonach. Angelus Ranghi, August Skiba i dziadek Wiktor. Mamma powiedziała coś, co wszyscy przyjęli wybuchem śmiechu. Zza kuli ziemskiej wyłoniła się jeszcze jedna grupka. Olaf Robinson, zawzięcie gestykułując, wyłuszczał jakieś zawile racje zasłuchanemu Geo

Dutourowi, który kiwał tylko milcząco głową. Parę kroków za nimi szli Maia i Din. Maia w lekkim, białym kombinezonie z szerokim kołnierzem i krótkimi rękawkami -wyglądała jak marzenie...

Irek odwrócił się i odszedł od okna.

- Czy mogę w czymś pomóc? - spytał Truszek. Chłopiec posłał automatowi smutne spojrzenie. Doktor Skiba dotrzymał słowa. Truszek dostał nową głowę, nierównie piękniejszą niż pierwsza, bo zbudowaną jak gdyby ze srebrzystego szkła, w którym mieściły się drobniutkie zielone gwiazdki.

- Nie możesz, Truszk - Irek wzruszył bezradnie ramionami i podszedł do stolika, gdzie czekał jego miniaturowy uczniowski projektorek. - Nie możesz... - powtórzył cicho. - Słyszałeś przecież. Te g o nie da się zaprogramować...

Nacisnął klawisz. W powietrzu zarysował się ekran, a na nim znajome słowo: wstęp.

*...Dopiero nasza epoka... Zrozumieliśmy, że wprawdzie ubyłoby nam mnóstwo kłopotów, ale nie przybyło ani odrobiny szczęścia...*

Chłopiec opuścił kilka linijek i zatrzymał wzrok na jednym z dalszych akapitów.

*...Przyroda wyposażyla każdego z nas we wspaniałe instrumenty, mózgi, jednak nie rodzi się z umiejętnością prawidłowego korzystania z tego instrumentu. Musimy dążyć do zdobywania i doskonalenia tej umiejętności. Musimy poznawać samych siebie, bo tylko odkrycie własnych, najgłębszych potrzeb pozwoli nam zdobywać szczęście poprzez dążenie do ich zaspokajania. Musimy także uczyć się rozumieć innych ludzi i pomagać im, ponieważ nikt nie znajdzie swojego osobistego szczęścia wśród nieszczęśliwych...*

Irek znowu nacisnął małe klawisz. Ekran wraz z tekstem zniknął jak zdmuchnięty.

„No tak - pomyślał chłopiec. - W podręcznikach wszystko jest jasne i głęboko słuszne. A tymczasem zawsze zostaje tyle, tyle pytań...”

- Co robisz? - odezwał się za jego plecami głos ojca. - Krystografy? Dzisiaj? Czy to nie nadmiar pilności?

Doktor Skiba mówił przesadnie lekkim tonem. Zanim bowiem dał znać synowi o swojej obecności, także ujrzał przez otwarte okno Maię i Dina.

- Nie - odrzekł zaskoczony chłopiec - nie. Nic nie robię... Ojciec odchrząknął.

- Irku - rzekł poważniejąc - czy wiesz, jaki jest najlepszy sposób na rozmaite pytania i troski, które nurtują każdego z nas, a na które nie znajdziesz lekarstwa w żadnym podręczniku? Zegarek. Upływ czasu. Pod warunkiem, że ten upływający czas potrafimy mądrze wykorzystać. Masz przed sobą niezliczoną ilość dni i godzin. Każda z nich może ci dostarczyć wspaniałych wrażeń, choć

- rzecz jasna - nie zawsze będą one tak mocne i wyjątkowe, jak te, które towarzyszyły odkryciu dysku czy ski-brytów. Czas rozwiązuje także inne sprawy... o czym jednak przedwcześnie nie należy mówić. Wobec tego posłuchaj, co ci zaproponuję. Mamma pokazuje teraz Dankowi najciekawsze zakamarki gwiazdźdźca, a ponieważ, jak wiesz, twój braciszek nie da się zbyć byle czym, więc nie wrócą wcześniej niż na obiad. Inni leniuchują w ogrodzie. A gdybyśmy tak wymknęli się teraz na paluszkach i poszli na mały spacer w góry? Oczywiście nie w stronę zasypanych jaskiń. Co ty na to?

- W góry? - podchwycił ze swego kąta Truszek. Irek wyprostował się powoli. Spojrzał uważnie na ojca, zamrugał powiekami jak człowiek budzący się ze snu, po czym przeniósł wzrok na stożkowatą postać zakończoną srebrno-szklaną głową i niezbyt jeszcze przytomnie powtórzył;

- W góry?...

Truszek zrozumiał to po swojemu. Natychmiast otworzył niewidoczną wnękę w ścianie, zniknął w jej wnętrzu i po paru sekundach ukazał się obwieszony sprzętem wspinaczkowym.

- Czy człowiek sam weźmie linę, haki i młotek, czy też mam je ponieść? - spytał.

Chłopiec odetchnął głęboko. Spojrzał na ojca i uśmiechnął się z wdzięcznością.

- Dobrze, tato - rzekł normalnym tonem. - Pójdziemy w góry. Nie, Truszk - zwrócił się z kolei do automatów. - Nie bierz mojego sprzętu. - Jego uśmiech, choć jeszcze nieco melancholijny, stał się weselszy, a nawet o-drobinę przekorny. - Wrażenia wrażeniami, praca pracą, czas czasem, a i tak w pewnych sytuacjach człowiek sam musi dźwigać swoje ciężary.